KLĘSKA CHIŃSKA przy STRAIT STREET

MONOPOLISTA Z MILIONOWEJ

NA PODBÓJ PŁOCKA

UROK i dotkliwość ŚWIATA

DROGA

JÓZEF LENART

SAGA

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 7 (897) 13 LUTEGO 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Rzadko w tej rubryce zwracamy uwagę na teksty poetyckie. Jednak krótki poemat Józefa Lenarta SAGA jest propozycją nie tylko dla wiernych, chociaż niezbyt licznych, miłośników współczesnej poezji. Autor udowadnia, że poezja nie musi być hermetycznym, marginalnym, księżycowym rumowiskiem pięknych metafor — lecz może (i powinna) zabierać głos w sprawach ważnych.

Jak świadczą listy do redakcji, tematy obyczajowe są zawsze atrakcją dla naszych czytelników. Lecz teksty Binkowskiego, Michalskiego, Frejdlicha (w obecnym numerze) publikujemy nie z tych powodów. Drastyczne często w swej dosłowności zdarzenia są bowiem sygnałami ukrytych pod powierzchnią życia — ale istniejących — zjawisk społecznych. Staramy się je uchwycić nie dla sensacji, lecz dla zorganizowanego przeciwdziałania, opozycji nie tylko urzędowej, lecz także społecznej, moralnej.

Zapisując dziennikarskim piórem różne obszary naszej rzeczywistości, nie zapominamy o proporcjach, jakie dyktuje życie. Stąd w b. numerze rozmowa z dziekanem Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego UŁ, artykuł o właściwym wykorzystaniu potencjału ludzkiego w gospodarce, prezentacja zasłużonych dla kultury działaczy, dyskurs o recepcji kultury masowej; bogaty serwis problemów międzynarodowych.

Od pewnego czasu więcej uwagi poświęcamy teatrom łódzkim. Co prawda, jako tygodnik nie zawsze nadążamy z bieżącymi recenzjami, ale interesują nas bardziej zjawiska szersze niż jedno czy drugie przedstawienie. Obecnie, rozmową ze Stanisławem Ochmańskim, kierownikiem artystycznym „Arlekina", rozpoczynamy cykl wypowiedzi ludzi teatru, reprezentujących wszystkie łódzkie sceny.

Oczywiście, nie chcielibyśmy przesadzać z tematyczną „cyklicznością", bo życia nie da się ująć w żadne seriale, ale często to samo życie narzuca priorytety kosztem innych, nie mniej ważnych problemów.

OBYCZAJE

KONRAD FREJDLICH

DEMON z siódmej KLASY

„Z wszystkich czartów... każdy ma swe godziny i miejsca, i karaktery, którymi kapturują ludzi potajemnie..."
(„Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu", Brześć 1570)

Znawca literatury satanicznej nie znajdzie tu nic, co by poszerzyło jego wiedzę o mrokach średniowiecza. Znacznie więcej materiału do refleksji wynajdą zapewne w moim reportażu pedagodzy, ci zwłaszcza, którym nie jest znana treść listu prokuratora powiatowego Henryka Marka do inspektora oświaty Łódź-Górna, gdzie czytamy:

„Zaistniałe fakty gwałtów wśród uczniów szkół podstawowych są zjawiskiem wysoce niepokojącym i dlatego zachodzi potrzeba podjęcia określonych działań wychowawczych".

Nie znam odpowiedzi inspektoratu oświaty na to pismo, ani zarządzeń, jakie musiało spowodować, w świetle jednak tego, co wyczytałem w aktach karnych nr IV K 2/98/73 niepokój prokuratora wydaje się uzasadniony. Tym bardziej, że nie chodzi tu o przypadek wyjątkowy, izolowany. Niemal każdy z moich rozmówców — sędziów zetknął się w swojej praktyce sądowniczej ze sprawami podobnymi rodzajowo, choć może nie mającymi tak patologiczno-społecznych splątań jak ta, którą chcę przedstawić.

Fot. W. Parys

W tej historii nieważne są nazwiska, daty, ani nawet bliższe określenie miejsca akcji. Nomina sunt odiosa. Niechże nam wystarczy, że rzecz wydarzyła się w jednym z wieżowców na Dąbrowie w pobliżu osiedlowej szkoły podstawowej i że krąg osób wtajemniczonych, a nawet uczestniczących był ogromny: niemal wszyscy uczniowie klas siódmych. Najpóźniej dowiedzieli się o wszystkim rodzice i pedagodzy.

Mówi wychowawczyni klasy siódmej:

— Zauważyłam, że od pewnego czasu dziewczęta były na lekcjach nie przygotowane, jedna miała zasinienie na policzku i gdy ją zapytałam, skąd się to wzięło, odparła, że spadła ze schodów. Były roztargnione, nieuważne, płakały i po dłuższej rozmowie ze mną przyznały się, że odwiedziły Ewę, u której byli chłopcy, którzy wyrządzili im krzywdę.

Było to dokładnie w tydzień po zdarzeniu, o którym cała klasa wiedziała więcej od swej nauczycielki. Było to w pięć miesięcy od wydarzeń, które zapoczątkowały proces demoralizacji niespełna trzynastoletniej uczennicy, późniejszego demona klas siódmych. Czy rzeczywiście szkoła niczego nie spostrzegła? Ewa często wagarowała, miała na okres sześć ocen niedostatecznych. „Były z nią kłopoty — zezna przed sądem nauczycielka — wywoływała konflikty w gronie rówieśników, była agresywna, zmieniła się na niekorzyść w szóstej klasie". Wychowawczyni wypowie jeszcze zastanawiające słowa: „Bardzo interesowała się chłopcami, była natrętna w stosunku do nich, skarżyli się na nią. Jedna z nauczycielek widziała Ewę w towarzystwie

(Dalszy ciąg na str. 12)

HISTORIA NAJNOWSZA

ANDRZEJ BLAJER (II)

„KOSZTOWNA" OPERACJA

Nadeszła wiosna 1949 roku. Tymczasem prace przygotowawcze do operacji „Valuable" posuwały się szybko naprzód. W kwietniu były one już na tyle zaawansowane, iż Donnelly wraz z Ronaldem Oldem, młodym oficerem do spraw szkolenia oraz z oficerem łączności mógł się udać na Maltę.

Po przybyciu na miejsce Donnelly nawiązał kontakt z oficerem tajnej służby — człowiekiem MI-15. Celem podróży był odbiór kwatery głównej dla operacji „Valuable". Miejsce, które zaproponowano, fort Bingemma, okazało się idealne. Toteż Donnelly przyjął oferowaną propozycję i niezwłocznie powrócił do Londynu. Tam dowiedział się, że przygotowania do operacji uległy pewnym zmianom. Kierujący akcją z ramienia SIS, X, z powodu choroby musiał udać się do sanatorium, zaś nowemu szefowi udało się tymczasem przełamać lody w kontaktach z Amerykanami i w biurze Donnelly'ego pojawił się jego odpowiednik z CIA.

Kwestia, jaką obaj mieli obecnie rozwiązać, była niezwykle pilna z punktu widzenia dalszych przygotowań. Chodziło o znalezienie łodzi. Zadanie okazało się o wiele trudniejsze, niż obaj pierwotnie sądzili. Jednak oficer SIS, Ronald Old, przekazał wkrótce wiadomość, że odpowiednia łódź znaleziono na Malcie. Był to właściwie mały jacht, wyposażony w dwa silniki Diesla. Jego właściciel, Anglik, mieszkający w Slimea, twier-

(Dalszy ciąg na str. 4)

MALTA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KLĘSKA CHIŃSKA przy STRAIT STREET

W La Valetcie jest uliczka, która nazywa się Strait Street. W bezpośrednim sąsiedztwie tej uliczki, pełnej brudu, gnijących owoców i rozdeptanych papierosów, znajduje się wszystko, co ważne. Znajdują się więc ministerstwa, konsulaty, kościoły, sąd, parlament, zamek królewski, siedziba główna policji i wiele innych urzędów, co zaś się tyczy samej Strait Street, jest tu tylko nieskończona ilość barów.

Nazwy tych barów są, jak wszędzie: „SZCZĘŚLIWA PRZYSTAŃ" „PIĘĆ SIÓSTR", „SIÓDME NIEBO", natomiast dziewczyny, które przed nimi stoją, są inne: po pierwsze — bardzo młode, po drugie bardzo ładne, po trzecie — niespotykanie napastliwe.

Samotny mężczyzna nie ma prawa przejść spokojnie przez Strait Street — zostanie po prostu pochwycony przez kilkanaście rąk i wciągnięty do środka. Dzieje się to w myśl hasła: skoro tu jesteś, to znaczy że chcesz, a skoro chcesz, pomożemy ci przezwyciężyć nieśmiałość! Toteż mężczyźni, których zwabiła tu tylko ciekawość — marynarze, dziennikarze, dyplomaci i turyści ze wszystkich stron świata — chodzą na wszelki wypadek dwójkami i trójkami, trzymając się mocno za ręce.

Strait Street pracuje na dwie zmiany przy udziale dwóch różnych kom-

(Dalszy ciąg na str. 4)

PO PLENUM KŁ PZPR

JERZY WAWRZAK

GOSPODAROWANIE... LUDŹMI

Dla humanisty terminy „gospodarowanie ludźmi", „zasoby siły roboczej", „czynnik ludzki" nie brzmią zbyt przyjemnie. Kojarzą się przecież natrętnie z „gospodarowaniem ziemią", „wykorzystaniem środków trwałych" itp. pojęciami ze sfery przedmiotów materialnych. Problem jest jednak ż y w y, skupia uwagę nie tylko polityków technokratów, ekonomistów i socjologów, ale promieniuje szerzej na cały wachlarz poczynań kulturotwórczych. Jest, mówiąc najzwięźlej, koniecznością, która przynosi określone troski i niepokoje, ale także szansą — jak każde zjawisko w naturze, wywołuje pozytywne i negatywne skutki.

JAK BYŁO DO NIEDAWNA.

W latach sześćdziesiątych w polityce zatrudnienia głównym celem było stworzenie warunków do pełnego zatrudnienia. Była to wielka zdobycz społeczna wynikająca z zasad ustrojowych. Ekstensywny charakter naszego rozwoju gospodarczego ułatwiał wchłonięcie względnie obfitych zasobów ludzkich. Przy takim charakterze gospodarki i takich założeniach polityki zatrudnieniowej, na konsekwencje nie trzeba było długo czekać. Wystąpiły tendencje do zatrudnienia rozrzutnego, nie podporządkowanego rygorom efektywności, o wątpliwej użyteczności społecznej pracy np. niezgodnej z kwalifikacjami. Nie stworzyliśmy wówczas jednolitego systemu polityki zatrudnieniowej, uwarunkowanej potrzebami rozwoju społeczno-ekonomicznego. System bodźców ekonomicznych także pozostawiał wiele do życzenia, mimo licznych eksperymentów. W konsekwencji ten ogromny kapitał ludzki nie przyniósł maksymalnych efektów gospodarczych, jego potencjał nie został w całości racjonalnie wykorzystany.

PIĘCIOLATKA OBECNA...

przyniosła zasadne zmiany w kierunkach społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju. Pomijając w tym miejscu wszystkie inne charakterystyczne aspekty tych decyzji — gospodarka narodowa weszła na tory rozwoju intensywnego. Ponadto powiązanie celów gospodarczych z programem rozwoju społecznego spowodowało, że czynnik ludzki stał się jednym z podstawowych motorów tego dynamicznego rozwoju. Człowiek jako twórca dóbr materialnych i kulturowych, człowiek jako p o d m i o t procesów społecznych wziął na siebie rolę decydującą. Problem ludzi zdeterminował wszystkie pozostałe. Tym bardziej że istnienie nadwyżki wolnych rąk do pracy należy do bezpowrotnej przeszłości, a prognozy demograficzne wskazują, że gospodarując po staremu tych rąk by nam po prostu zabrakło. Życie, już teraz, zmusza nas do podjęcia niezbędnych kroków, by racjonalne zatrudnienie stało się prawem i wyższą koniecznością. Dotyczy to zwłaszcza dużych aglomeracji jak np. łódzka, gdzie rezerwy zatrudnienia są praktycznie wyczerpane. Taką m.in. rezerwą w kraju było zwiększanie aktywizacji zawodowej kobiet. W Łodzi osiągnęła ona pułap maksymalny. Dodajmy do tego niedorozwój usług (będących w pewnym sensie naturalnym miejscem pracy dla kobiet), a także rozwój przemysłowy województwa łódzkiego, które przestaje być nie wyczerpanym rezerwuarem siły roboczej. Te uwarunkowania regionu jednoznacznie określają rangę problemu racjonalnego gospodarowania „czynnikiem ludzkim".

CO MÓWIĄ DEMOGRAFOWIE?

Przede wszystkim nie zostawiają nam żadnych złudzeń. Ale popatrzmy na liczby, które mówią same za siebie.

W latach 1945—60 w wyniku wysokiego przyrostu naturalnego i migracji do miasta, ludność Łodzi wzrosła z 502 do 717 tys. W następnym dziesięcioleciu nastąpiło zahamowanie wymienionych wyżej procesów, a obecna pięciolatka potwierdziła stabilizację tego zjawiska. Przewiduje się w konsekwencji, że na koniec 1975 r. Łódź będzie liczyć ok. 795 tys. mieszkańców.

A co będzie w przyszłości? W ciągu następnych piętnastu lat do roku 1990 ludność Łodzi zwiększy się t y l k o o ok. 120 tys. mieszkańców. Podobne proporcje występują w przyroście ludności w wieku produkcyjnym. Po wejściu w wiek produkcyjny roczników powojennych z okresu „demograficznej eksplozji", dopływ młodych kadr będzie systematycznie maleć.

Wnioski z tego wypływają jednoznaczne, każda para rąk musi być właściwie i w pełni wykorzystana.

CZY JEST TO ZROZUMIAŁE POWSZECHNIE?

Otóż, niezupełnie. Przytoczmy znów liczby, które nie pokazują oczywiście całej złożoności problemu, ale sygnalizują wiele niekorzystnych zjawisk. Weźmy straty czasu pracy. Od trzech lat statystyka GUS notuje prawie stały poziom: od 9,3 proc. do 9,8 proc. Daje to ok. 210 godzin na jednego robotnika w skali roku.

Przeprowadzane badania strat czasu pracy w trzecim kwartale ub. roku wykazują ponadto ogromną rozpiętość poziomu strat w poszczególnych branżach, a także przedsiębiorstwach tej samej branży. Np. nieobecności nie usprawiedliwione (w dniach na 100 zatrudnionych) wynosiły od 2,5 do 31 dni.

W ujęciu globalnym liczby te wyglądają następująco. W działach produkcyjnych gospodarki miasta średnio każdego dnia nie było w pracy ok. 30 tys. robotników, a w działach nieprodukcyjnych ponad 4 tys. osób. Liczby te określają jednocześnie wielkość rezerw, nie wykorzystanych możliwości. Ale nie są to rezerwy jedyne.

GDZIE SĄ DALSZE REZERWY?

Przede wszystkim we wzroście wydajności pracy. Jest to problem złożony, bo np. tam gdzie jest stary i wyeksploatowany park maszynowy — wzrost wydajności nie jest możliwy w szerszym zakresie. Jednakże takich zakładów mamy z każdym rokiem mniej. Rzecz w tym, że dokonywana modernizacja musi być również oceniana pod względem możliwości zmniejszania nakładów robocizny.

Powszechną bolączką jest niska mechanizacja prac pomocniczych (w transporcie wewnętrznym, w magazynach) wymagających dużej pracochłonności.

Nadmierna fluktuacja kadr i zilustrowana wcześniej niedostateczna dyscyplina pracy.

Przerosty zatrudnienia w administracji i grupach pośrednio produkcyjnych.

Zbyt niski poziom kwalifikacji w wielu przedsiębiorstwach oraz praca niezgodna z posiadanymi kwalifikacjami.

Żeby nie być gołosłownym znów kilka liczb.

W 1973 roku w Łodzi przyjęto do pracy ok. 116 tys. pracowników, a zwolniło się ponad 107 tysięcy. (Współczynnik przyjęć wyniósł 28 proc., zwolnień 25 proc.). A przecież powszechnie wiadomo, że każdy nowo przyjęty do pracy musi się przez pewien czas adaptować i jego wydajność w tym okresie jest o wiele niższa. Dodajmy do tego, że samo załatwienie formalności przyjęcia do pracy trwa ok. 2,5 dnia, co w skali miasta daje ponad 250 tys. dni roboczych w skali rocznej. Oczywiście w rozsądnych proporcjach fluktuacja jest zjawiskiem normalnym, ale w takich rozmiarach jest nie do przyjęcia.

Marginesowym zjawiskiem fluktuacji jest samowolne porzucanie pracy, którego jednak pominąć nie można. Gorzej, bo wydane w 1973 r. przepisy mające na celu zahamowanie tego zjawiska, nie spowodowały poprawy. Przeprowadzone kontrole wykazały, że w wielu zakładach przyjmuje się do pracy tych ludzi na wyższe stawki płacowe. Kierownictwa tych zakładów zdają się nie rozumieć, że obiektywnie działają przeciw swym interesom, mimo doraźnego zaspokojenia swoich potrzeb.

WYKSZTAŁCENIE, CZYNNIK PODSTAWOWY.

Przemysł i gospodarka w Łodzi unowocześnia się ostatnio w ogromnym tempie. Z dnia na dzień nasyca je nowa technika i technologia. To wielka satysfakcja, ale dopiero połowa sukcesu. Najnowocześniejsze, na światowym poziomie techniki wytwarzania, wymagają wysoko wykwalifikowanych kadr.

W etap przyspieszonego rozwoju miasta i modernizacji gospodarki wystartowaliśmy pod tym względem z nie najlepszej bazy. W 1970 r. na 1000 zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej mieliśmy z wykształceniem ponadpodstawowym 365 osób, podczas gdy średnia krajowa wynosiła 462 osoby. Wg prognoz do roku 1990 powinniśmy posiadać przynajmniej 12 proc pracowników z wykształceniem wyższym (obecnie 7 proc.) 22 proc. ze średnim technicznym (obecnie ok. 14 proc.) oraz 65 proc. robotników wykwalifikowanych.

Istnieje więc problem zdobywania nowych kwalifikacji na miarę potrzeb gospodarki, ale także niebagatelną sprawą jest przekwalifikowanie części pracowników, którzy w wyniku unowocześnienia produkcji, automatyzacji itp. przejdą do innych branż m.in. do usług. Dotyczy to zwłaszcza kobiet.

GRUDNIOWY PRZEGLĄD...

poziomu i struktury zatrudnienia miał na celu przeciwdziałanie tym negatywnym zjawiskom, o których mówiliśmy poprzednio. A przede wszystkim: ujawnienie i zagospodarowanie rezerw czasu pracy, określenie poziomu zatrudnienia w stosunku do zadań i ujawnienie tym samym nadwyżek, ocenę stanu zatrudnienia w porównaniu ze strukturą zakładu, lepsze wykorzystanie kwalifikacji pracowników.

Według oceny **lutowego plenum Komitetu Łódzkiego PZPR** społeczny przegląd przyniósł oczekiwane rezultaty. Nie chodzi tu tylko o ujawnione nadwyżki zatrudnienia (ok. 5 tys. osób i odpowiadający im roczny fundusz płac w wysokości 146 mln zł), ale wnikliwe, gospodarskie przypatrzenie się aktywu partyjnego, związkowego, administracji przedsiębiorstw, problemom, które w przeszłości były jakby trochę na dalszym planie. Podjęcie tych działań wielu ludziom uzmysłowiło potrzebę krytycznego spojrzenia na własne podwórko, w stosunku do spraw, które wydawały się normalne, do których się latami przywykło. I okazało się, że usunięcie wielu anomalii powodujących stratę czasu pracy nie wymaga inwestycji i modernizacji, ale logicznego myślenia i konsekwentnego egzekwowania ustaleń i zarządzeń. Przykładów można by przytoczyć tu wiele. Nie o nie jednak chodzi tym razem.

Warto jednak podkreślić, że pokusić się o taką tezę, że jeśli nie przekroczyliśmy, pewnej **bariery psychologicznej**, to jesteśmy już nad nią. Sądzę tak na podstawie wielu rozmów, jakie prowadziłem ostatnio z działaczami politycznymi i gospodarczymi, na podstawie **dyskusji**, jaka miała miejsce na ostatnim plenum KŁ. Myślę, że nikt z działaczy i menadżerów naszej gospodarki nie ma złudzeń, że będzie miał tylu ludzi ilu by chciał, a nawet ilu mu eksperci wyliczą, bo regułą prawie się staje, że wszelki przyrost produkcji dokonuje się (mniej więcej od dwóch lat) poprzez wzrost wydajności pracy, ale nie przyrosty zatrudnienia. A więc nie większa liczba rąk, ale ręce sprawniejsze, obsługujące maszyny o dziesięcio- dwudziestokrotnie większej wydajności niż ich poprzedniczki. Nie więcej głów do myślenia, ale głowy sprawniej myślące, o szerokich horyzontach, właściwie wykorzystane. Na przykład (by inżynier nie spełniał funkcji technika czy urzędnika, a technolog, czy konstruktor nie bawił się w kreślarza). To przekonanie musi zdobyć prawo obywatelstwa w myśleniu o przyszłości i codziennej praktyce.

NIE MA TEGO ZŁEGO...

co by na dobre nie wyszło. Sytuacja na rynku pracy, dziś a szczególnie w nie tak odległej przyszłości, stawia nas w sytuacji przymusowej. Prawa rozwoju społeczno-ekonomicznego, postępu gospodarczego i cywilizacyjnego, mają to do siebie, że nie można z nimi dyskutować. Trzeba je tylko zrozumieć i wyciągnąć z nich odpowiednie wnioski. Wtedy działają na naszą korzyść. I właśnie przyszła na to pora. Nie jest za późno, ale powiedzenie, że jeszcze mamy czas, byłoby społecznym szkodnictwem.

W obecnej pięciolatce dokonaliśmy niebywałego postępu w ilościowym i jakościowym rozwoju gospodarki, ale to tylko dobra baza startowa, trampolina do odbicia się do jeszcze wyższego lotu. Powiedziałbym że jesteśmy skazani na ten lot na najwyższym pułapie jeśli chcemy dorównać przodującym narodom świata. Cel ten zrealizujemy m.in. pod warunkiem, że praca będzie nie tylko najwyższym prawem, ale także najwyższą wartością.

ZESPÓŁ FILMOWY „PROFIL" – zainaugurował działalność

W dniu 7 stycznia odbyło się spotkanie łódzkiego Zespołu Filmowego „Profil" z przedstawicielami środowisk twórczych naszego miasta. Fakt powstania zespołu filmowego w „polskim Hollywoodzie", jest wydarzeniem, które trudno przecenić.

Dzięki staraniom partyjnych i administracyjnych władz miasta została zlikwidowana wieloletnia anomalia, skazująca filmową Łódź na wyłącznie funkcje usługowe wobec kinematografii. Obecnie powstały niezbędne warunki do odbudowy twórczego środowiska filmowego.

Wszystkie środowiska twórcze, czemu dano wyraz na spotkaniu, od lat postulowały powołanie zespołu filmowego, jako naturalnego miejsca integracji wszystkich bez wyjątku dziedzin twórczości. Stworzy to także większe niż dotychczas możliwości wykorzystania istniejącego potencjału twórczego pisarzy, plastyków, aktorów i muzyków. Zlikwiduje jednocześnie frustrujące poczucie niemożliwości, jakie odzywało się niejednokrotnie w przeszłości.

Pierwsze spotkanie było okazją do wzajemnej prezentacji i złożenia deklaracji dobrej woli i współpracy. Kontynuacją będą oczywiście, spotkania robocze z poszczególnymi środowiskami. Spotkanie było także okazją do zapoznania się z najbliższymi planami Zespołu. Mówili o nich kierownik artystyczny ZF „Profil", reżyser BOHDAN PORĘBA i kierownik literacki WACŁAW BILIŃSKI.

Wszystkim członkom Zespołu „ODGŁOSY", które w przeszłości niejednokrotnie orędowały za powstaniem w Łodzi tak ważnego ogniwa kulturalnego, składają serdeczne życzenia wielu ideowo-artystycznych twórczych dokonań dla dalszego rozwoju kultury polskiej.

(J. W.)

HISTORIA NIE TYLKO HISTORIA

ZAPOMNIANO O ŁODZI?

O serii wydawniczej, opatrzonej tytułem: **„Polska klasa robotnicza — studia historyczne"**, ukazującej się w Państwowym Wydawnictwie Naukowym, pisałem na łamach „Odgłosów" już kilkakrotnie. Ukazuje się ona pod redakcją znanego historyka ruchu robotniczego **Stanisława Kalabińskiego** od 1970 r. i obejmuje do dziś sześć tomów liczących sobie od ponad 400 stron druku każdy, zawierających po kilkanaście rozpraw i artykułów autorów ze wszystkich ośrodków naukowych naszego kraju.

Tom piąty pojawił się na przełomie 1973 i 1974 r., zwróciła w nim naszą uwagę znakomita i pionierska rozprawa **Władysława Lecha Karwackiego o „Piosence w środowisku robotniczym"**, której dokończenie znalazło się w ostatnim, szóstym tomie serii który ukazał się przed kilkoma miesiącami. Omawiając w „Odgłosach" pierwszą część tego studium zapowiedziałem, że wypadnie nam przypatrzeć się także całości piątego tomu **„Polskiej klasy robotniczej"**. Wypada mi więc spłacić dzisiaj zaciągnięty dług i wykonać zobowiązanie, zanim przejdziemy do przedstawienia treści tomu VI, który właśnie mamy w ręku.

Jest to seria wydawnicza o kapitalnym wręcz znaczeniu poznawczym i światopoglądowym, która zrodziła się z jakże uzasadnionego przekonania, że wszelkie badania nad dziejami ruchu robotniczego, historią partii robotniczych muszą nieuchronnie zawisnąć w próżni, jeżeli nie będziemy dysponowali obszernym zakresem wiedzy o klasie robotniczej jako podstawie działalności ruchu. Nie chodzi tu zresztą jedynie o odrobienie zaległości z czasów, kiedy nasza historiografia ruchu robotniczego zajmowała się z upodobaniem dziejami takich czy innych wybranych elit. Chodzi tu bowiem o zasadniczą zmianę perspektywy historycznego spojrzenia na społeczne dzieje Polski w XIX i XX w., uwarunkowaną przez nowoczesną metodologię historii jako dyscypliny, zajmującej się przede wszystkim społeczeństwem, ludzkimi zbiorowościami badającej je możliwie wszechstronnie. Historia klasy robotniczej nie może być, jak niegdyś bywało, zbiorem ogólnych stwierdzeń o wzrastającym wyzysku, choć sprawa wyzysku klasowego ma tu kapitalne znaczenie, historia ruchu nie może też być kolekcją żywotów mniejszych lub większych działaczy, choć nie sposób zaprzeczyć doniosłej roli historycznej biografistyki. Zawężona perspektywa badawcza, z którą redakcja **„Polskiej klasy robotniczej"** konsekwentnie zerwała, nie może bowiem stanowić podstawy dla rozszerzenia i pogłębienia naszej wiedzy o dziejowej roli klasy robotniczej i jej jakże zróżnicowanego ruchu w nowożytnych i najnowszych dziejach Polski.

Troska o wszechstronność spojrzenia historyka na problematykę klasy — oto co charakteryzuje ostatnie tomy **„Polskiej klasy robotniczej"**. W V tomie studiów mamy więc zarówno rozprawy dotyczące położenia i materialnych warunków życia klasy robotniczej — jak prace **Stanisława Meduckiego „Położenie materialne robotników dystryktu radomskiego w latach 1939—1944"**, **Hanny Jędruszczak** o dochodach robotników i urzędników w Polsce w pierwszych latach Polski Ludowej **Mieczysława Markowskiego** o zatrudnieniu i strukturze robotników przemysłowych województwa kieleckiego w okresie międzywojennym, **Mieczysława Motasa** o zagadnieniu zatrudnienia bezrobotnych w Królestwie Polskim w pierwszym roku I Wojny Światowej i **Walentyny Najdus** o pracy najemnej w wielkich magnackich gospodarstwach rolnych w Galicji w pierwszej połowie XIX w. — jak studia, poświęcone innej problematyce. Są to zagadnienia historii postaw politycznych i ruchu robotniczego, którym poświęcona jest publikowana tu druga część pracy **Stanisława Kalabińskiego** o ruchu strajkowym w latach 1905—1906, a także nadzwyczaj interesujące studium **Ludwika Hassa** o postawach politycznych klasy robotniczej międzywojennej Warszawy w świetle wyników wyborczych, napisane w związku z badaniami tegoż autora nad dziejami wyborów w Warszawie w okresie II Rzeczypospolitej. Znajdujemy tu wreszcie część I pionierskiej pracy **Zbigniewa Szczygielskiego „Członkowie Komunistycznej Partii Polski w świetle ankiet osobowych"** (której dokończenie przynosi tom VI). Zasługuje ona na baczną uwagę, bowiem podobnie jak studia S. Kalabińskiego i L. Hassa, stanowi ciekawy przykład zastosowania do badań nad dziejami ruchu robotniczego metod statystycznych.

Problematykę dziejów kultury reprezentują w tomie V: znana nam już pierwsza część rozprawy Wł. L. Krawackiego oraz studium **Jadwigi Krajewskiej „Z dziejów oświaty robotniczej. Biblioteki robotnicze w Królestwie Polskim w latach 1870—1914"**. Nasze stwierdzenie o dążeniu redakcji do możliwie wszechstronnego ogarnięcia całokształtu badanej problematyki znajduje więc w omawianym tomie pełne potwierdzenie: szeroki wachlarz tematów, szeroka skala chronologiczna badanych zagadnień — od pierwszej połowy XIX w. po dzieje niemal nam współczesne, początki Polski Ludowej — wszystko to świadczy o konsekwentnej realizacji przyjętych założeń.

Seria wydawnicza **„Polska klasa robotnicza"** w swych kolejnych tomach stanowi odzwierciedlenie badawczej aktywności różnych środowisk naukowych w kraju — jeżeli jakiś region Polski jest tu mniej reprezentowany świadczy to o mniejszej aktywności takiego czy innego ośrodka badań historycznych. Tradycyjnie wiele miejsca poświęca się tu tematyce warszawskiej, ostatnio zaś coraz więcej rozpraw dotyczy problematyki śląskiej, co stanowi świadectwo aktywizacji śląskich środowisk naukowych w badaniach nad zagadnieniami klasy robotniczej. Niepokoi natomiast — a nie jest to przecież winą redakcji — **stosunkowo nikła obecność tematyki łódzkiej. Nie mówię o problematyce Królestwa Polskiego w ogóle, ale o zagadnieniach klasy robotniczej łódzkiego okręgu przemysłowego.** Mam przed sobą wszystkie sześć tomów omawianej serii: jedynie w trzecim z nich (1972) znalazłem prace o tematyce łódzkiej takich autorów — choć już pisałem o tym w „Odgłosach", warto to jednak przypomnieć — jak **Wanda Zajączkowska** (praca o położeniu rzemieślników w Łodzi w połowie XIX w.), **Krzysztof Groniowski** (studium o udziale robotników okręgu łódzkiego w emigracji do Brazylii w 1890 r.) **oraz Ludwik Mroczka**, który ogłosił pracę o płacach robotniczych w łódzkim przemyśle włókienniczym w pierwszych latach II Rzeczypospolitej, a także **Tadeusz Bojanowski**, autor studium o płacach i warunkach pracy w zakładach „I. K. Poznański" w Łodzi w czasach okupacji hitlerowskiej.

Tematykę łódzką reprezentują więc tylko cztery prace, na aż 69 rozpraw ogłoszonych w sześciu tomach „Polskiej klasy robotniczej" tyle samo, co problematykę białostocką (4), wprawdzie więcej, niż tematykę kielecką (3) i radomską (2), ale w porównaniu z pracami poświęconymi dziejom innych wielkich ośrodków klasy robotniczej, jest to bardzo mało. Wypadałoby więc zastanowić się nad tym wysoce niepokojącym zjawiskiem. W każdym razie — niezależnie od tego, jakby je oceniać — dwie rzeczy nie ulegają moim zdaniem żadnej wątpliwości: po pierwsze — że problematyka historii klasy robotniczej Łodzi i okręgu łódzkiego ma istotne znaczenie dla poznania przeszłości polskiej klasy robotniczej w ogólności, po drugie — że mimo dotychczasowego dorobku nauki historycznej w tym zakresie, daleko jeszcze do pełnego i wszechstronnego zbadania tego jakże ważnego obszaru.

LEKTOR

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MAPEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

30 LAT

Fot: W. Parys

Z dziekanem Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego UŁ – doc. dr hab. CEZARYM JÓZEFIAKIEM rozmawia Włodzimierz Stokowski.

— Chciałby Pan z pewnością zacząć od pytania o pradzieje obecnego Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego?

— Nie, Panie Docencie, to pytanie zostawiam na później. Pragnąłbym zacząć, jeśli można tak powiedzieć, od końca: czym jest Wydział w tej chwili, dzisiaj?

— Jest ośrodkiem myśli ekonomicznej i socjologicznej, związanym z problemami naszego terenu i z problemami przemysłu łódzkiego. Jednocześnie pozostaje ośrodkiem akademickim, to znaczy ma aspiracje i możliwości wnoszenia swego wkładu w rozwój nauki. Naszą podstawową działalnością jest przygotowywanie i dostarczanie kadr specjalistów gospodarce, administracji, oświacie, nauce, kulturze i innym instytucjom.

Przygotowujemy kwalifikowane kadry ekonomistów i socjologów głównie dla naszego terenu. Przyjmując sugestie Urzędu m. Łodzi i Urzędu Wojewódzkiego uruchomiliśmy na studiach stacjonarnych nową specjalność pod nazwą „gospodarka miejska". Nasi pracownicy naukowi przygotowują ekspertyzy i inne materiały dla potrzeb władz administracyjnych Łodzi i województwa. W celu zintensyfikowania naszej pracy badawczej na rzecz terenu powołaliśmy przed rokiem Zakład Badań Regionalnych. Są i inne przykłady. Wszystko to nie oznacza jednak, że chcemy ewoluować w kierunku jakiejś placówki czysto usługowej. Wydział bowiem nie powinien tracić rangi ośrodka akademickiego. A zatem czynnikiem wiodącym jest i powinien być nadal rozwój badań naukowych, przede wszystkim podstawowych, w których nie oczekuje się, że wszystkie wyniki dadzą się bezpośrednio wykorzystać w praktyce.

— To z kolei musi się wiązać z szerokimi kontaktami naukowymi.

— Tak, zarówno w kraju, jak i za granicą. Dziś są one istotnie bardzo szerokie, a doszliśmy do nich głównie w ciągu ostatnich kilku lat. Mamy, na przykład, umowy z Uniwersytetem w Tbilisi, Szegedzie, Lipsku i Sofii, w przygotowaniu są porozumienia z wyższymi uczelniami w Bratysławie i w Zagrzebiu. Utrzymujemy także kontakty z wyższymi uczelniami krajów kapitalistycznych: w USA, Wielkiej Brytanii, RFN i in. Wszystko to jest niezbędne, aby utrzymać się w nurcie nauki światowej.

Kilka przykładów naszej aktywności naukowej w skali międzynarodowej w 1974 roku: w Moskwie wydano książkę prof. Antoniny Kłoskowskiej „Kultura masowa", w Oslo i w Kioto prof. Władysław Welfe prezentował swoją obszerną pracę „Średniookresowy ekonometryczny model gospodarki polskiej", prof. Janusz Górski przedstawiał swe referaty m. in. na konferencjach w Illinois i w Osace, prof. Jerzy Dietl — w Lizbonie i w Atenach, prof. Jan Mujżel — w Moskwie i w Garmisch-Partenkirchen, prof. Jerzy Kortan — w Gratzu i w Berlinie, prof. H. Mortimer-Szymczak — w Moskwie, prof. Władysław Piotrowski — w Tbilisi, prof. A. Kłoskowska, prof. Jan Lutyński i doc. Jolanta Kulpińska — w Toronto. Nie jest to bynajmniej pełna lista. Z drugiej strony stało się już rzeczą zwykłą, iż organizowane przez nas konferencje i sympozja mają międzynarodową obsadę.

— Wydział w swym obecnym kształcie nie od razu doszedł do tej skali badań i pozycji, jaką zajmuje dzisiaj. Był jednym z pierwszych wydziałów otwartych trzydzieści lat temu na Uniwersytecie Łódzkim i przeszedł liczne ewolucje. Teraz sięgam do pradziejów: od czego zaczął?

— Od bardzo trudnych warunków, które powodowały, że praca naukowa i dydaktyczna wymagała nie tylko dużych wysiłków, ale niekiedy wręcz ofiarności. Były, jak wiadomo, próby tworzenia w Łodzi miedzywojennej uczelni wyższych, a w tym i uczelni ekonomicznej. W latach 1924—1928 stawiała pierwsze kroki Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i Ekonomicznych, ale zgasła, podobnie jak kilka innych tego rodzaju inicjatyw. Nie było środków, ale przede wszystkim ówczesne władze nie miały ochoty utrzymywać w Łodzi takiej uczelni. Od 1928 roku działał w naszym mieście oddział Wolnej Wszechnicy Polskiej, z którą czujemy się związani ze względu na postępowe tradycje, a nawet ze względu na związki kadrowe. Przypomnę, iż jeden z pierwszych rektorów Uniwerystetu Łódzkiego, prof. J. Chałasiński, był zaangażowany w działalność naukową i dydaktyczną Wolnej Wszechnicy Polskiej, podobnie jak i emerytowany profesor naszego Wydziału, wybitny demograf prof. Edward Rosset. Gdy mówimy o pradziejach to warto wspomnieć także, że budowa gmachu dydaktycznego Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego była rozpoczęta w 1937 roku dla potrzeb ówczesnej Wolnej Wszechnicy Polskiej. Ukończono ją dopiero po wojnie, w 1948 roku, do dziś jednak zaspokaja ponad 90% naszego zapotrzebowania na sale audytoryjne.

W 1945 roku powstał Uniwersytet Łódzki, który był kontynuacją postępowych zamierzeń, dokonywanych bez powodzenia w okresie międzywojennym. Uruchomiono wówczas, m. in., Wydział Prawno-Ekonomiczny. Jego absolwenci stanowią dziś podstawową część naszej kadry najbardziej dojrzałej naukowo. W tym samym roku powstał w Łodzi Oddział Szkoły Głównej Handlowej, który wkrótce został przekształcony w Oddział SGPiS w Łodzi. A ten z kolei, w 1950 roku w samodzielną Wyższą Szkołę Ekonomiczną.

— Były inne czasy i inne wymagania. Jest też z pewnością i różnica między wymaganiami, jakie stawiano absolwentom ówczesnej Szkoły, a zadaniami, które stawia przed absolwentami dzisiejszy Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny UŁ?

— Zasadnicza różnica. Główny wysiłek Szkoły był skierowany na wykształcenie kadry wykonawczej, pilnie wówczas potrzebnej gospodarce. W miarę postępu gospodarczego zapotrzebowanie na kadry zmieniało się nie tylko w sensie ilościowym, lecz także jakościowym. Tymczasem dokonała się interesująca zmiana: w 1961 roku nastąpiło połączenie WSE z Uniwersytetem i stworzenie Wydziału Ekonomicznego. Wkrótce jego nazwę zmieniono na Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny, łącząc w nim te obie dziedziny wiedzy. Było to połączenie niezwykle cenne, bo nie ma takich problemów gospodarczych, organizacyjnych czy technicznych, które by nie miały swojej drugiej strony, czysto społecznej. Analiza zjawisk gospodarczych bez zbadania ich od strony społecznej nie pozwala na sprecyzowanie trafnych wniosków praktycznych. To połączenie nie było przypadkowe i wpłynęło korzystnie na rozwój pracy naukowej na Wydziale. W jego ramach działają instytuty ekonomiczne i zakłady socjologiczne, które mają wiele okazji i możliwości do owocnej współpracy, do badania różnych problemów jednocześnie z obu stron: ekonomicznej i socjologicznej. Połączenia tych obu dziedzin naukowych dokonano po raz pierwszy w kraju właśnie na Uniwersytecie Łódzkim.

— Czy zechciałby Pan Dziekan podać kilka liczb, ilustrujących rozwój Wydziału?

— W 1945 roku, kiedy tworzono Oddział SGH w Łodzi, mieliśmy 28 pracowników naukowo-dydaktycznych z zakresu nauk ekonomicznych, w tym pięciu profesorów. Liczba studentów Oddziału SGH wynosiła około pięciuset osób. Dziś mamy na Wydziale ponad 300 pracowników dydaktyczno-naukowych, w tej liczbie 47 profesorów i docentów. Liczba studentów wynosi ponad 4 i pół tysiąca, na różnych kierunkach studiów. Od tych prapoczątków dzisiejszego Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego mury Wydziału opuściło z górą siedem tysięcy absolwentów. Wielu zrobiło już doktoraty, habilitacje, wielu jest profesorami. Trudno by porównać dzisiejszy Wydział z tym, od czego zaczynaliśmy po wojnie. W maju br. chcemy podyskutować na jubileuszowym zjeździe absolwentów o tym, czego dokonaliśmy w ciągu trzydziestu lat.

Obecnie mamy na Wydziale siedem kierunków studiów: organizację i zarządzanie, ekonomikę produkcji z dwiema specjalnościami: budownictwem i przemysłem, handel zagraniczny, handel wewnętrzny, cybernetykę i informatykę ekonomiczną, kierunek ekonomiczno-społeczny z dwiema specjalnościami: gospodarką miejską i teorią ekonomii oraz socjologię. Zdajemy sobie sprawę, że musimy dziś przygotowywać absolwentów coraz lepiej przystosowanych do zmieniających się warunków i do wciąż trudniejszych i bardziej skomplikowanych zadań. Dziś wykonawczy pracownicy są mniej przydatni; potrzebni są pracownicy koncepcyjni, zdolni do znajdowania optymalnych rozwiązań i do wprowadzania w życie innowacji ekonomicznych, czy też organizacyjnych. Musimy kształcić absolwentów, którzy z niechęcią będą przyjmowali zastany porządek rzeczy na swoim odcinku pracy i będą dążyli do zmian i udoskonaleń.

— A to oznacza, że trzeba zmienić programy i metody nauczania.

— Tak. I wysiłki te podejmuje się w skali kraju. Na UŁ, już z górą rok temu, rozpoczęliśmy wprowadzanie nowych programów studiów i na kierunku ekonomicznym mamy już dwa programy. Jeden nowy, który objął dopiero drugi rocznik oraz stary program, według którego kontynuują studia pozostałe, starsze roczniki studentów.

— Na czym polegają te zmiany?

— W planach studiów kładziemy teraz większy akcent na tzw. zajęcia aktywne, a mniejszy na pasywne. Inaczej mówiąc mniejsze relatywnie znaczenie przywiązujemy do wykładów, a większe do zajęć seminaryjnych, na których studenci powinni prezentować różnego rodzaju własne opracowania, przygotowane na podstawie literatury czy też danych, które mieli okazję zebrać podczas praktyk. Chodzi nam głównie o to, żeby sami konfrontowali różnego rodzaju zjawiska ekonomiczno-społeczne i próbowali samodzielnie formułować oceny i wnioski. Dlatego już od I roku wprowadziliśmy seminaria kursowe, które uczą studentów tej aktywnej formy studiów uniwersyteckich.

— A zatem nie tylko przekazywanie wiedzy, lecz także wdrażanie umiejętności samodzielnego myślenia i dokonywania samodzielnych ocen.

— Tak właśnie m. in. rozumiemy unowocześnianie studiów, które będzie procesem trwałym. Ponadto wprowadziliśmy tzw. studia indywidualne. Wiadomo, iż nie wszyscy studenci są jednakowo utalentowani lub jednakowo zainteresowani intesywną pracą podczas studiów. Otóż dla tych najzdolniejszych i najpilniejszych wprowadziliśmy od III roku nauki formę studiów indywidualnych, pod warunkiem, iż na pierwszych dwóch latach uzyskiwali dobre oceny. Student otrzymuje opiekuna: profesora, docenta lub adiunkta, razem z nim ustala indywidualny program swoich dalszych studiów oraz studiuje pod jego opieką. Tę formę studiów ukończyło już kilkudziesięciu naszych studentów i uważamy, że w pełni zdała egzamin. Dlatego będziemy ją nadal stosować i rozwijać.

— Przy masowych studiach jest to chyba jedyna forma wyławiania talentów i zapewniania im opieki na jaką zasługują?

— Niewątpliwie.

— A jeśli idzie o sprawy kadry i prace naukowo-badawcze?

— Mimo, iż odczuwamy brak dostatecznej liczby specjalistów w niektórych dziedzinach, to ogólnie można stwierdzić, że łódzki ośrodek ekonomiczno-socjologiczny nie miał nigdy w przeszłości tak dobrej sytuacji kadrowej jak obecnie. Należy przy tym podkreślić dwie sprawy: po pierwsze, jest to w większości kadra, która w Łodzi uzyskiwała stopnie i tytuły naukowe, a po drugie wielu profesorów i docentów stworzyło wokół siebie zespoły zdolnych i ambitnych młodych pracowników naukowych. Jest to niezwykle ważne dla przyszłości Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego. O randze naszego ośrodka na mapie nauki będzie decydować utrwalanie się istniejących i tworzenie nowych „łódzkich szkół naukowych". Dziś mówi się już, na przykład, o łódzkiej szkole socjologii kultury, dzięki pracom członka Polskiej Akademii Nauk prof. A. Kłoskowskiej i jej uczniów, o łódzkiej szkole socjologii przemysłu, ekonometrii i innych.

W procesie kształcenia kadry naukowej, w pracach badawczych i w dydaktyce, nieocenionej pomocy udziela nam kilku profesorów z ośrodka warszawskiego, którzy współpracują z nami już od wielu lat, jak np.: prof. W. Trzeciakowski — w zakresie handlu zagranicznego, prof. J. Goryński — w zakresie budownictwa i inwestycji miejskich, prof. J. Regulski — w zakresie urbanistyki i inni.

Szczegółowe omówienie prac naukowo-badawczych wymagałoby wiele czasu i miejsca. Wspomnę więc tylko, że z roku na rok ilość zakończonych prac rośnie bardzo szybko oraz że w coraz większym stopniu są one rezultatem wysiłków całych zespołów, a w malejącym stopniu osiągnięciem poszczególnych osób.

— Panie Dziekanie, w badaniach naukowych istnieje trudny problem, który, o ile mi wiadomo, niepokoi wielu ludzi nauki w kraju. Jest nim godzenie badań podstawowych z potrzebami praktyki. Jak Wydział rozwiązuje ten problem?

— Ogólnie rzecz biorąc, próbą jego rozwiązania było wprowadzenie tzw. problemów węzłowych. Są to jak gdyby pytania, które stawiają centralne władze gospodarcze i państwowe placówkom naukowym, udzielając im pomocy finansowej i materialnej i oczekując pogłębionych naukowo odpowiedzi. Ponieważ nie są to problemy, które by można rozwiązać w krótkim czasie, przeto istnieje tu możliwość łączenia ambicji czysto naukowych z celami praktycznymi. W badaniach problemów węzłowych uczestniczą wszystkie nasze instytuty.

— Istnieją jednak problemy szczegółowe i praktyka czeka na ich rozwiązanie niezależnie od badań węzłowych.

— Oczywiście. Dla Łodzi, na przykład, takie problemy tworzył i tworzy przemysł lekki. W wyniku porozumienia między resortem szkolnictwa wyższego i min. przemysłu lekkiego powstał przy UŁ, związany z naszym Wydziałem — Instytut Ekonomiki Przemysłu Lekkiego. Jest to instytucja, która skoncentrowała swoją uwagę i badania niemal wyłącznie na tym przemyśle. Placówka ta pracuje już od paru miesięcy i jest w stadium rozwoju. Kieruje nią prof. Janusz Gościński, wybitny specjalista w zakresie stosunkowo nowej dziedziny jaką jest — oparta na cybernetyce — teoria systemów organizacji i zarządzania. Instytut podejmuje się opracowania takich tematów, które w najbliższych latach będą miały istotne znaczenie dla tej gałęzi gospodarki narodowej. Jest to jedyny tego rodzaju instytut w naszym Uniwersytecie. Zwolniony od codziennych obowiązków dydaktycznych, może się skoncentrować wyłącznie na problemach przemysłu lekkiego, dających się rozwiązać tylko na drodze badań naukowych.

— Ostatnie pytanie, prawie osobiste: pańskie najskrytsze marzenia jako dziekana?

— Więcej powierzchni dydaktycznej! Oto moje marzenie. Ciasno nam. To nasza bolączka numer jeden. Mamy pod tym względem spore trudności, cieszy nas jednak, iż w perspektywach rozwojowych Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego, w przyszłym Planie 5-letnim, mieszczą się również inwestycje, które w dużym stopniu rozwiążą nasze bolączki lokalowe.

— Pozostaje mi podziękować Panu Dziekanowi za interesującą rozmowę i z okazji trzydziestej rocznicy działalności Wydziału złożyć na Pana ręce, od redakcji „Odgłosów", całemu Wydziałowi najlepsze życzenia dalszych sukcesów dydaktycznych i naukowych.

MALTA – KORESPONDENCJA Z ZAGRANICY

Foto: Archiwum

KLĘSKA CHIŃSKA przy STRAIT STREET

(Dokończenie ze str. 1)

pletów, z których każdy liczy kilkaset osób — panienek, naganiaczy, barmanów. Ranna zmiana, zaczynająca się o godzinie dziewiątej, jest spokojniejsza. O tej porze śpią jeszcze w ludziach namiętności; jeszcze nie czas na bombę piwa i szklaneczkę whisky. Tu i ówdzie siedzą na krzesełkach przed wejściem siedemdziesięcioletnie staruchy o twarzach ni to arabskich ni włoskich. Amore, amore — mamroczą bezzębnymi ustami, celując ręką do środka. Jeśli ktoś wejdzie, momentalnie zaciągają zasłonę z paciorków — znak, że przez najbliższy kwadrans lokal będzie nieczynny.

Około jedenastej na Strait Street pokazali się dwaj Chińczycy. Nie były to żadne strupieszałe okazy z warkoczami, jakich pełno w zachodniej Europie, a regularna gwardia ojczulka Mao. Mieli na sobie mundury z czarnego, lekko przetkanego piaskiem materiału, wyprasowane na swój sposób wytworne, zakończone pod szyją stójkami; ich buty lśniły; jeśli chodzi o inne szczegóły, nie od razu zapadły mi w pamięć, albowiem chiński duet przeraził się nagle szarżujących panienek i czmychnął w uliczkę Świętego Krzysztofa.

Pomiędzy czternastą a szesnastą Strait Street oddaje się zasłużonej sjeście; koty tylko wychudłe i psy rajcują pod murami, no i trafi się nieraz na wysepce cienia żebraczka o płonących oczach Kassandry, albo jakieś porzucone, wrzeszczące dziecko.

Z pierwszym chłodem wychodzi na ulicę druga zmiana. Zbliża się pora wieczornych udojów. W niektórych barach rżnie już mechaniczna muzyczka; opuszczają się firanki, zapalają czerwone światła; umalowane panienki, trochę jeszcze drętwe i ospałe, stoją po sześć, siedem na progach, upatrując w rzadkim jeszcze tłumie pierwszych ofiar, albo też zaczynając dialog na odległość:

— Wejdź!
— Po co!
— Postawisz mi drinka.
— I co ja z tego będę miał?
— Moją miłość.
— Ile to kosztuje?
— Co? Miłość czy drink?
— Drink.
— Parę funtów.
— Nie mam funtów.
— No to parę dolarów.
— A miłość?
— Och, nie bądź kutwa! Będziesz to później mógł po nocach opowiadać żonie.
— Chyba jednak nie wejdę.
— No to giń, frajerze. Żebyś zdechł na pierwszym rogu — i tak cię kocham.
— Ja ciebie też. Bye!
— Bye!
— Bye — bye — bye!

Znowu zobaczyłem dwóch Chińczyków. Tym razem wyłonili się z Britannia Street i szli ramię w ramię środkiem jezdni, wzbudzając prawdziwą sensację. Kilka smagłych, dziewczęcych rąk wyciągnęło się po po nich — ale niepewnie. Jedna z drugą posmyrała ich w policzek — ale bez większej nadziei. Zaszedłem ich swingiem od czoła. Byli wzburzeni, podnieceni i spięci. Młodszy nie miał więcej niż trzydzieści lat: otyła twarz z kropelkami potu nad górną wargą; łeb, jak strudzona szczotka klozetowa, porastał włosami we wszelkich możliwych kierunkach. Starszy natomiast, skóra i kości, gibał się już na krawędzi życia, aczkolwiek krok miał jeszcze zamaszysty: raźno wyrzucał przed siebie buksowate, odrzynające się na nogawkach spodni kolana.

— China? — zapytałem.
— Yes — odpowiedział z godnością ten młodszy.
— What do you want, amigo?
— No, no! — powiedział skrzekliwie staruch. — Nothing! — Ucapił młodszego za ramię i skręcili pospiesznie w Archibishop Street.

Poszedłem za nimi.

Parę kroków i znalazłem się na Kingsway, która jest główną arterią stolicy. Żółci bracia przystanęli na skraju chodnika, obserwując pochód posuwający się za orkiestrą w strone Królewskiej Bramy. Grzmiały trąby i puzony, warczały werble, a tłum — kolumny dziewcząt w szkolnych kostiumach, zastępy chłopców w białych podkolanówkach i krótkich skórzanych spodenkach oraz sporo cywilnej gawiedzi — wznosił okrzyki na cześć maltańskiego premiera.

— Mintoff good? — zaczepił mnie czcigodnie wyglądający Maltańczyk.

— Good, good! — przytaknąłem.

Mintoff prześwięcił przed kilkoma laty Anglików, którzy mieli tu swoje bazy wojskowe. Ponieważ jednak wolność bez pieniędzy jest gorsza od niewoli z dotacjami, Mintoff zaczął szukać wśród możnych nowego ciemiężcy. Pertraktował najpierw z Kadafim, potem zrobił nagle oko do Wschodu. Anglię i NATO ogarnęło przerażenie; odbyła się błyskawiczna składka i Dom Mintoff pozwolił wrócić Brytyjczykom na Maltę pod warunkiem, że będzie za to dostawał co roku o kilkanaście milionów funtów szterlingów więcej niż dotychczas. Pieniądze te przywróciły Maltańczykom wiarę w życie: zmniejszyła się emigracja i „saksy", zwiększyły nadzieje, wzrosło zaufanie do premiera — cudotwórcy, który grozi, że zbuduje na ugornych, skalistych wysepkach archipelagu maltańskiego przemysł, że rozwinie rolnictwo, że zlikwiduje bezrobocie i w ogóle dokona wielu reform socjalnych.

— Niech żyje! Niech żyje! — śpiewał tłum.

— Niech żyje! — wrzasnąłem aż mi zachrobotało w gardle. Rozejrzałem się za Chińczykami. Zniknęli. Czego mogą tutaj chcieć? Dziennik „TIMES OF MALTA" donosił, że jest to oficjalna wizyta przyjaźni i że wkrótce będzie rewizyta. Zresztą... w gazetach maltańskich pełno było ciepłych słów o narodzie, który walczy z papierowymi tygrysami: a to fotografia przedstawiająca demonstrację chińską przeciw Rosjanom, a to Amerykanom, a to znów przeciwko Tajwanowi...

Wzdrygnąłem się na widok dwu dziewczyn, które, konwulsyjnie splecione ramionami, całowały się w ciasnym zaułku. Legenda głosi, że Maltę zamieszkiwało kiedyś plemię lesbijek. Cholera wie... Tak czy owak, na Malcie jest dwa, a niektórzy twierdzą... trzy razy więcej kobiet niż mężczyzn. Kobietom trudniej opuścić wyspę za chlebem. Kobiety bardziej przywiązują się do swoich domów, przyjaciół i rodzin. Kobiety... mój Boże...! czarnookie i czarnowłose (prawdę mówiąc — wolę szatynki!), czerwonouste, ze strzelistymi nogami, które kończą się w niebie (he! he!), z piersiami, które nawet bez staników (prawdopodobnie podchwyci to zaraz jakiś ochłapiarz z prasy krajowej) mogą przyprawić człowieka o zawał (co wy na to, panowie z Bafut i Wolf?), leżą albo raczej stoją odłogiem. To one są stroną aktywną. One polują, one podrywają, one modlą się do Boga, żeby obdarował je mężem, kochankiem albo jakimś flegmatycznym Anglikiem, bo jak nie, to kto je utrzyma? gdzie znajdą pracę, skoro poza nielicznymi drobnymi zakładami produkcyjnymi, portami, w których bezwzględne pierwszeństwo mieli zawsze mężczyźni, małym handlem i małą gastronomią, które też preferują spodnie, lilipucim rolnictwem pro domo sua i kulawą turystyką — nie ma tu innych stanowisk roboczych, chyba że dorzucić jeszcze lokaliki przy Strait Street...

— Hallo, boys! — strzelają w przelocie, dralując przez Kingsway tam i z powrotem, tam i z powrotem. — What can you do? — Że też nie ma tutaj Henia Poczalskiego! — If you are ready, I am ready too...

Podobno pierwsi, ukrywający się w katakumbach chrześcijanie, mieli prawo żyć dziewięć miesięcy przed ślubem na kocią łapę. Jeśli przez ten czas było dziecko — gra muzyka! jeśli nie — wymieniali partnerki. Zostało coś chyba z tych lat...

— Kim wy właściwie jesteście? — wypytywałem Maltańczyka, który obwoził mnie po wsiach i miasteczkach wysepki.
Odpowiadał:
— Arabami.
— Skąd wiesz?
— To się czuje.
— Ale przecież oprócz karty arabskiej, wasza historia posiada jeszcze rozdział fenicki, grecki, rzymski, normandzki, sycylijski, joanicki i angielski... Zdążyliście się dobrze wymieszać.
— Nie szkodzi. Przyjrzyj się naszym oczom, włosom, karnacji, wsłuchaj w brzmienie naszego języka.
— Na Malcie jest trzysta kościołów — mówię — i ani jednego meczetu.
— Bo jesteśmy katolikami.
— A mimo to Arabami?
— Mimo to.
— No dobrze, ale różnicie się obyczajami. W żadnym kraju arabskim kobiety nie mają takiej swobody jak u was, w żadnym mieście nie spotka się takiej uliczki jak Strait Street.
— Obyczaje łatwiej zmienić niż krew — mówi ten gość.
— Czyżby? W niektórych rejonach Turcji za zdradę małżeńską kobieta może być skazana na śmierć przez własnych ojców i braci, tutaj bracia i ojcowie wypuszczają cudzoziemcom własne siostry i córki.
— To jest biznes.
— Tym gorzej dla biznesu.
— Skąd. Niektóre dziewczyny pracują w tych barach i wcale nie tracą dziewictwa.
Patrzę na niego wzrokiem idioty. Pytam wreszcie:
— Jak?
— Tak — wykonuje specyficzny ruch ustami. I wyłuszcza zagadnienie... W tych najmniejszych rodzinnych barach stoją tylko na zapleczu za kontuarem dwa krzesła, a do ściany przybita jest mała półeczka. Krzesła są dla „zakochanych", na półeczkach stoją szklanki i rolka papieru toaletowego, albo zwilżona wodą ściereczka. Mężczyźnie nie wolno ruszyć się ze swego miejsca. Już tatulek upilnuje... Już braciszek dopatrzy!

— Hurry up!

Znowu idę z kolegą przez Strait Street i co parę metrów dobiega nas z czeluści mrocznego lokalu:

—Hurry up! Hurry up!

— Panie doktorze — pytam. — Czy to może mieć jakieś znaczenie idiomatyczne?

Doktor odgania ręką jedną panienkę, robiąc jednocześnie unik przed drugą, i po chwili inteligentnie odpowiada.

— Może!

Jest wściekły, że go tutaj przyciągnąłem. Ale, z drugiej strony, żywi słabość do wariackich reporterów. Lubię tego doktora, choć wydaje mi się (dużo starszy), że bez niego bym zginął. Przytrzymuje mnie za pasek, za rękaw, sprawdza raz po raz, czy mam jeszcze paszport, obrączkę i zegarek. Sam nosi swoje kosztowności i papiery w skórzanym woreczku na piersiach, co wcale nie świadczy, że jest zastrachanym nowicjuszem: był już na wszystkich kontynentach i kąpał się już we wszystkich morzach świata. Zna siedem języków. Stary, doświadczony rep!

— Mam dosyć! — burczy. — I chcę wracać!
A ja wtedy do niego, przymilnie:
— Poczekaaaaajmy jeszcze pół godzinki, doktorze. Tu się zaraz zacznie straszny magiel.
— Co mi pan tu będziesz głupstwa opowiadał! Nic już więcej się nie zdarzy!
— Maybe — mówi czule gość do dziewczyny. A ona:
— What — maybe?
— Maybe yes, maybe no, maybe baby. I don't no! — Salutuje jej do gołej głowy i odchodzi.

Ciągnie się ulicą zapijaczone Murzynisko, cztery dzidzie walczą z łykowatym Japończykiem, grzywa szwedzkiego matrosa zajaśniała przez ułamek sekundy w drzwiach i znikła. Nisko nad miastem przetoczył się z grzmotem odrzutowiec AIR MALTA, a potem znowu było słychać arabską muzykę, argentyńskie tanga, angielski beat przeplatany strzępami dialogów, śmiechem, zduszonym westchnieniem, ponaglającym okrzykiem: Hurry up! Hurry up! Hurry up!

Na Kingsway dopalał się wybuch euforii narodowej. Było dopiero po ósmej, a już gasły światła w kawiarniach, pustoszały ulice. Z Placu Zamkowego co chwila startowały maleńkie autobusy, rozwożące ludzi po maleńkich miasteczkach: Rabat, Mdina, Santa Vennera, Birkirkara, Żebbug, Naxxar, Gżira — jedno od drugiego oddalone o pięć, dziesięć minut drogi, wszystkie z białozłotawego piaskowca, spiętrzone, warowne, pełne baszt, wieżyc, mrocznych dziedzińców, tajemnych przejść.

Ogarnęła mnie żałość, że niebawem trzeba będzie stąd odjechać i wściekłość, że ostatnie godziny spędzam właśnie na Strait Street. Malta... karle państewko pomiędzy Europą i Afryką, ledwo widoczna na mapie kropeczka, którą od północy owiewa wiatr z Sycylii, a od południa gorące tchnienie libijskich piasków. Co mógłbym jeszcze o niej powiedzieć? Że liczy trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, którzy wieczorami grają w bilard i w tombolę, ugwarzają po sąsiedzku na progach domów, albo patrzą nienawistnym wzrokiem na morze, które wyznacza granicę ich więzienia? Że poza Maltą, w skład archipelagu i państewka wchodzi jeszcze nie zamieszkane Comino oraz Gozo, gdzie też jest kilka maleńkich miasteczek, rozgrywających pomiędzy sobą zacięte mecze piłkarskie? Że kiedy byłem tam w październiku siedemdziesiątego czwartego, Malta nie miała jeszcze statusu republiki i marionetkową funkcję głowy państwa spełniał generalny gubernator, sir Anthony Mamo, wtedy namiestnik Jej Królewskiej Mości, dzisiaj pierwszy maltański prezydent?..

Wlokąc się przez Strait Street, ssało mnie uczucie pustki, które często potrafi nawiedzić człowieka nawet wśród wielkiego tłumu. Wkrótce jednak przekonałem się, że mój reporterski węch i tym razem nie sprawił mi zawodu...

Znowu zobaczyłem Chińczyków.

Teraz, pod osłoną mroku, poczynali sobie dużo śmielej.

— Ciung, cięg, ciang!

— Sięk, siąk, siung!

Jakoś tak rozmawiali...

Omijali niby wzrokiem drzwi, za którymi czekało szczęście, ale nastoletnie kurwiszony nie miały już żadnych wątpliwości, i kilka z nich, wydając nagle nieopisany wrzask, rzuciło się na żółtych braci. Odbyła się krótka i nieubłagana walka.

Dotknąłem ręką oczu. Były mokre od łez. Chyba nigdy w życiu tak się nie śmiałem. Cała Strait Street rechotała do rozpuku, patrząc, co te kurwy z Chińczykami wyprawiają. Z młodszym, to jeszcze pół bidy: ale starszy, który stawiał większy opór, został poderwany w górę za nogi i ramiona. Nieźle, trzeba przyznać, wierzgał pęcinami — zwijał się, szarpał, wykręcał, jednakże nie przyniosło to żadnego skutku, i w ten sposób największy naród świata został pokonany przez najmniejszy, ku zadowoleniu jednych i drugich.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

HISTORIA NAJNOWSZA

„KOSZTOWNA" OPERACJA

(Dokończenie ze str. 1)

dził, że służył mu on do celów rybackich, Donnelly przypuszczał jednak, że również do drobnego szmuglu. Po naradzie postanowiono mimo wszystko nabyć tę łódź, którą następnie poddano gruntownemu remontowi. Zatarto przy tym wszystkie znaki, mogące świadczyć o jej pochodzeniu, a nazwano ją „Marie Angelo". Nowym zadaniem Donnelly'ego już po powrocie do Londynu było znalezienie kogoś, kto mógłby sprawnie obsługiwać łódź. Możliwość zatrudnienia ludzi, którzy pracowali niegdyś w marynarce, w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Agent o kryptonimie Z po długich poszukiwaniach zaakceptował wreszcie kandydaturę 70-letniego Hallidaya Petersona, pomimo że ten pracował swego czasu w marynarce. Powody tej decyzji były dwa: nie miał on krewnych, których mogłoby interesować jego zniknięcie, zaś zaufany lekarz orzekł, że stan jego zdrowia jest dostatecznie dobry dla zaangażowania go przy realizacji omawianego przedsięwzięcia. Tak więc 1 października 1949 roku SIS przerzuciła go na Maltę, gdzie objął on tam łódź „Marie Angelo".

Donnelly i jego ludzie mieli jednak pecha. Oto bowiem w 17 dni później Paterson ciężko zachorował i wkrótce, mimo przewiezienia go do Londynu, zmarł 28 października w szpitalu św. Tomasza. Postawiło to znów pod znakiem zapytania terminowość realizacji planów operacji „Valuable". Poszukiwanie następcy nie trwało jednak zbyt długo Old znalazł dwóch braci Anglików, którzy podjęli się tego zadania. Mieli oni, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem, dostarczyć kuter i zajmować się nim. Pomimo podejrzeń, iż byli szmuglerami, Donnelly uznał, iż ofertę można przyjąć, czas bowiem naglił. 36 Albańczyków wylądowało już na Malcie i rozpoczęło szkolenie. Za tym wyborem przemawiał także fakt, że łódź należąca do tych dwóch braci, w przeciwieństwie do „Marie Angelo", była znana na tych wodach w związku z czym zwracałaby mniejszą uwagę.

Prace przygotowawcze do operacji, jakie musiał wykonać Donnelly, przebiegały obecnie w dwóch kierunkach. Po pierwsze należało przerzucić drogą powietrzną małe łodzie służące do przewożenia agentów z motorówki na brzeg. Po drugie — trzeba było wysyłać pieniądze potrzebne agentom w Albanii. Pieniądze te, jak uzgodniono z CIA, w wysokości 10.000 funtów szterlingów w złocie, miała dostarczyć SIS. Zostały one przewiezione na Maltę samolotem RAF. Po załatwieniu tej sprawy Donnelly udał się do Aten, a później na wyspę Korfu, gdzie musiał się spotkać z Oldem.

Korfu — najbardziej na północ wysunięta wyspa na Morzu Jońskim, leży na wprost Albanii. W najbliższym punkcie jest oddalona od wybrzeży tego kraju o niecałe 3 mile, to znaczy jest tak blisko, że nocą można z niej dostrzec światła albańskich miast. Korfu była idealnym miejscem do rozpoczęcia operacji, ale nie była tak jak Malta bazą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Tam zespół SIS—CIA działał na obecnym terytorium i problem utrzymywania wszystkiego w sekrecie przed miejscową ludnością i rządem greckim sprawiał o wiele więcej trudności.

Misja wojskowa zajęła rozległą, pięknie położoną willę, znaną pod nazwą „Castello". Została ona wybudowana przez florenckiego notabla i swego czasu służyła za letnią rezydencję greckiemu królowi Georgeowi II. Po zakończeniu II wojny światowej została zarekwirowana przez rząd grecki i od tej pory stała pusta. Otaczał ją 25-akrowy park. Do posiadłości należał również odosobniony skrawek wybrzeża. Była więc doskonałym miejscem na kwaterę główną dla operacji „Valuable". Agenci, którzy przybyli z Malty, zostali tam zainstalowani bez żadnych incydentów. Przeszli ćwiczenia mające na celu ustalenie sygnałów szyfru jakim będą się posługiwać, co było istotne, ponieważ ta pierwsza grupa miała nadać informacje, jak została przyjęta w Albanii i zawiadomić, czy jej śladem mogą iść następne.

Był początek grudnia, gdy pierwszych 6 agentów przekroczyło przesmyk dzielący wyspę Korfu od Albanii. Ronald Old, który śledził akcję z łodzi, przekazał informację, że wszyscy wylądowali pomyślnie. W dwa dni później operator Olda otrzymał sygnały wskazujące, że grupa ta nawiązała kontakty z rojalistami i została przyjęta pozytywnie. Wszystko przebiegało zgodnie z wykonanym planem, można więc było jak najszybciej przerzucać dalsze partie ludzi. Czterech kolejnych agentów wylądowało pomyślnie, natomiast piątego wykryła łódź albańska. Dzięki ciemnościom udało mu się jednak zbiec. Tymczasem operator w „Castello" bezskutecznie oczekiwał na wieści od agentów przez trzy dni, tydzień. Wysiłki te kontynuowano niemal przez miesiąc, aż do czasu otrzymania wiadomości z misji wojskowej w Atenach o nadchodzących z Albanii pogłoskach, według których każdy osobnik oraz każda grupa starająca się wylądować w Albanii, zostaje natychmiast zlikwidowana.

c.d.n

ANDRZEJ BLAJER

PUŁKOWNIK MARIAN GWIZDKA

W prasowych notatkach o pożarach czyta się czasem, że podczas akcji ratowniczej obecny był komendant Łódzkiej Straży Pożarnej – płk MARIAN GWIZDKA.

— Czy jest Pan obecny przy każdym pożarze?

— Nie ma na to reguły. Niewątpliwie przy groźnych pożarach muszę być obecny, aby kierować akcją ratowniczą. Czasem jednak jadę nawet do niewielkiego pożaru, jeśli to, co się pali, przedstawia sobą znaczną wartość, jest poważnie zagrożone, albo kiedy spodziewam się, że akcja ratownicza może spowodować poważne komplikacje i uznaję, że wówczas moja obecność jest niezbędna.

Jeżdżę czasem i do takich pożarów, które nie wymagają mojej obecności, wtedy nie przejmuję dowództwa od oficera kierującego akcją, tylko przyglądam się, oceniam, aby później podzielić się uwagami. Przywiązuję do tego znaczną wagę, gdyż zawsze od sposobu rozpoczęcia akcji ratowniczej zależy jej powodzenie.

— W rezultacie często decyduje się pan na wyjazd do pożaru?

— To zależy. Pod koniec ubiegłego roku noce miałem raczej spokojne. Ten rok zaczął się gorzej. Mieliśmy kilka poważniejszych pożarów. Paliło się Muzeum Włókiennictwa, magazyny „Wizametu", poddasze — będącego na szczęście w remoncie — Domu Dziecka na Bałutach, magazyny zakładów dziewiarskich „Pafino" przy ul. Kilińskiego.

— Czyżby prawo serii?

— Tak to czasem wygląda, choć nie ma na to żadnego racjonalnego uzasadnienia. Mam nadzieję, że ta seria pożarów już się skończyła.

— Żeby tylko nie zapeszyć.

— Taki jest już nasz zawód, że musimy zawsze być gotowi, aby pospieszyć na ratunek. Wolimy jednak, choć może to wydać się dziwne, aby jak najmniej się paliło.

— A właśnie, czy być strażakiem — to zawód, czy to tylko poszukiwanie przygody?

— Jest to niewątpliwie zawód, aby być dobrym strażakiem potrzeba sporej wiedzy, niezbędnych umiejętności, kondycji fizycznej, odporności psychicznej. Czy jakąś rolę gra tu chęć udziału w przygodzie? Trudno mi powiedzieć. Jedno jest pewne, nie może być dobrym strażakiem ten, kto nie ma wyobraźni, kto nie potrafi improwizować, nie umie znaleźć najlepszego rozwiązania, najlepszego wyjścia w trudnej, a nieraz bardzo groźnej sytuacji.

— Jak ludzie trafiają do tego zawodu?

— W bardzo różny sposób. Sporo młodych ludzi przechodzi u nas obowiązkową służbę wojskową. W trakcie służby poznają zawód, wciąga ich, zostają u nas już po ukończeniu służby. Z nich rekrutuje się nasza kadra podoficerska.

Do szkół oficerskich przychodzą ci, którzy świadomie wybierają zawód strażaka, jak i ci, którym nie powiodło się na innych wyższych uczelniach i próbują podejścia w naszej uczelni.

Czy zdarzają się tacy, którzy chcieliby przeżyć kawałek męskiej przygody? Chyba niewielu.

— Rozczarował mnie Pan. Jest to bardzo prozaiczne. Mam przynajmniej nadzieję, że w Pana przypadku było to inaczej.

— Czy było inaczej? Bo ja wiem. Było to na początku lat trzydziestych, studiowałem wtedy architekturę. Tak się złożyło, że musiałem przerwać studia i zaopiekować się rodziną. Wtedy reorganizowano straż pożarną w Łodzi. Zostałem — jak byśmy to dziś powiedzieli — „referentem kulturalno-oświatowym", ale szybko przeszedłem do czynnej służby. Byłem akurat po wojsku i noszenie munduru nie przyszło mi ze zbytnią trudnością.

Później była wojna, a po wyzwoleniu organizowałem ochronę przeciwpożarową w przemyśle bawełnianym, byłem też kierownikiem pedagogicznym w ośrodku szkolenia straży pożarnej. Ukończyłem studia politechniczne, pracowałem w biurze projektów i znów zostałem powołany do straży, już jako komendant.

— Kiedy?

— 17 lat temu.

— Jest to droga zaskakująca. Od architektury do straży pożarnej. Czy tu rzeczywiście zadecydował tylko przypadek?

— To nie było tak zupełnie przypadkowe. Oczywiście, los spowodował, że przerwałem studia i zetknąłem się ze strażą pożarną. Ale przecież studia potem skończyłem i mogłem do dziś pracować w biurze projektów.

— Więc co zadecydowało?

— Widzi pani między sztuką a gaszeniem pożaru jest coś wspólnego. Być może to stwierdzenie wywoła sprzeciwy, ale ja tak to przynajmniej widzę. Pożar w przeciwieństwie do innych klęsk żywiołowych jest niezwykle dynamiczny. Na przykład awaria techniczna, zawalenie się domu, nie ma tendencji rozszerzania się. Trzeba tylko szybko usunąć skutki nieszczęścia. Pożar przeciwnie. Rozszerza się gwałtownie i bardzo często oceniając stan aktualny, nie można dokładnie przewidzieć, co zdarzy się później, jakie rozmiary przybierze żywioł. Potrzebna tu jest umiejętność właściwej oceny nie tylko tego, co dzieje się w tej chwili, ale tego, co stanie się za kilka minut. Potrzebna jest sztuka, umiejętność przewidywania.

— Wyobraźnia.

— Tak, zapewne. Przez kłęby dymu i pary trzeba dostrzec i ocenić wielkość pożaru i tak przeciwdziałać, aby pożar nas nie zaskoczył, aby móc zapobiec jego dalszemu rozprzestrzenianiu się.

— Decyduje o tym wiedza i doświadczenie.

— Niewątpliwie, ale nie tylko. Żadne regulaminy nie są w stanie przewidzieć tego, co może zdarzyć się w czasie groźnego pożaru. Tu potrzebna jest — powiedziałbym — raczej intuicja. Umiejętność zobaczenia tego, co — sądząc z nieuchwytnych przesłanek — może się za chwilę wydarzyć. Dlatego pozwoliłem sobie na szukanie granic wspólnych ze sztuką.

— Pewną rolę musi tu grać też znajomość terenu, jego zabudowy, rodzaju tej zabudowy. Słowem topografia. Wydaje mi się, że strażak — podobnie jak przedstawiciele innych zawodów — nabywa przez lata służby strażackiej swoistego uczulenia zawodowego. Po prostu strażak na każde miejsce patrzy, jak na miejsce przyszłego pożaru. Nie dlatego, żeby życzył sobie, żeby tu się paliło, ale zastanawia się, jakby gasił ewentualny w tym miejscu pożar.

— Natomiast w czasie pożaru, niejednokrotnie jak wróżka, na podstawie koloru i rodzaju dymu trzeba bardzo szybko określić co się pali. Korzystamy — rzecz zrozumiała — z informacji ludzi, którzy są świadkami pożaru, którzy zaalarmowali straż. Ale ludzie często ogarnięci emocją, przerażeni, zapominają o ważnych szczegółach. Nie możemy polegać tylko na tych informacjach. Prowadzimy więc dokładne rozpoznanie znacznie wcześniej. Staramy się nagromadzić jak najwięcej informacji o różnych zakładach przemysłowych, magazynach, poznać drogi dojazdowe, sieć wodociągową, połączenia telefoniczne, układ sieci energetycznej, aby móc w każdych warunkach działać jak najbardziej skutecznie.

— Jest to wywiad strażacki.

— Coś w tym rodzaju. Mamy dokładnie opracowane i przechowywane w punkcie dowodzenia charakterystyki 400 najważniejszych punktów miasta. Są to zakłady przemysłowe, urzędy, teatry. Na wypadek pożaru punkt dowodzenia wysyłając jednostki straży pożarnej ma już gotowy plan akcji ratowniczej.

— Byłoby najlepiej, gdyby z tych planów nie trzeba było korzystać.

— I my tak myślimy. Dlatego tak wielką rolę przykładamy do profilaktyki, do zapobiegania pożarom.

— Dawniej zdarzały się wielkie pożary, które niszczyły wielkie kwartały miasta. Dziś pożary są już inne.

— Ale nie mniej groźne. Wydawałoby się, że kiedy w budownictwie stosujemy beton, szkło, aluminium, to jednocześnie zmniejszyło się zagrożenie pożarowe.

— A tak nie jest?

— Niestety. Jednocześnie bowiem, zarówno w nowoczesnym budownictwie, jak i gospodarstwie domowym używamy na wielką skalę różnych materiałów chemicznych. Są to produkty łatwopalne. Wykładziny pcv, zabawki z tworzyw sztucznych, środki chemiczne, jakimi dysponuje każda gospodyni, ubrania z włókien chemicznych. Produkty nowoczesnej chemii na szeroką skalę stosuje również przemysł.

W przemyśle występuje jeszcze inne zjawisko. Wzrost wydajności pracy spowodował, że przerabia się dziś olbrzymie ilości surowca. Wzrosła zatem niebywale pojemność magazynów. Już nie mówię o chomikowaniu zapasów. Wystarczy to, co niezbędne jest do produkcji, wystarczą zapasy gotowych wyrobów, które czekają na odbiór klientów fabryki.

W fabrykach stosowanie nowych technologii, transportu pneumatycznego, automatycznych maszyn przyczyniło się do zwiększenia hal produkcyjnych, ale nie obniżyło zagrożenia. Poza tym dziś już nie wszędzie wystarcza klasyczny sposób gaszenia — wodą. Stosuje się proszki, piany, różnorodne środki chemiczne. Wymaga to specjalistycznego transportu.

— Budujemy też coraz wyżej.

— W Łodzi jest zaledwie kilka budynków, które mogłyby się znaleźć poza zasięgiem drabin strażackich. Są to budynki różnych instytucji.

— Mimo to budzą się pewne obawy społeczeństwa.

— Uważam, że nieuzasadnione. W budynkach wysokich walka z ogniem może być prowadzona nie tylko przy użyciu drabin. Chodzi o to, aby zapewnić ludziom bezpieczne wyjście z miejsca zagrożenia oraz dotarcie strażaków w to miejsce. Dążymy do tego, aby w takich budynkach były stale sprawne urządzenia przeciwpożarowe, umożliwiające skuteczną walkę z ogniem. Najważniejsze jest, aby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się ognia, zlokalizować go i zlikwidować. A to zależy od szybkiego powiadomienia straży i od sprawności lokalnych urządzeń przeciwpożarowych. Trzeba więc stale dbać o ich sprawność i tego będziemy zawsze pilnować.

— A jak to było przy pożarze katedry?

— Na ten temat krąży już długa legenda. Jak w każdej dziedzinie, tak i w pożarnictwie zdarzają się sytuacje nietypowe. Takim nietypowym pożarem był pożar katedry, budynku przecież również nietypowego. Ludzie na ogół widzą to, co dzieje się na zewnątrz, wokół palącego się budynku, a już najlepiej to, co dzieje się na drabinach. A tymczasem cała akcja przy pożarze katedry odbywała się wewnątrz. Po pierwsze — uchroniliśmy wieżę, dzięki temu, że likwidowaliśmy ogień na poddaszu, nie dając mu się przerzucić na wieżę. Po drugie — uchroniliśmy wnętrze, gdzie sypały się kaskady ognia, który trzeba było natychmiast likwidować.

Gdybyśmy nawet mieli drabiny wyższe niż mieliśmy, to zawieszenie ludzi nad płonącą katedrą i polewanie dachu z góry niewiele by dało. Żeby osądzić przebieg tej akcji, trzeba było znać jej całość. A to było niemożliwe, gdyż rozgrywało się w sposób niewidoczny dla ludzi.

— Ale teraz już macie niezbędne drabiny?

— Mieliśmy i wówczas. Teraz mamy ich więcej. A że wtedy sprowadziliśmy drabinę z Piotrkowa Trybunalskiego? Zrobiliśmy to na wszelki wypadek. Drabina ta nie odegrała zresztą większej roli w akcji ratowniczej.

W tej chwili mamy w Łodzi 5 sprawnych drabin o wysokości 30 metrów.

— Czy wasze wyposażenie wzbogaciło się jedynie o drabiny?

— Nie. Gdyby porównać nasz stan posiadania w stosunku do okresu sprzed 5 lat, to dysponujemy obecnie wyposażeniem odpowiadającym poziomowi światowemu. Mamy drabiny zakupione w 1973 roku, nowoczesny sprzęt chemiczny, gaśnice proszkowe na samochodach, pianotwórcze — zagraniczne i krajowej produkcji oraz „lekką wodę".

— Co to jest „lekka woda"?

— Jest to środek chemiczny, piana o wysokich parametrach gaśniczych, która przerywa proces spalania. Stosuje się ją przede wszystkim do gaszenia paliw i innych materiałów płynnych.

— Współczesny strażak musi być więc również chemikiem.

— Nie tylko. Szkoła oficerska w Warszawie otrzymała status szkoły wyższej. Do pożarnictwa wchodzi automatyka i to zarówno w gaszeniu, jak i zapobieganiu pożarów. Staruszków dozorców, którzy mogą zasnąć, coraz częściej zastępują niezwykle czułe automaty. A przy tym wszystkim rzeczywiście stosujemy coraz więcej środków chemicznych.

— Wasza praca jest niezwykle trudna i niebezpieczna. Ludzie to doceniają, choć na wasz temat krąży dużo różnych dowcipów i anegdot. Jak one są przyjmowane?

— Strażacy też mają poczucie humoru. Lubimy żarty na nasz temat, byle były to dobre żarty.

— Na Pana temat też krążą anegdoty.

— Na przykład?

— A choćby i ta że kiedyś posłał Pan kwiaty aktorowi, który w komedii grał rolę strażaka, groteskowo potraktowaną przez autora.

— Było coś takiego. Wybrałem się z kolegą do Teatru Powszechnego. Była to sztuka pt. „Nie wolno dotykać". Komendanta straży z Debreczyna grał wtedy pan Jabłoński. Grał bardzo ładnie. Kolega — też strażak — opowiedział mi, w przerwie, że w podobnej sytuacji, w jakimś mieście powiatowym komendant straży zebrał swoich zuchów, kazał im ubrać się w cywilne ubrania i aktorowi, który grał strażaka zrobili po spektaklu istne „corso pomidorowe".

Ta opowieść podsunęła mi inną myśl. Zdobyłem w przerwie kwiaty i poprosiłem dyżurnego ogniomistrza, aby na końcu dał panu Jabłońskiemu kwiaty i powiedział tylko tyle: „Od komendanta dla komendanta". Zostało to bardzo dobrze przyjęte przez publiczność, a ironiczne uśmieszki, jakie do mnie kierowano zamieniły się w sympatyczne uśmiechy i wyrazy uznania.

— Była to doskonała propaganda na rzecz strażaków. Wzywa się was przecież nie tylko do pożarów. Musicie też chyba uczestniczyć w różnych innych akcjach ratowniczych. Zdejmować ludzi z wielkich wysokości, którzy gdzieś tam zabrnęli i nie potrafią zejść, dostawać się do zamkniętych mieszkań przez otwarte okna na piętrach, pompować wodę z zalanych piwnic, usuwać skutki awarii.

— A także czasem ratować zwierzęta. Kiedyś uratowaliśmy kotka, który wlazł na topolę przy kawiarni „Egzotyczna". Na Piotrkowskiej zebrał się tłum, który przyglądał się zwierzątku. Groziło już zatamowaniem ruchu. Wtedy nas wezwano. Zarządziliśmy alarm i udając, że wracamy z akcji i niby przypadkowo przejeżdżamy ul. Piotrkowską, zatrzymaliśmy wozy przy zbiegowisku. Strażak wszedł na drabinę i zdjął kotka.

— Ot i wszystko.

— Nie. Bo to zdarzenie miało swój epilog. W kilka dni później byłem w Warszawie na naradzie i tam pozwolono sobie na żarty, że w Łodzi straż pożarna łazi po drzewach i zdejmuje koty.

— Jak Pan zareagował?

— Odpowiedziałem po prostu, że trzeba sobie zdawać też sprawę z tego, że kiedy strażak wyciągał rękę, to sięgał tylko po małego kotka, ale kiedy ją cofał, to miał w ręku nie tylko kotka, ale serca i wdzięczność ludzi, którzy tam stali i patrzyli na męczące się zwierzę. I powiedziałem jeszcze, że ten strażak przyczynił się do wzbudzenia ludzkich uczuć. A to chyba rzecz niebagatelna.

— Jak Pan to robi, że w nawale swoich zawodowych zajęć znajduje Pan czas na zajmowanie się innymi jeszcze sprawami? Jest Pan przecież prezesem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Łodzi.

— To wynika z mojej drogi życiowej. Z mojej pierwszej miłości do sztuki. Jak już wspomniałem zamierzałem być architektem. Zostałem strażakiem. Ale podczas wojny, w obozie jenieckim nie było co gasić, więc powróciłem do swoich pierwotnych zainteresowań. W obozie prowadziliśmy teatr. Zostałem więc scenografem, robiliśmy kostiumy z sienników, dekoracje, rekwizyty z czego się tylko dało. Zajmowałem się wówczas grafiką użytkową. W książce Marka Oborskiego „Teatr okresu wojny" są dwie reprodukcje moich szkiców scenograficznych do sztuki S. Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka".

— Czy teraz też jeszcze ma Pan czas na rysowanie?

— Od czasu do czasu maluję dla przyjemności. Zaraz po wojnie zdarzało mi się to częściej. Natomiast mam liczne kontakty z środowiskiem plastyków i od lat działam w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Największą naszą troską jest to, aby rosła liczba przyjaciół sztuki, ludzi sztuką nie tylko zainteresowanych, ale czynnie uczestniczących w jej upowszechnianiu.

— Czy jest Pan tylko prezesem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych?

— A nie. Jestem też w Radzie Przyjaciół Harcerstwa.

— Był Pan harcerzem w młodości?

— Oczywiście. Jestem harcmistrzem.

— A poza tym?

— W NOT, w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Sanitarnych jestem prezesem Sądu Koleżeńskiego.

— I ma Pan tam dużo pracy?

— Niewiele. Koledzy są na ogół zgodni, tak że mnie to zbytnio nie absorbuje. Patronuję poza tym sekcji kolarskiej „Gwardii".

— Czyżby interesował się Pan również sportem?

— To zrozumiałe.

— A czas na życie prywatne?

— Trzeba umieć go sobie zorganizować. Teraz już nie mam tylu obowiązków. Wychowałem dwie córki. Obie wyszły za mąż. Zostałem dziadkiem. Nie chcę zbytnio naprzykrzać się dzieciom. Mają własne sprawy i własne życie. Tak, że można dla siebie znaleźć jeszcze trochę czasu.

— Słyszałam o Pańskiej nowej pasji, o muzeum pożarnictwa.

— Po prostu w przyszłym roku będziemy obchodzili stulecie straży pożarnej w Łodzi. Chciałbym, aby setną rocznicę można było uczcić właśnie otwarciem tego muzeum.

— Czy są już jakieś eksponaty?

— Sporo i to bardzo ciekawych, ale nie chciałbym teraz o tym mówić. Niech to będzie niespodzianka. Bardziej zainteresuje ludzi.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

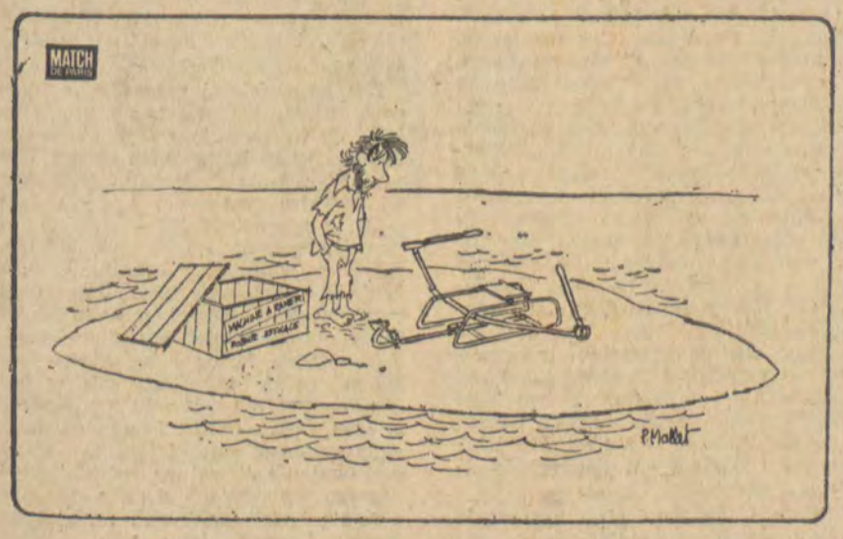

NIEMIECKA REPUBLIKA DEMOKRATYCZNA

WIERSZE

WOLFGANG JÖHLING

* * *

„War's die Kugel, war es das Herz,
Mein Sohn, das da zersprang?"

(Krzysztof Kamil Baczyński) *)

W wapienno-jasnym kraju karych koni
nie zobaczyłem miast za mgłą
Tylko parność przynosi mi do wrót ich krzyk
Uczyli mnie widzieć
(zalesiona białość)
W kraju kamieni przesiąkniętym brzozą
nie usłyszałem jęków nad dachami
Tylko milczący komin przeszył moje serce
Uczyli mnie mówić
(pobielony las)
W kraju gdzie pachnie siano kosiarz
rozbił zeskorupiałą dawność Żrebaki wtedy
garnki gliniane przyniosły mi pełne
miłością o zapachu świeżym

*) Motto jest fragmentem niemieckiego przekładu „Elegii o chłopcu polskim", który w oryginale brzmi:
„Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?"

KURT RUDOLF BÖTTGER

MIKOŁAJ KOPERNIK

(We Fromborku)

Leży obdarzony zatoką i niebem
„ziemi najdalszy zakątek"
jak Kopernik nazywał Frombork.

Czternaście tysięcy mieszkańców,
dziś dumnych dzięki jednemu,
który wzbił się,
aż zatrzymał słońce i poruszył ziemię.

Ta, co zgłębiła problematy nieba,
kamieniem czerwonym kryta: Wieża Kopernika.
Z wieży o świecie i pryncypiach świata.
Genialna negacja starożytnych widzeń.
Ziemia wyzuta tronu
i słońce w koronie.

Posiadający kwiaty i marzenia,
przed oknem słały się liście,
zrodził swym mózgiem przewrót myślenia,
wyrwał korzenie błędu z ich systemu
wyciosując swą ręką
łacińskimi literami
„Manifest wszechświata"
po wieczne czasy.

WULF KIRSTEN

kartka pamiątkowa

zdradliwie piękne w rannym blasku
rozciągały się wokół zielone drzewostany.
do cna zbrukana
kruchość dnia,
gdy o brzasku,
polak wspiął się na golgotę,
upodlony,
wołami wieziony przez wieś,
ze strykiem u szyi
za miłość niemiecko-polską.
osądzoną podług praw niemiecko-barbarzyńskich.

odgrodzeni przez krwią dyszące psy
wieśniacy, których sprowadzono,
pospuszczali obnażone głowy.
nienawiść przepełniała otępiałe oczy mordercy.
żałoba raniła gardła.
pośród katowskiego nieba
stali
bez łez.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

Wiersze W. Jöhlinga oraz K. R. Böttgera pochodzą z 12 nr „Neue Deutsche Literatur" z ub. r., wiersz W. Kirstena z tomiku „Satzanfang" („Początek zdania").

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

WŚRÓD POLONIKÓW

Coraz intensywniejszy rozwój współpracy z naszym zachodnim sąsiadem wyraźnie zaznacza się w kulturze. Wieloletnie umowy, precyzowane na roboczych spotkaniach dwustronnych komisji specjalistycznych czy też przedstawicieli poszczególnych związków twórczych, wyznaczają ogólny kierunek współpracy kulturalnej. Nie tak dawno na przykład odbyło się w Berlinie spotkanie prezydiów Związku Literatów Polskich oraz Związku Pisarzy NRD. Rezultatem przeprowadzonych rozmów i dyskusji jest umowa, przewidująca rozwój wzajemnych kontaktów, przede wszystkim stałą wymianę tłumaczy. Skoro o tłumaczeniach mowa, wspomnijmy, iż NRD zajmuje trzecie miejsce (po ZSRR i Czechosłowacji) pod względem ilości przekładów z literatury polskiej.

W takim to kontekście pojawia się większe jeszcze niż dotychczas zapotrzebowanie na informację o sytuacji kulturalnej partnera, ujętą nie tyle globalnie zresztą co z punktu widzenia konkretów, ciekawostek, poloników.

Interesują nas tu w zasadzie dwie sprawy: tematyka polska w twórczości pisarzy NRD oraz przekłady z literatury polskiej. Wspomniana tematyka posiada stałe niejako miejsce w literaturze NRD, z różnym, rzecz prosta, natężeniem oraz rozłożeniem akcentów (w początkowej fazie na przykład dominowały problemy „winy i zadośćuczynienia", potem coraz częściej pojawiał się motyw „odkrywania" Polski, fascynacji jej przeszłością, eksponowania nawet turystycznych walorów itp.). Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że tematyce tej drogę do literatury utorował w znacznym stopniu reportaż, rozwinięty bujnie zwłaszcza na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych na łamach polonofilskiego czasopisma **„Blick nach Polen"**. Szło wtedy głównie o szybką i rzetelną informację, zdolną skutecznie rugować stereotypy wywarzone w goebbelsowskiej „Giftküche".

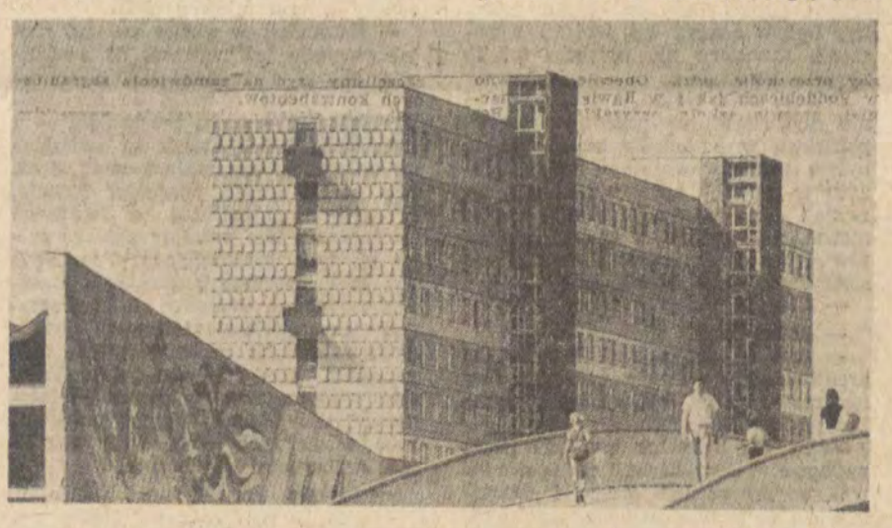

Fot. Archiwum

Tematyka polska przeważa oczywiście w prozie, w poezji przejawia się rzadziej, ale przecież wcale nie sporadycznie, stanowi nawet przewodni motyw całych tomików (np. **„Sommerliche Reise ins Nachbarland" Armina Müllera**, znanego u nas w przekładach Eugeniusza Wachowiaka). Tematy polskie spotkać można najczęściej w utworach następujących pisarzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej: **Anny Seghers, Dietera Nolla, Hermanna Kanta, Stephana Hermlina, Jurija Brezana, Siegfrieda Pitschmanna, Güntera de Bruyna, Kurta Davida, Helgi Schütz**. Pojawiają się też w filmach. Niedawno wyświetlano filmy nakręcone według scenariusza **S. Pitschmanna („Leben mit Uwe" — „Życie z Uwem")** oraz **H. Schütz („Der Schlüssel" — „Klucz")**, telewizja zaś przygotowuje film na podstawie scenariusza **Christiana Steinke (według K. Davida „Die Überlebende" — „Ta, która przeżyła)"**.

Wbrew oporom, z jakimi spotykała się literatura polska, jej oddziaływanie posiada na gruncie niemieckim istotne tradycje. Sięgają one wieku XVII, kiedy to **„Grono Poetów Śląskich"** przyswoiło językowi niemieckiemu niektóre wiersze, tłumaczonego zresztą kilkakrotnie później, **Jana Kochanowskiego**. Z twórców Oświecenia tłumaczono przede wszystkim dzieła **Ignacego Krasickiego** oraz **Juliana Ursyna Niemcewicza**. Znacznym powodzeniem cieszyły się dramaty **Gabrieli Zapolskiej**. Z wielkich naszych prozaików tłumaczono powieści **Józefa Ignacego Kraszewskiego, Henryka Sienkiewicza, Elizy Orzeszkowej i Władysława Stanisława Reymonta**. Słynny przekład „Chłopów" przyczynił się walnie do przyznania polskiemu pisarzowi nagrody Nobla. Popularyzacji literatury polskiej służyły również takie inicjatywy, jak kulturalna działalność **Towarzystwa Jabłonowskich** w Lipsku, czy prace wydawnicze **Juliana Marchlewskiego** w Monachium.

Wydawcy i tłumacze w Niemieckiej Republice Demokratycznej mogli więc nawiązać do konkretnych tradycji i istotnie do nich nawiązali, przede wszystkim w zakresie zaprezentowania klasyków literatury polskiej. Bezpośrednio po wojnie bez porównania ważniejsze zadania do spełnienia miała jednak literatura najnowsza, dokonująca rozrachunku z „czasami pogardy", z faszyzmem i jego wojennymi zbrodniarzami. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych udostępniono więc polską literaturę obozową: utwory **Tadeusza Borowskiego, Niny Rydzewskiej i Marii Zarębińskiej** oraz poprzedzone publikacjami fragmentów w prasie literackiej i antologiach — **„Medaliony" Zofii Nałkowskiej**. Dołączył do nich później przekład **„Pasażerki" Zofii Posmysz**. Problematyka wojenna, zwłaszcza zaś doświadczenia okupacyjne, decydujące zarówno jakościowo, jak i ilościowo o obliczu powojennej literatury polskiej, przedstawiane są systematycznie czytelnikom w NRD. W tym zakresie przetłumaczono między innymi opowiadania **Jarosława Iwaszkiewicza, Marii Dąbrowskiej, Gustawa Morcinka, Adolfa Rudnickiego, Kazimierza Brandysa, Jerzego Putramenta**, powieści **Bohdana Czeszki, Wojciecha Żukrowskiego, Leopolda Buczkowskiego, Kornela Filipowicza**, a także liczne pozycje literatury faktu.

Spośród dzieł literatury klasycznej największym powodzeniem cieszy się znakomita powieść **Bolesława Prusa „Faraon"**: tłumaczona dwukrotnie na język niemiecki osiągnęła 13 wydań i łączny nakład, jak podaje badaczka recepcji literatury polskiej w NRD, Ingrid Kuhnke — 150 tysięcy egzemplarzy. Duże zainteresowanie wzbudziły też powieści **„Hrabina Cosel" i „Brühl" J. I. Kraszewskiego, „Quo vadis", H. Sienkiewicza, utwory Stefana Żeromskiego, historyczne powieści J. Iwaszkiewicza, Jana Dobraczyńskiego, Zofii Kossak oraz twórczość Brunona Schulza.**

Odzwierciedlenie sprawy chłopskiej w literaturze polskiej reprezentowały powieści **Leona Kruczkowskiego, Wandy Wasilewskiej** i opowiadania **Władysława Kowalskiego**.

Społecznym i politycznym przemianom w Polsce, problematyce awansu cywilizacyjnego i kulturalnego mógł czytelnik NRD-owski przyjrzeć się bliżej poprzez lekturę utworów **Igora Newerlego, Aleksandra Ściborowskiego, Bohdana Hamery, Wilhelma Macha, Kazimierza Brandysa, Juliana Kawalca, Jerzego Zawieyskiego, Tadeusza Różewicza i Jana Gerharda**.

Młodzież sięga chętnie do książek prezentujących świat przygody i science-fiction: **Arkadego Fiedlera, Aliny i Czesława Centkiewiczów, Janusza Meissnera, Stanisława Lema**.

Pojawianiu się poszczególnych dzieł towarzyszą antologie. W roku 1964 ukazał się (wznowiony następnie dwukrotnie) tom opowiadań **„Moderne polnische Prosa"**, prezentujący 26 współczesnych autorów. Inicjatywę tę kontynuuje wydany w roku 1972 zbiór opowiadań 19 innych autorów (w serii „Erkundungen"). Obie te pozycje uzupełnia interesująca antologia **„In Westen fliesst die Oder"**, grupująca krótkie formy prozatorskie dobrane według kryterium tematycznego — związku z polskimi Ziemiami Zachodnimi i Północnymi. Antologie przygotowane zostały bardzo starannie: opatrzono je wnikliwymi komentarzami i dokładnymi notami bio-bibliograficznymi.

Głównie też antologie prezentują polską poezję, z reguły współczesną (np. zbiory **„Polnische Gedichte", „Polnische Lyrik"**).

Z klasyków dramatu polskiego największym, obok G. Zapolskiej, powodzeniem cieszy się **Aleksander Fredro**, z twórców współczesnych — przede wszystkim **L. Kruczkowski** jako autor „Niemców', następnie **Stanisław Grochowiak, Zbigniew Herbert**.

W krótkim informacyjnym szkicu nie sposób omówić dokładnie całości akcji przekładowej z literatury polskiej i recepcję poszczególnych pisarzy lub utworów. W ciągu 25 lat istnienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej przełożono bowiem ponad 500 tytułów z literatury pięknej.

Obecności literatury polskiej u naszego zachodniego sąsiada towarzyszą rzecz prosta, opisy i komentarze, artykuły informacyjne i syntetyczne, rozsiane — jak dotąd — po różnych czasopismach. Dopiero w najbliższym czasie ma się ukazać w znanym lipskim wydawnictwie „Reclam" zarys historii literatury polskiej pióra **Aloisa Hermanna**, profesora literatury polskiej Uniwersytetu Humboldta w Berlinie. Popularyzacji naszej literatury służy również prowadzona przez Klub Slawistów akcja odczytowa, z reguły związana z literackimi rocznicami, jak i spotkania z polskimi pisarzami, organizowane przez Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej przy współudziale niektórych wydawnictw.

Sposób obchodzenia polskich rocznic literackich zilustrować można przykładem **175 rocznicy urodzin Adama Mickiewicza**. Poświęcono jej szereg artykułów w prasie codziennej i kulturalnej, poloniści zaś zorganizowali sesję naukową.

Przeciętnie zorientowany w sprawach literatury Polak wie, że Mickiewicz spotkał się w Weimarze z najwybitniejszym poetą niemieckim **Johannem Wolfgangiem Goethem**, że przebywał w Dreźnie, gdzie napisał III część „Dziadów", „Redutę Ordona" i „Śmierć pułkownika". Wiadomości natomiast o recepcji twórczości Mickiewicza na gruncie niemieckim znane są w stopniu nieporównywalnie skromniejszym i nie wykraczają z reguły poza wąski krąg specjalistów, wydaje się więc celowe, by przytoczyć kilka danych.

Znaczna część utworów przetłumaczona została na język niemiecki jeszcze za życia poety. Zainteresowanie Mickiewiczem jako symbolem patriotyzmu polskiego rozwinęło się zwłaszcza w latach trzydziestych ubiegłego wieku, przede wszystkim w ramach fali tak zwanego „Polenbegeisterung" (entuzjazmu dla Polski), jaka ogarnęła zachodnie dzielnice Niemiec po upadku powstania listopadowego. W roku 1833 na przykład wybitny poeta **Ludwig Uhland** napisał wiersz pt.: **„Mickiewicz"** — motyw przewodni stanowią w nim słowa polskiegu hymnu narodowego „Noch ist Polen nicht verloren". W tym też czasie w pismach literackich ukazują się przekłady „Sonetów krymskich" i „Ody do młodości". Można by zestawić wcale obfitą listę nazwisk ludzi, którzy starali się — z różnymi, oczywiście, rezultatami — przyswoić twórczość Mickiewicza językowi niemieckiemu. Niektóre dzieła tłumaczono parokrotnie, najciekawsze w tym względzie są tłumaczenia „Pana Tadeusza", istnieje nawet sceniczna przeróbka z roku 1891).

Wydawcy w NRD mogli więc również w przypadku największego naszego poety nawiązać do konkretnych tradycji. W roku 1953 w serii „Lesebücher für unsere Zeit" **Walter Victor** opracował potężną, liczącą prawie 600 stron, antologię utworów Mickiewicza. Prezentuje ona drobne utwory patriotyczne, ballady, sonety krymskie, „Konrada Wallenroda", III część „Dziadów", fragmenty „Pana Tadeusza" oraz wybór artykułów publicystycznych. W roku Mickiewiczowskim ukazał się odznaczony nagrodą Ministerstwa Kultury i Sztuki NRD przekład „Pana Tadeusza" **Waltera Panitza**.

Na zakończenie godzi się jeszcze przypomnieć, że w Dreźnie przy ulicy Nordstrasse 28 znajduje się jedyne muzeum literatury polskiej na terytorium NRD. Mieści się ono w domu, w którym w latach 1879—1885 mieszkał i tworzył Józef Ignacy Kraszewski.

Bez najmniejszej przesady stwierdzić można, że literatura polska zdobyła ważną pozycję w życiu umysłowym społeczeństwa Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Czytelnikowi za Odrą dostarcza ona rzetelnej — bo z pierwszej ręki — wiedzy o narodzie polskim, jego problemach, chwilach trudnych i sukcesach. Pomaga przezwyciężać ukształtowane w ciągu wieków stereotypowe wyobrażenia przedstawicieli sąsiedniej nacji. Jako wyższa forma świadomości społecznej pełni określoną rolę w pogłębiającym się procesie współpracy między PRL a NRD. Proces ów pozwala rokować nadzieję, że akcja przyswajania literatury polskiej przez naszego zachodniego sąsiada dokonywać się będzie w latach następnych jeszcze intensywniej.

PRZEMYSŁ DLA RYNKU

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MONOPOLISTA Z MILIONOWEJ

Historia lat 1945–1955 jest krótka. W lutym 1945 roku przejęto pod zarząd państwowy łódzką Fabrykę Odzieży „Warta", mieszczącą się przy ul. Sienkiewicza między ulicami Główną i Wigury W październiku 1948 roku powołano do życia Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika.

W pierwszych latach powojennych dawna „Warta" a dzisiejszy „Próchnik" produkowała odzież na potrzeby wojska. Od 1949 roku obok płaszczy wojskowych i cywilnych „Próchnik" produkuje też płaszcze damskie, spodnie różnego typu, kanadyjki, kurtki wełniane i drelichowe. Jak wiele wówczas fabryk, pracuje bez specjalizacji, bez znajomości rynku, często tylko dlatego, aby produkcja szła, aby plan wykonać, a rezultaty tego wysiłku zalegały skąpe już na ówczesne czasy magazyny.

Dopiero rok 1956 przyniósł początek korzystnych zmian. Z różnorodności wyrobów wybrano męskie i postanowiono specjalizować się przede wszystkim w tej dziedzinie produkcji. Była to decyzja słuszna, a wkrótce miano się przekonać, że również korzystna, ale też i kłopotliwa. Specjalizacja w produkcji wymaga bowiem nie tylko jednorodności techniki, wymaga stałego rozwoju kontaktów zarówno krajowych jak i zagranicznych, studiowania potrzeb rynku, nadążania za modą, a nawet jej wyprzedzania.

Dziś magazyny „Próchnika" są puste, gdyż zarówno przed samą fabryką, mieszczącą się nadal przy ul. Sienkiewicza, jak i przed magazynem przy ul. Kopernika zatrzymują się wielkie samochody upstrzone barwnymi napisami reklamowymi zagranicznych firm i płaszcze „Próchnika", prosto z taśm produkcyjnych, jadą na wystawy domów mody do stolic wielu krajów.

Jak do tego doszło? Jaka była droga rozwojowa fabryki?

Mówi dyrektor Zakładów Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika w Łodzi — JAN SOKAL:

— Mimo że zaczęliśmy specjalizować się w wytwarzaniu płaszczy męskich już w 1956 roku, to jeszcze w trzy lata później, kiedy przyszedłem do pracy w „Próchniku", mieliśmy poważne kłopoty z ich zbytem. Handel po prostu nie kupował naszych wyrobów. Trzeba było pogłębić specjalizację, poznać lepiej rynek, szyć zgodnie z aktualnymi potrzebami i sezonowymi wymaganiami klientów.

Wtedy właśnie doszliśmy w fabryce do wniosku co potwierdziła praktyka, że jedynym wyjściem będzie unowocześnić produkcję, uczynić ją elastyczną, tak, aby znajdowała uznanie nie tylko na rynku krajowym, ale, aby również można było pomyśleć o zagranicznej sprzedaży. I udało się nam przeprowadzić tę zmianę w krótkim czasie, tak że jeszcze w 1959 roku sprzedaliśmy na rynek ZSRR 10 tysięcy płaszczy. Była to inauguracja eksportowej produkcji fabryki.

W tym czasie produkowaliśmy około 300 tysięcy płaszczy rocznie. Zaczęliśmy szukać nowych wzorów, zatrudniliśmy plastyków i szybko zaczęliśmy zdobywać uznanie rynku krajowego. O eksporcie na szerszą skalę wówczas nie mogliśmy jeszcze myśleć.

„Próchnik" z tamtego czasu był fabryką niezwykle prymitywną. Wystarczy, jeśli powiem, że posiadaliśmy bardzo różne maszyny, a wśród nich nożne. Trzeba więc było unowocześnić park maszynowy, zmieniać organizację produkcji. Zdecydowaliśmy, że będziemy szyli nie tylko to, czego oczekuje od nas handel, ale będziemy wychodzili z własnymi propozycjami. Mieliśmy już plastyków, projektantów, modelarzy. Główny nacisk położyliśmy na jakość. I to dało rezultaty. Produkcja zaczęła nam rosnąć. Gdzieś około 1965 roku ówczesny „Confexim" zainteresował się naszymi płaszczami, proponując je zagranicznym odbiorcom.

— I wtedy Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego, widząc powodzenie „Próchnika", dało wam nową fabrykę — wtrącam.

— W styczniu 1968 roku przejęliśmy fabrykę odzieżową w Poddębicach. Początkowo należała ona do „Wólczanki" i szyto tam koszule. Następnie już specjalnie dla naszych potrzeb wybudowano oddział w Rawie Mazowieckiej.

— Fabryki te powstały na terenie — jeśli można użyć tego określenia — dziewiczym?

— W pierwszym okresie załogi obu fabryk trzeba było wzmocnić specjalistami, aby przeszkolić ludzi. Obecnie, zarówno w Poddębicach jak i w Rawie Mazowieckiej, pracują szkoły przyzakładowe. Bez tych szkół nie podołalibyśmy stale rosnącym zadaniom. Są to już nie tylko zadania ilościowe, ale przede wszystkim jakościowe. Musimy podołać bardzo skomplikowanym wymaganiom odbiorców zagranicznych, a i rynek krajowy domaga się coraz bardziej trudnej i coraz lepszej produkcji.

W lipcu 1974 roku **„Próchnika"** połączono z **„Polboyem"**. Jest to łódzką fabryka, która do tej pory szyła ubrania dla dzieci i młodzieży. Dotychczasową produkcję „Polboya" przejęły inne fabryki. „Polboy" jeszcze do połowy 1975 będzie się wywiązywał z zagranicznych zobowiązań, ale już w tym czasie rozpoczyna produkcję płaszczy. Tak więc „Próchnik" stał się fabryką, w skład której wchodzą cztery zakłady: dwa w Łodzi i po jednym w Poddębicach i Rawie Mazowieckiej.

PORÓWNANIA: Stary „Próchnik" — a więc fabryka mieszcząca się przy ul. Sienkiewicza w Łodzi — zatrudnia 1200 pracowników.

Od 1967 roku w Zakładach Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika w Łodzi, Poddębicach i Rawie Mazowieckiej pracuje 2800 osób.

Od połowy 1974 roku w czterech zakładach „Próchnika" pracuje już 4200 osób.

W 1959 roku „Próchnik" uszył 300 tysięcy płaszczy.

W 1974 roku — milion płaszczy, z tego 240 tysięcy na rynek krajowy i 760 tysięcy — na rynki zagraniczne.

W 1975 roku produkcja czterech zakładów „Próchnika" wyniesie 1,5 miliona sztuk odzieży, jako że „Polboy" produkować będzie jeszcze ubranka dla dzieci i młodzieży. W 1976 roku produkcja „Próchnika" znacznie się zwiększy.

W 1959 roku Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika sprzedały do ZSRR 10 tysięcy płaszczy. Obecnie na rynki ZSRR sprzedaje się 300 tysięcy płaszczy.

„Próchnik" eksportuje: do Kanady, Wielkiej Brytanii, Danii, Francji, Stanów Zjednoczonych, RFN, Szwecji oraz do krajów arabskich.

EKSPORT. Zaczęło się od owych 10 tysięcy płaszczy, które pod koniec 1959 roku „Próchnik" wyeksportował do ZSRR.

— Co było dalej? — pytam.

— Dalej była długa przerwa — odpowiada dyrektor Jan Sokal. — **Jak już wspomniałem musieliśmy okrzepnąć na rynku krajowym. Około 1965 roku ówczesna centrala handlu zagranicznego „Confexim" zaproponowała nam sprzedaż płaszczy odbiorcom z krajów zachodnich. Trudno to jednak nazywać eksportem. Był to raczej sondaż rynku zachodniego. „Confexim" wchodził w kontakt z zagranicznym domem towarowym i dom towarowy brał od nas... 50 płaszczy.**

Później kiedy płaszcze nasze znalazły uznanie u zagranicznego odbiorcy, zaczęliśmy sprzedawać większe ilości, a także zaczęliśmy szyć na zamówienia zagranicznych kontrahentów.

Obecnie staramy się przede wszystkim sprzedawać płaszcze z krajowych tkanin wełnianych. Na miejscu mamy przedstawiciela „Textilimpexu", możemy zawierać kontrakty z odbiorcą. I zawieramy. Uważam, że powinniśmy ograniczać eksport ilościowo, co nie wpłynie na wartość zawieranych transakcji, gdyż będziemy sprzedawali płaszcze wyższej jakości, z krajowych tkanin, atrakcyjniejsze. Wyjdzie to również z korzyścią dla rynku krajowego.

Nasz eksport nie jest jednak sprawą bagatelną, gdyż stanowi on 10 procent całego eksportu przemysłu odzieżowego. Mamy już wyrobioną markę na wielu rynkach i chcemy nie tylko ją utrzymać, ale jeszcze bardziej ugruntować, zdobyć silniejszą pozycję wśród wielu groźnych konkurentów. Jest to zupełnie realny cel, gdyż już niedługo przeniesiemy się do nowoczesnych pomieszczeń.

NOWY „PRÓCHNIK".

— A więc budujecie nową fabrykę?

— Tak. Przy ulicy Milionowej w pobliżu ulicy Promińskiego. Dobra to lokalizacja, bo przy trasie komunikacyjnej, a niedaleko śródmieścia. Nie mamy produkcji uciążliwej dla otoczenia, a rozwiązanie architektoniczne fabryki może tylko wzbogacić tę część miasta.

— Jaki będzie ten nowy „Próchnik"?

— To będzie nowoczesna fabryka. Pierwsza nowoczesna fabryka w przemyśle odzieżowym. Wielokondygnacyjna. Jedna kondygnacja w podziemiu, przeznaczona na magazyny, garaże, siedem kondygnacji ponad ziemią. Wszystko nowocześnie klimatyzowane. Dobrze wyposażone zaplecze socjalne, gabinety lekarskie, pomieszczenia rekreacyjne. Sale recepcyjne dla rozmów z zagranicznymi kontrahentami. Produkcja i transport wewnętrzny w pełni zmechanizowane.

Różnicę między tym, co teraz mamy, a tym, co będziemy mieli najlepiej zilustrują porównania. Obecnie posiadamy razem z biurami i magazynami około 8 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni. Będziemy mieli w nowej fabryce około 15 tysięcy metrów kwadratowych. A więc wzrost prawie dwukrotny.

— Kiedy nowa fabryka będzie gotowa?

— Prace budowlane rozpoczęły się we wrześniu 1974 roku. Ukończone mają być w połowie 1976 roku.

— Czy zwiększy się załoga?

— Nieznacznie. Zaledwie tylko o 100 osób.

— A maszyny? Czy przewidziana jest także wymiana parku maszynowego?

— Dokonaliśmy już wymiany. Posiadamy nowoczesne maszyny, automatyczne. Ponieważ przewidujemy zmianę organizacji pracy w nowej fabryce, to niektóre maszyny trzeba będzie dokupić. Podstawowe maszyny przeniesiemy po prostu z ulicy Sienkiewicza na ulicę Milionową.

— Co będzie dalej z „Polboyem"?

— Od 1 lipca 1974 roku nosi on już oficjalną nazwę „Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika — zakład B". Na razie tego zakładu nie ruszamy. W programie przewidziano budowę pomieszczeń odtworzeniowych. I tak się złożyło, że postanowiono zlokalizować je w pobliżu nowego „Próchnika". Ale chyba jeszcze nie w najbliższej pięciolatce, raczej po 1980 roku.

STRUKTURA. Na początku wszystko było proste, ale już przejęcie w styczniu 1968 roku fabryki w Poddębicach sytuację skomplikowało, podobnie zresztą jak przejęcie fabryki w Rawie Mazowieckiej. W Poddębicach była dyrekcja i pozostała, stając się kierownictwem oddziału. W Rawie Mazowieckiej trzeba było powołać nowe kierownictwo. Oba zakłady pozostają na ograniczonym rozrachunku. Otrzymują z centrali zadania i środki na ich realizację.

Przejęty natomiast w lipcu 1974 roku „Polboy" pozostanie zakładem na pełnym rozrachunku. Sam będzie zawierał umowy, realizował je, będzie dysponował własnym kontem bankowym.

W tej sytuacji przyjdzie „Próchnikowi", na wzór ZPO „Wólczanka" czy Bytomskich ZPO powołać zarząd, który będzie kierował całością wielozakładowego przedsiębiorstwa. Do tej pory funkcję taką spełnia dyrekcja „starego Próchnika". W miarę jednak rozwoju przedsiębiorstwa, w miarę rozszerzania kontaktów handlowych dotychczasowa struktura organizacyjna coraz bardziej narażona jest na skomplikowane trudności, a wynikające z niedostatków w systemie zarządzania.

Najważniejszą sprawą staje się jednak takie dopasowanie metodą zarządzania, aby fabryka mogła samodzielnie podołać wzrastającym i nasilającym się kontaktom zagranicznym. Wprawdzie „Próchnik" handluje za pośrednictwem „Textilimpexu", ale mało który zagraniczny kontrahent nie zagląda na ulicę Sienkiewicza, a czasem do któregoś z podległych zakładów, aby naocznie przekonać się o technicznych możliwościach producenta, u którego pragnie ulokować swoje zamówienie. Można więc przewidywać, że system zarządzania fabryką będzie szedł w kierunku jej większej samodzielności, eliminując ogniwa pośrednie.

„Próchnik" z racji swojego rymatu na rynku krajowym jest też wiodącą fabryką w zrzeszeniu producentów płaszczy męskich, do którego wchodzą inne fabryki szyjące płaszcze, w tym „Omex" z Głuchołazów i „Rafio" z Wałbrzycha oraz zakłady spółdzielczości pracy.

— Troszczymy się o zaopatrzenie dla zakładów wchodzących w skład zrzeszenia — mówi Jan Sokal. — **Rozdzielamy materiały i dodatki. Organizujemy giełdy krajowe producentów płaszczy męskich. Niektóre duże zakłady, jak „Omex", „Rafio", Łódzka Spółdzielnia Pracy im. Lewartowskiego mają własne wzorcownie i oddziały przygotowania produkcji. Pozostałym my świadczymy tego typu usługi. Jest u nas dział koordynacji, w którym jest główny technolog i on pomaga innym rozwiązywać problemy technologiczne, przekazuje im nasze doświadczenia. Jest to dział koordynacji powołany dla potrzeb zrzeszenia producentów płaszczy męskich.**

Obecnie działa w kraju 12 zrzeszeń producentów w przemyśle odzieżowym. Nasze zrzeszenie powstało w 1963 roku i było pierwszym. Na nas uczyli się inni, na naszych osiągnięciach i błędach.

JAKI JEST MONOPOLISTA? Fabryka przeszła długą drogę — od „Warty" do przedsiębiorstwa wielozakładowego. Od pracy na nożnych maszynach do szycia — do pracy na automatach. Nie jest to droga zakończona. Ale jest typowa dla wielu łódzkich fabryk, które zaczynając od tego, co było pod ręką, od niedoskonałego jeszcze zaspokajania ówczesnych, bardzo pilnych potrzeb, doszły dziś do wysokiego poziomu produkcji, do uznania krajowych i zagranicznych odbiorców.

Za kilka lat nowoczesny „Próchnik" będzie jeszcze jedną wizytówką przeobrażającej się Łodzi, podobnie jak dziś są nimi: „Fako", „Bistona", „Dywilan" czy „Polanii".

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

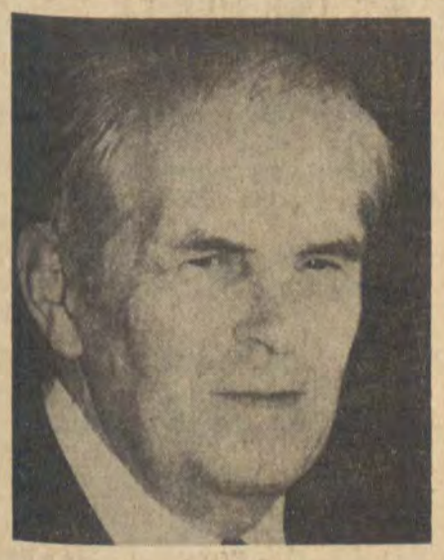

ALEKSANDER KAMIŃSKI

Aleksander Kamiński urodził się 28 stycznia 1903 r. w Warszawie w rodzinie inteligenckiej. Dzieciństwo spędził na Ukrainie, przeplatając naukę z pracą. W 1918 w gimnazjum polskim w Humaniu wstąpił do harcerstwa. W 1921 wrócili do kraju. Łącząc obowiązki wychowawcy młodzieży w warszawskich bursach i internatach ze studiami na uniwersytecie uzyskał w 1928 r. magisterium na Wydziale Historii. Jednocześnie w Związku Harcerstwa Polskiego był komendantem Chorągwi Mazowieckiej i członkiem Głównej Kwatery. W latach 1933-39 przebywał na Śląsku kierując Centralnym Ośrodkiem Kształcenia Starszyzny Harcerstwa Męskiego. Podczas okupacji pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji w organizacjach podziemnych. Redagował m.in. „Biuletyn Informacyjny", organ Komendy Głównej Armii Krajowej (1939-44). Był szefem VI oddziału sztabu Okręgu Warszawskiego AK i kierował organizacją małego sabotażu „Wawer" (1941-44). Zawiadywał oficjalnym wydawnictwem Biura Informacji i Propagandy Okręgu Warszawskiego AK. Po wojnie rozpoczął działalność naukową, wiążąc się na stałe (z przerwą w latach 1950-57) z Uniwersytetem Łódzkim. Był wiceprzewodniczącym Związku Harcerstwa Polskiego w latach 1945-48 i przewodniczącym Rady Naczelnej Harcerstwa polskiego w 1957 r.

Różnoraka, bogata aktywność A. Kamińskiego uderza jednorodnością, trwałym ześrodkowaniem wokół jednej pasji. Nauczanie, harcerstwo, praca organizacyjna, twórczość literacka i naukowa są świadectwem jednej, na stałe obowiązującej decyzji — szeroko pojętego uczestnictwa w wychowawczych dążeniach organizacji młodzieżowych.

Działalność pisarska zajmuje w poczynaniach A. Kamińskiego miejsce szczególnie ważne. Autor „Kamieni na szaniec" debiutował w 1928 r. na łamach „Płomyka", od razu podporządkowując swe pióro wymogom dydaktyki. Pierwszą książką harcerskiego działacza był „Antek Cwaniak. Książka o zuchach" (wydana w 1932, wznowiona po raz ostatni w 1957). Ową pierwszą instruktażową i wychowującą część trylogii uzupełniły przed wojną: „Książka wodza zuchów" (1933, ostatnie wydanie 1957) oraz „Krąg Rady" (1935). Działając na Śląsku wydał też Kamiński kilka książeczek dziś już nie wznawianych, m.in. „Oficera Rzeczypospolitej" (1932) i „Andrzeja Małkowskiego" (1934). W czasie okupacji ukazały się konspiracyjnie „Zuchy" i „Wielka gra" oraz — rozpoczynające okres szerokiej czytelniczej znajomości autora i długotrwałych polemik — „Kamienie na szaniec". Książka ta, mająca aż dwa okupacyjne wydania w kraju i jedno londyńskie z 1943 r., skłaniała i skłania do szeregu przemyśleń i konstatacji.

Powieść A. Kamińskiego niemal na bieżąco, w formie jakby reportażu, budowała w warunkach walki z okupantem legendę poległych w boju bohaterskich żołnierzy „Szarych Szeregów". Oddziaływanie tej książki nie sprowadzało się do dawania świadectwa prawdzie, jej funkcją podstawową było — poprzez porywający przykład — zapewnienie ciągłości akcji „burzenia zła". Sprawy określonego, „wysokiego" stylu, budowy fabuły z pozycji wszechwiedzącego narratora, uproszczeń portretów psychologicznych i pewnych, powieściowo koniecznych niedopowiedzeń i nieścisłości — słowem cała „literackość" owego „reportażu" — była w aktualnej sytuacji odbioru i konieczna często, i w zasadzie drugorzędna. Lecz po odzyskaniu niepodległości zaatakowano powieść natychmiast. Raziła krytyków właśnie literackość — zbędna ich zdaniem w dokumentarnym zapisie, drażniły faktograficzne luki i poczynione wybory, niepokoiło „rozkołysanie wyobraźni" młodzieży w kierunku destrukcji przy niedostatku elementów pomocnych w „formowaniu zrębów nowego światopoglądu młodzieży".

Zmieniła się po prostu sytuacja odbioru: pojawiła się zarówno potrzeba pełnego dokumentu, jak i dydaktyki w pełnosprawnym literackim kształcie. Problem współżycia dokumentu i literatury pozostał w dalszym ciągu otwarty.

Pytania i wątpliwości zrodzone z lektury „Kamieni na szaniec" odżyły (z wyjątkiem kwestii — kamieni na szaniec św. trójcy) po ukazaniu się w 1957 roku obszernej historii batalionów „Zośka" i „Parasol". Pomijając trudne do uniknięcia w próbie beletryzacji nieścisłości, za istotne uznać należy zarzuty nadmiernej widoczności i prymatu w tekście powieści z łatwością osądzającego podmiotu autorskiego; irytował też recenzentów natrętny, upraszczający dydaktyzm. I ta więc kolejna, obszerniejsza postać powieściowej koegzystencji dokumentarności, literackości i dydaktyzmu nie była w odczuciu krytyki sukcesem. Niemniej w owym czasie książka ta (wraz ze wznowieniami „Kamieni na szaniec" stała się świadectwem poczytności.

W powojennej działalności pisarskiej A. Kamińskiego przeważa zdecydowanie twórczość naukowa. Jest ona przykładem rzadkiej, choć prawidłowej, konsekwencji. Praktyka działacza zastąpiona została refleksją historyka i teoretyka młodzieżowych form aktywności. Skala podejmowanych zagadnień imponuje rozległością i aktualizacją — od sposobów aktywizacji i uspołecznienia uczniów, przez teoretyczną i historyczną analizę młodzieżowej samorządności, po kwestię wolnego czasu, a nawet wychowanie ku starości. Najważniejsze są jednak, moim zdaniem, rezultaty pracy podjętej jeszcze w 1949 r. z inicjatywy Heleny Radlińskiej, owe cztery księgi „związków młodzieży" — od „prehistorii" do 1848 r. (1959, 1963, 1968, 1971).

Mimo wszystkich podnoszonych usterek pierwsze trzy tomy — dotyczące historii organizacji młodzieżowych — zapełniły poważną, niepokojącą schematami, lukę w naszej wiedzy. Natomiast tom ostatni „Analiza teoretyczna polskich związków młodzieży do połowy XIX w." powinien stać się obowiązkową lekturą opiekunów i działaczy młodzieżowych. Jego rewelacyjność polega bowiem na uprzytomnieniu „odwiecznych", historycznie potwierdzonych oczywistości, nie zawsze jednak będących rzeczywistością.

WIESŁAW PUSZ

TELEWIZJA — RADIO — FILM

ADAPTACJE

Zorganizowaliśmy dyskusję poświęconą artystycznej i socjologicznej problematyce związków pomiędzy literaturą a środkami masowego przekazu. Problematyka ta posiada już dość bogatą tradycję w rozważaniach teoretycznych i historycznych na temat stosunków pomiędzy literaturą a filmem, natomiast mniej uwagi poświęca się samoistnej dramaturgii telewizyjnej i radiowej, literackim praktykom adaptacyjnym na użytek telewizji i radia, jak również interesującej konkurencji pomiędzy lekturą literatury pisanej a recepcją literatury za pośrednictwem mass-mediów w ramach społecznego uczestnictwa w kulturze.

W dyskusji udział wzięli: WACŁAW BILIŃSKI — pisarz, autor scenariuszy filmowych i telewizyjnych oraz słuchowisk radiowych, kierownik literacki nowo powołanego zespołu filmowego w Łodzi, dr WŁADYSŁAW ORŁOWSKI — dramaturg teatralny, telewizyjny i radiowy, kierownik literacki Teatru Ziemi Łódzkiej, dr BOLESŁAW W. LEWICKI — dyrektor Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ, doc. dr POLA WERT — filmoznawca z tegoż Instytutu, dr BOGUSŁAW SUŁKOWSKI — socjolog kultury z Instytutu Socjologii UŁ oraz TADEUSZ SZCZEPAŃSKI — pracownik naukowy Zakładu Wiedzy o Filmie i Telewizji UŁ, stały recenzent telewizyjny „Odgłosów".

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI: — Wśród ludzi zawodowo zajmujących się myśleniem o kulturze współczesnej na prawach truizmu funkcjonuje przekonanie o tym, że obecnie literatura w sensie fabularnym istnieje nie tylko na papierze. Można mówić aktualnie o wyjątkowym dla naszych czasów typie kultury fabularnej, która wywodzi się z literatury, ale funkcjonuje już nie tylko w ramach estetyki literackiej, lecz również w ramach estetyki filmowej, telewizyjnej i radiowej.

Wacław Biliński

Władysław Orłowski

Adaptacje literatury ujrzane lub usłyszane w środkach masowego przekazu budzą niejednokrotnie protesty literackich purystów, obrońców oryginału. W zabiegach adaptacyjnych znika — jak mawiają — głębia humanistycznego przesłania i stylistyczna uroda oryginału. Niestety puryści często mają rację. Mass-media, które pracują w szybkim tempie, buszują bez kontemplacyjnego namysłu w literackim antykwariacie fabuł. Literacką kontemplację oddalają w biblioteczne ustronie, same zaś produkują to, „co — by strawestować Norwida — znika dzisiaj (iż widziane pędem) pod szklanego ekranu urzędem". Oczywiście, odwrotu od tego typu kultury działającej na zasadzie technicznych przymusów nie ma i dlatego należy zachować postawę otwartą, dzięki której można projektować wartościową współpracę pomiędzy literacką tradycją i literaturą współczesną a elektronicznym molochem.

Tego przekonania nie podzielają — jak mi się wydaje — nasi pisarze, którzy chyba nadal swoje ambicje artystyczne lokują w literaturze książkowej, pisanej, natomiast propozycja „sprzedaży" utworu w radiu lub w telewizji jest traktowana przez ambitnych autorów z pewną arystokratyczną, być może tylko udawaną, niechęcią. W każdym razie zgadzają się na takie transakcje okazjonalnie i jakby wstydliwie. Brakuje natomiast u nas specjalnej kategorii pisarzy kultury masowej, swoistych techników literackich, którzy predestynowani rodzajem talentu, z założenia tworzą literackie prefabrykaty na użytek filmu, telewizji, czy radia. Winni oni z perfekcją poruszać się wśród rozmaitych konwencji dramaturgicznych, opanować niełatwą sztukę sugestywnego dialogu, umieć skutecznie kreować efekty ideologiczne. Ich brak dotkliwie odczuwa się u nas w nieporadnych warsztatowo adaptacjach, w naiwnej i nieciekawej fabularyzacji tematu współczesnego, w ideologicznym rezonerstwie i w ogóle w nieznajomości podstawowych zasad dramaturgii telewizyjnej lub radiowej.

W tym miejscu jednak może się pojawić niebezpieczeństwo ograniczania kreacyjnej swobody pisarza poprzez bardziej masowy adres jego twórczości, wymuszona rezygnacja z bardziej wyrafinowanych intelektualnie i artystycznie konwencji porozumienia z odbiorcą na rzecz konwencji ograny ch i stereotypowych, co w ostatecznym efekcie może zagrażać autonomicznemu rozwojowi sztuki literackiej.

Istnieje również problem służby ideologicznej pisarza pracującego dla środków masowego przekazu. Żyjemy bowiem w świecie ideologicznie i politycznie nieobojętnym i można zastanowić się nad ideowymi oczekiwaniami zgłaszanymi pod adresem literatury i środków masowego przekazu, nad różnoraką intensywnością tych oczekiwań w stosunku do społecznego zasięgu mass-mediów, nad ich wpływem na pisarską działalność.

Obserwując żywiołowy rozwój dramaturgii telewizyjnej i radiowej można odnotować przenikanie konwencji wywodzących się z literatury. Niemniej można dostrzec również charakterystyczne deformacje tych konwencji, ich korektury przeprowadzane w imię samorodnych możliwości estetycznych radia i telewizji, których potencjał — jak sądzę — jeszcze w pełni nie wykształcił się. Funkcjonują tu jednak już pewne wzory idealne, nad którymi warto się zatrzymać w naszej dyskusji.

W jakim kierunku podążają te wzory? Czy pozwalają, być może, odejść od wszechwładnej i zniewalającej konwencji realistycznej, życiopodobnej fabuły w stronę pewnej atrakcyjności intelektualnej, tam, gdzie podąża współczesna literatura?

Te pytania i te problemy zakreślają obszar, którego losy zależą od odbiorcy, od jego możliwości percepcyjnych, od procesów demokratyzacji kultury. Prowadzone są badania nad społecznymi uwarunkowaniami odbioru literatury, nie tylko w zakresie statystycznej, ilościowej sieci czytelniczych wyborów, ale także nad jakościami procesów odbiorczych literatury w zrelatywizowaniu do różnych poziomów dzieła literackiego. Badania te posiadają cenne wartości socjotechniczne dla polityków kultury. O ile mi wiadomo ta strategia badań nie obejmuje na szerszą skalę środków masowego przekazu, których odbiór bada się nadal mało efektywnymi w sensie konceptualnym metodami ilościowymi.

Tymczasem badania nad pragmatycznymi efektami filmów, widowisk telewizyjnych czy spektakli radiowych pozwoliłyby — jak sądzę — określić precyzyjnie kierunek oczywistego wpływu stylu filmowej, telewizyjnej czy radiowej kultury fabularnej na rozwój kultury literackiej czytelnika, czyli na jego wybory, motywacje i odbiorcze nastawienia zarówno wobec tradycji jak i współczesności literackiej.

WACŁAW BILIŃSKI: — Zacznę od sprawy, która dla mnie jest najzupełniej oczywista. Myślę, że ta niechęć pisarza do środków masowego przekazu jest legendą. Jestem głęboko przekonany, że pisarze aż się palą do tego, aby ich dzieła były przedmiotem zainteresowania telewizji, filmu czy radia. Niemniej jest to żądza grzeszna, dlatego, że jest to chyba cudzołóstwo. Niewątpliwie większość pisarzy w momencie, kiedy dają się uwieść nie zdaje sobie sprawy, że jest to przekazanie autonomicznego utworu własnego w nieskończoną ilość rak interoretatorów, i że z tego wynikają różnorakie konsekwencje. Pokusa jednak jest tak wielka, że nawet najwięksi jej się nie oprą. Powszechnie wiadomo, że np. Hemingway handlował z Hollywoodem. U nas mamy przykład m. in. Iwaszkiewicza z „Matką Joanną od aniołów" czy „Brzeziną", a obecnie z „Czerwonymi tarczami", nad którymi pracuje Wojciech Has. Nawet tak ekskluzywny twórca słowa pisanego jak Kazimierz Brandys jest autorem oryginalnego scenariusza do telewizyjnego serialu o Chopinie. Niecierpliwie czekam jako wielbiciel pisarstwa Kuśniewicza na film oparty o jego prozę. Cieszy mnie, że podobno rozwija się z Kuśniewiczem taki flirt i to chyba nie jednostronnie. Mamy więc tutaj do czynienia z sytuacją dziewczyny, która przesiedziała na zabawie cały wieczór i nikt jej nie zaprosił do tańca, a na drugi dzień opowiada, że nie chciała tańczyć. Oczywiście, że z tego rodzaju romansów wynikają dla pisarza często bardzo gorzkie doświadczenia dowolnej interpretacji jego utworów.

Osobiście, jako widz filmowy najwyżej stawiam film autorski. Jeżeli rzecz nie jest pisana bezpośrednio dla środków masowego przekazu, a stanowi tylko materiał adaptacyjny, to poza Szekspirem — jak mi się zdaje — bywa to zazwyczaj coś słabszego niż w wypadku poczęcia pełnokrwistego pomysłu dla filmu, radia i telewizji. I to wynika ze środków masowego przekazu, a nie ze specyfiki literatury. Nie sądzę, aby środki te miały zawężony w stosunku do literatury obszar możliwości intelektualnych. Wydaje mi się, że dzisiejsza technika umożliwia już nieograniczoną wprost metaforyzację i paraboliczację rzeczywistości. Słowo nie dysponuje w stosunku do obrazu aż taką przewagą. Ale my to tak odczuwamy, ponieważ żyjemy wciąż w kulturze zdominowanej przez tysiącletnią hegemonię literatury.

BOLESŁAW W. LEWICKI: — Żyjemy wśród środków masowego przekazu, żyjemy wśród codziennej rzeki spektakli emitowanych przez telewizję. Naszą normą jest spektakl dziennie. Wytworzyła się w świecie nowa sytuacja kulturowa i jej zasady są nieodwracalne, funkcjonują niezależnie od naszej woli.

Należy inaczej traktować prymat literatury. Myślę, że literatura jest tym, czym dla żołnierza jest broń biała albo reczna, mimo, że ta broń nie rozstrzyga, a rozstrzyga technika, to jednak literatura dostarcza pewności i rozstrzygnięć ostatecznych. Jest to porównanie bardzo odległe, ale i bliskie jednocześnie. Przeżywamy obecnie katastrofę ilościowego nadmiaru książki, zalew drukowanego papieru, który sprawia, że w gruncie rzeczy nie mamy co czytać, ponieważ wybór jest zbyt trudny, a tematyka na ogół partykularna. Do kina mamy na co chodzić, telewizja nas przymusza, a w księgarniach stoimy smutni i nie wiemy co wybrać. W tym zalewie druku kino i telewizja jest dla nas w pewnym sensie, nie zawsze szczęśliwym, ratunkiem, ponieważ dokonuje za nas wyboru. Stan zagrożenia ilością druku sprawia, że sprawa przesuwa się nie na korzyść lepszości mass-mediów, ale na korzyść wyborów, które za nas wykonują.

Mam wrażenie, że pierwsze miejsce w naszych badaniach nad sztuką winny zająć badania socjo- i fenograficzne, badania kulturoznawcze, badania tekstów kultury. Problematyka adaptacji otwiera perspektywę socjologiczno-kulturową na przyspieszoną wędrówkę tematów. Jakiś ciekawy temat literacki staje się rodzajem plotki powszechnej, mitem, jak „Anna Karenina", jak Olbromski, jak Cedro, albo staje się prawie legendą jak „Ziemia obiecana". I wtedy nie mamy do czynienia z adaptacją, lecz z wędrówką tematu, który przechodzi z formy do formy. Stąd wielu pisarzy bezpośrednio sięga po kamerę i jest to naturalny proces, który będzie się tylko rozszerzał. Jednak nie każdy temat — jak się okazuje zasługuje na to, aby „powędrować".

WACŁAW BILIŃSKI: — Przepraszam za drobne wtrącenie. Pierwszym adaptatorem utworu literackiego jest przecież z reguły czytelnik, który w procesie odbioru zawsze dokonuje jego inscenizacji środkami swojej wyobraźni.

BOLESŁAW W. LEWICKI: — Pragnę zakończyć swoją wypowiedź argumentem z ostatniej chwili. Andrzej Wajda, reżyser „Ziemi obiecanej" Reymonta nie jest tuzinkowym adaptatorem, ale wędrowcem po tematach. Przy Żeromskim był uczniem pisarza, którego tak a nie inaczej odczytał i podał. W tej chwili po innych jego filmach jestem głęboko przekonany, że Andrzej Wajda jest Wyspiańskim naszych czasów. To są dwie równoznaczne wartości. Po „Ziemi obiecanej" okazuje się, że jest w pewnym sensie lepszy od Reymonta. Z nudnej, nieomal grafomańskiej powieści zrobił wielki film. I to jest droga filmu, który może być wierny literaturze, ale i może ją przezwyciężyć.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI: — Reprezentuję mało rozpowszechniony typ pisarza, który właściwie zaczął od środków masowego przekazu. Dopiero ostatnio napisałem pierwszą powieść autonomicznie literacką, mając już wypracowany zupełnie inny warsztat. Natomiast bardzo często podejmowałem i podejmuje się roli adaptatora. Niejednokrotnie jest to proces bardzo złożony, ponieważ nie sposób traktować adaptacji na zasadzie przekładu mechanicznego, lecz jest tutaj utwór literacki punktem wyjścia i należy traktować scenariusz jako odrębne dzieło. Czy literackie? Podam przykład charakterystyczny: Klub Dramatopisarzy Polskich przy warszawskim Oddziale ZLP uchwalił memoriał o stanie dramaturgii polskiej. I jest rzeczą ciekawą, że w tym tekście, którego redaktorami byli m. in. ludzie pracujący dla radia, nie wspomina się w ogóle o środkach masowego przekazu. Coraz bardziej przekonuję się, że pisanie scenariusza np. telewizyjnego nie może być traktowane jako działalność zbliżona do pisania gotowego dzieła literackiego o ostatecznym kształcie. Powołam się tutaj na moje ostatnie doświadczenie. Spotkałem się z reżyserem i parą wykonawców głównych ról przygotowujących widowisko według mojego scenariusza w telewizji.

Młodzi aktorzy zaproponowali mi wprowadzenie w niektórych scenach elementów swoistego języka znamiennego dla dzisiejszej subkultury młodzieżowej. Oczywiście, zgodziłem się na tę korektę ze świadomością, że mogłem nie oddać tego autentyzmu, który mogą zapewnić młodzi wykonawcy. Czy ograniczyłem w ten sposob swoje autorstwo?

Telewizja przecież nadal prymat autorstwa oddaje autorowi tekstu. Ale była to decyzja świadoma i dotyczyła warstwy zewnętrznej, więc nie odczułem tego ograniczenia. Często konwencja realistyczna scenariusza w zderzeniu z realizacją zmusza do jego poprawek w imię autentyzmu i bardzo często poprawki te dotyczą właśnie dialogu. Wytworzyły się u nas ostatnimi czasy najrozmaitsze subkultury stylistyczne i często pisarz występuje w roli tłumacza z języka ogólnopolskiego na język danej grupy społecznej. Nie zawsze to udaje się w pełni. Zatrzymuje się przy tej kwestii, ale jest ona kapitalna dla literatury w środkach masowego przekazu, ponieważ my dostarczamy tylko dialogu.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI: — Także idei...

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI: —

W CIENIU

Narodzinom filmoznawstwa jako naukowej dyscypliny humanistycznej patronował autorytet Sorbony. I Międzynarodowy Kongres Filmologii, który odbył się w 1947 roku w paryskim uniwersytecie miał nie tylko wprowadzić film w obręb humanistycznych warsztatów badawczych, nadać uprawianej dotąd poza uniwersyteckimi ośrodkami refleksji na temat filmu status akademicki, ale również — co najważniejsze — zaprojektować jej przyszły rozwój jako samodzielnej dziedziny badań naukowych.

Dzisiaj, kiedy po latach spoglądamy na to szlachetne w intencjach wydarzenie trzeba stwierdzić, że mimo tak wysokiej protekcji filmoznawstwo nadal nie może ukonstytuować się w naukę o pełnej autonomii w zakresie przedmiotu swoich badań i swojej metodologii. W konsekwencji cierpi na kompleks niższości wobec dyscyplin uznanych, zatwierdzonych i pokrytych kurzem dostojeństwa. I winę za ten stan rzeczy ponosi zarówno sama filmologia jak i cały kontekst objawów z zakresu psychologii społecznej życia naukowego, wśród których wyrasta i żyje.

Uczciwiej będzie zacząć od grzechów własnych młodej adeptki humanistyki. Już na sorbońskim kongresie w postaci niejako embrionalnej zarysowały się podstawowe dylematy i sprzeczności filmowych zainteresowań humanistów. Zostały one wyznaczone złożonym charakterem samego zjawiska, które zamierzono nobilitować naukowym cenzusem. Bo oto okazało się raptem, że film jako fenomen kulturowy XX-wiecznej cywilizacji koncentruje wzmożoną ciekawość wielu dziedzin naraz: **socjologii, psychologii, pedagogiki, estetyki czy filozofii ogólnej.** Co więcej — udowodniono, że poznawcze postulaty pod adresem filmu zgłaszane przez wymienionych petentów są całkowicie uzasadnione.

Film bowiem — jak wiadomo — jest zjawiskiem wieloaspektowym, egzystuje na wielu polach ludzkiej aktywności. Jest tworem kulturowym o masowym zasięgu i mitotwórczej potencji, jego oddziaływanie na ludzki aparat percepcyjny ma wyjątkowy charakter, film może służyć jako instrument przekazu dydaktycznego, jest sztuką o synestetycznej naturze, a dzięki „inteligencji maszyny" — jak to formułował Jean Epstein — staje się wnikliwym rejestratorem zjawisk bytu i poznania.

Jednakże ten zbiorowy aplauz zainteresowania filmem ze strony tradycyjnych nauk nieomal nie spowodował wylania dziecka z kąpielą. Był bowiem film obiektem kompetencji instrumentalnych, traktujących zjawisko fragmentarycznie i jednostronnie z punktu widzenia partykularnych interesów danej dziedziny. Z tych rozszczepionych dociekań prowadzonych z odmiennych pozycji metodologicznych nie mogła zrodzić się integralna, spójna i w pełni autonomiczna nauka o filmie.

Zabrakło filmoznawstwu warunków do powolnego, organicznego wzrostu, w których niegdyś formowała się tradycyjna humanistyka, by powołać się na jej gałęzie najstarsze — historię czy filologię. Prawdziwym, ale przecież zawinionym tylko przez historię, nieszczęściem filmologii były jej tak późne narodziny. Zaprojektowana w połowie XX-wieku musiała stać się bezbronnym przedmiotem agresji dyscyplin doświadczonych i wyspecjalizowanych, których aktywne sąsiedztwo oferowało również swoje doświadczenia i usługi. Gorliwe i pospieszne korzystanie z tych ofert utworzyło katalog grzechów głównych filmoznawstwa: **eklektyzm metodologiczny, dyletantyzm i brak poczucia tożsamości.**

Stąd też nadal filmoznawstwo, ta nauka o zwichniętej biografii, rysuje się jako domena podejrzana, o niewyraźnych konturach, jako zbiór pewnych proponowanych wersji uprawiania filmoznawstwa, które nie tworzą całości harmonijnej i koherentnej. Do tego dochodzą poważne zaniedbania w zakresie badań historycznych.

Bogata, ale zaledwie 80-letnia historia filmu skłaniała samych filmoznawców do gestów lekceważących, które brały się z niechęci do niewdzięcznych badań archiwalnych, a skłonności do budowania błyskotliwych syntez teoretycznych. Tymczasem sama historyka filmu wymaga wielkiego namysłu, a o jego braku najlepiej świadczy ostatnie przedsięwzięcie rodzimych historyków filmu, czyli tom III „HISTORII FILMU POLSKIEGO".

Wewnętrznym trudnościom rozwoju towarzyszy zewnętrzna atmosfera akademicka. Nie zawsze przychylna. Brak życzliwości, który tu i ówdzie odnotuje po latach skrzętny a obiektywny kronikarz płynie z uprzedzeń żywionych zarówno wobec filmu jak i jego badaczy. Uprzedzenia wobec filmu pochodzą z konserwatywnego pojmowania kultury, ze zrozumiałego w końcu przyzwyczajenia do onegdaj przyjętych wartości i poznawczych aksjomatów. Warto może dodać, że na szczęście ta aura odchodzi już w przeszłość, obecnie pokutuje tylko na nielicznych już uczelniach.

Uniwersytety młode i dynamicznie rozwijające się w sposób naturalny zaanektowały filmoznawstwo, upatrując w nim jednocześnie szansę nowoczesności i akademickie zobowiązanie wobec współczesnej kultury. Bowiem mimo najrozmaitszych perturbacji tak wewnętrznych jak i zewnętrznych ma filmoznawstwo sojusznika najoczywistszego i najpotężniejszego. Jest nim typ współczesnej kultury, która rozwija się — jak to określił **Arnold Hauser** w ostatnio wydanej **„Społecznej historii literatury i sztuki"** — „pod znakiem filmu". Ignorancja tej dominanty, jej sztuczne usunięcie poza nawias humanistycznych horyzontów jest zabiegiem zniekształcającym nie do poznania naszą rzeczywistość kulturalną i artystyczną.

Tym większe zatem obowiązki spoczywają na filmoznawstwie i tym większe nadzieje łączą się z jego społecznym funkcjonowaniem. Jego praktyczne zakresy zawierają się w szkolnictwie, które reformuje swoje programy, aby nadążyć za współczesnością i w placówkach upowszechniających kulturę, a także w fachowej krytyce filmowej.

Czy polskie filmoznawstwo jest przygotowane do podjęcia tak sformułowanych zobowiązań? Sprawdzony w 16-letniej praktyce model kształcenia filmoznawczego dla potrzeb oświaty i kultury został wypracowany w obrębie studiów polonistycznych na **Uniwersytecie Łódzkim.** Był to do niedawna model jedyny w skali uniwersyteckiej. Jego autor nestor polskiego filmoznawstwa, profesor **Bolesław Lewicki** tak pisał przed trzema laty na temat stanu organizacyjnego tej dyscypliny:

„Warto jedynie przypomnieć, że polskiej literaturze filmoznawczej brak zasadniczych podręczników i zbiorów typu akademickiego, że likwidacja w roku 1966 „Kwartalnika Filmowego" sprawiła, iż prac naukowych i komunikatów badaw-

TWÓRCA — ODBIORCA

Oczywiście, idei, pomysłu, ale przede wszystkim dialogu. Możemy również podsuwać propozycje rozwiązań ekranowych, ale nie zawsze te pomysły są przyjmowane.

Środki masowego przekazu dają pisarzowi z pewnością wiele satysfakcji, ale jest to satysfakcja szczególnego rodzaju. Przy wydawaniu książki istnieje moment, w którym redaktor przedstawia pisarzowi książkę do ostatecznej akceptacji. W telewizji takiego momentu nie ma. W środkach masowego przekazu istnieje u nas pewien przerost prac redakcyjnych, ale potem przychodzi proces realizacji, w którym wiele się zmienia i właściwie kontrola jest tu niemożliwa. Mimo wszystko telewizja zachowuje wciąż jeszcze skromność w stosunku do autora, a np. w filmie ten zwyczaj już nie istnieje.

Natomiast radio jest jeszcze stosunkowo najwierniejsze w stosunku do pisarza. W radiu dialog pozostaje prawie nie naruszony przez realizatora. Mam wrażenie, że radio jest o wiele bardziej umowne od telewizji. Język bohaterów słuchowiska radiowego nie jest weryfikowany przez nas z równą ostrością jak język, który jest poparty obrazem człowieka mówiącego w kontekście całej obrazowej realności. Słuchamy jedynie głosu, nie zawsze konkretyzując go w określonej sytuacji. Radiowy teatr wyobraźni jest teatrem dużej swobody twórczej. Stąd rola pisarza w radiu jest bardziej decydująca w zakresie ukształtowania tekstu, który w radiu jest główną podstawą.

Reasumując: wydaje mi się, że literacka pozycja pisarza w filmie nie istnieje, pełni on tutaj funkcje pomocnicze, prawie administracyjne. W telewizji mamy do czynienia z etapem przejściowym, ponieważ tam pisarz znajduje jeszcze satysfakcję w pracy nad scenariuszem, której efekty są widoczne później na ekranie. W radiu miejsce pisarza jest najbardziej respektowane.

POLA WERT: — Każdy wynalazek techniczny oddany do użytku społecznego jest sprawdzianem mądrości ludzkiej. To, jak będzie wykorzystany, zależy przecież od nas. Naszym myśleniem kierują nawyki. Mówimy o literaturze, mając na myśli tylko jej postać pisaną. Ale przecież zanim był druk istniała literatura mówiona, istniało zapotrzebowanie na opowiadanie, na eposy bohaterskie, na lirykę, i to zapotrzebowanie było znakomicie zaspokajane formami literatury mówionej. Musimy sobie uświadomić, że inną postać substancjonalną ma literatura w postaci książki, a inna w postaci słuchowiska radiowego, którego tworzywem jest dźwięk, a więc obok słowa występują tutaj pozasłowne środki wyrazu. Jeszcze inną postać ma film czy telewizja jako bezpośrednie ukazanie rzeczywistości, o której pisarz wyraża się słowem, a którą czytelnik z kolei sobie wyobraża.

Środki masowego przekazu mogą stanowić drogę upowszechniania kultury, drogę jej demokratyzacji, drogę awansu społecznego w ostatecznym rachunku. Obserwujemy teraz, po dwudziestu latach istnienia telewizji, u nas pewien spadek ambicji artystycznych pod wpływem znacznego poszerzenia się audytorium, ale jest to proces — jak sądzę — przejściowy, historyczny, gdyż ponowny wzrost ambicji zależy od awansu tego widza. Aby awans ten nastąpił należy zatem szerzyć wiedzę o sposobach korzystania ze środków masowego przekazu, upowszechniać wiedzę o ich formach, o ich estetyce. Znajdujemy się przecież w okresie wciąż początkowym, w okresie wdrażania się w umiejętność korzystania z tych środków. Postuluję historyczny sposób patrzenia na kulturę masową.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI: — Czy to jest historyczny sposób widzenia, jeśli Pan Profesor mówi, że Wajda jest wybitniejszy od Reymonta? To jest czysty ahistoryzm.

BOLESŁAW W. LEWICKI: — Mitologie literackie nie zawsze liczą się z historycznym punktem widzenia.

POLA WERT: — Myślę, że literatura jako twór językowy pełni prymarne funkcje w środkach masowego przekazu. Nie tylko w teatrze, a więc także teatrze telewizyjnym, gdzie „słowo — jak sformułował Jakobson — jest formą działania", ale w ogóle w obrazie, w którym słowo istnieje integralnie na zasadzie generującej formy ikoniczne. Semantyka ogólna nie rozwiązała do tej pory problemu funkcji języka naturalnego w procesach tworzenia plastycznego, a teoretycy literatury na nowo podjęli problem definicji tworzywa literackiego. Podważa się obecnie aksjomat, do którego zdążyliśmy przywyknąć, że jedynym tworzywem literatury jest słowo.

WACŁAW BILIŃSKI: — Nie lubię słowa „adaptacja". Jest to okropne, pejoratywne słowo. Zawsze przychodzi mi na myśl adaptacja strychu na salon w stylu Ludwika XIV.

Druga kwestia to sprawa dialogu. Proszę zauważyć jak wielką wagę przykłada się zwłaszcza w telewizji do dialogu. Właściwie człowiek pióra jest potrzebny po to, aby napisał dialog. Mnie np. jako widzowi marzy się bezdialogowe widowisko telewizyjne. Ale większość reżyserów bez dialogu wydaje się absolutnie bezradna. Mówiąc żartobliwie, obawiam się, że nawet najlepszy bezdialogowy scenariusz zostałby odrzucony przez telewizję jako niespełnienie warunków umowy.

Trzecia sprawa to powien ponury fenomen. Szkoła średnia zupełnie nie przygotowuje do odbioru środków masowego przekazu. I jest to dla mnie sprawa zupełnie niezrozumiała. O ile wiem w programach szkoły średniej istnieją elementy wiedzy o środkach masowego przekazu w ramach programu języka polskiego, ale zupełnie nie są realizowane z powodu braku odpowiedniego przygotowania nauczycieli-polonistów.

POLA WERT: — Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ zorganizował ostatnio Studium Podyplomowe dla Nauczycieli w zakresie wiedzy o teatrze, filmie i telewizji.

WACŁAW BILIŃSKI: — I sprawa ostatnia, czyli ideologia twórczości dla środków masowego przekazu. Zaryzykowałbym twierdzenie: im bardziej masowy środek przekazu tym mniej znajdujemy ideologii w jego przekazach artystycznych. Potrafimy się powołać na kilka przykładów książek z ostatnich lat wyraźnie nasyconych treścią ideową. Myślę o ich ostrości politycznej. Natomiast w środkach masowego przekazu odcedza się treści, które są drażliwe, drapieżne, politycznie agresywne, w miarę rozszerzania się powszechności odbioru. Jest to paradoks, bo w ten sposób marnują się przecież społeczne możliwości środków masowego przekazu. Stąd bierze się m. in. głęboki impas teatru telewizji w zakresie repertuaru współczesnego. Obserwujemy wyraźny lęk przed tematyką współczesną.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI: — Mówimy tutaj o kulturze literackiej, ale wyłącznie z perspektywy nadawcy. Tymczasem pisarz, adaptator czy reżyser myśli w ostatniej intencji o odbiorcy i zastanawia się, w jaki sposób nadane przez niego treści zostaną przyswojone przez czytelnika lub widza. W swojej wypowiedzi chciałbym zająć się odbiorcą, ponieważ kultura literacka jest kulturą, o ile posiada pewien zasięg społeczny. Oczywiście, dla kultury literackiej istotna jest siła środowisk, talenty środowisk artystycznych. Ale nie tylko. Liczy się również pewna, uchwytna miarami najwyżej statystycznymi średnia poziomu możliwości percepcyjnych, średni poziom odbiorów, które się dokonują, średni poziom tych konkretyzacji określonego dzieła, które są wytwarzane w społeczeństwie. Jaka istnieje relacja pomiędzy tym kanałem tradycyjnym, jakim była i jest literatura a środkami masowego przekazu? Środki te spowodowały, że literacka fikcja fabularna zaczęła docierać bardzo powszechnie. Jakie konsekwencje wynikają z tego dla charakteru samych aktów odbiorczych? Wydaje mi się, że wolno mówić o postawach odbiorczych generalnie, o postawach wobec fikcji fabularnej, która cieknie zarówno z telewizji, radia jak i fikcji fabularnej literackiej. W pewnym aspekcie te postawy są identyczne. Chciałbym mówić o barierach percepcyjnych, które są powszechne, uniwersalne i obowiązują zarówno w stosunku do środków masowego przekazu, jak i w stosunku do literatury.

Podstawową barierą jest postawa czytelnika o nastawieniach literalnych dosłownych wobec fikcji fabularnej. Jest to bariera, która powoduje, że odbiorca nie traktuje tej historii, którą mu np. pan Biliński opowiada, jako pewnej egzemplifikacji światopoglądu, jako jedynie nośnika treści ideowych. Jest kategoria czytelników, którzy każdorazowo odbierają tę właśnie konkretną historię Marii i Pawła kończącą się dobrze albo źle i na tej historii ich odbiór całkowicie wyczerpuje się. Sądzę jednak, że gdyby literatura miała tak masowy zasięg jaki mają środki masowego przekazu, to miałaby ona większe szanse przezwyciężania tych postaw, a w ich miejsce kształtowania postaw metaforyzujących. To znaczy chodziłoby o kształtowanie takich postaw, w rezultacie których czytelnicy wiedzą, że konkretna historia jest przypowieścią, jest metaforą, jakimś uogólnieniem.

Otóż tworzywo obrazowe ze swej istoty nie zmusza do takich zabiegów. Jest tu zresztą pewna analogia do literatury. Dlaczego literatura XIX-wieczna, Stendhal, Balzak, jest na ogół percepcyjnie przystępna? Mówi się, że to jest realizm, ale co się za tym kryje? Kryje się za tym możliwość czysto literalnego odbioru literatury. To znaczy przyglądam się światu przedstawionemu przez Balzaka, a nie rzeczywistości przez niego przedstawionej, ponieważ rzeczywistość jest już uwikłana światopoglądowo i niesie pewne uogólnienia.

Przyglądam się wyłącznie światu rzeczy, przebiegów fabularnych, postaci. Literatura tradycyjna stwarzała taką groźbę czytelnikowi, ale w pewnym momencie pojawiła się literatura metaforyzująca, jak proza Kafki czy Camusa. Taka literatura mówi czytelnikowi: albo będziesz mnie odbierał na poziomie metafory, uogólnienia, na poziomie światopoglądowym

Pola Wert

Bogusław Sułkowski

albo ja w ogóle nie mam ci nic do powiedzenia, Balzak i Stendhal nie zmuszali — jak sądzę — czytelnika do takiej postawy. Tworzywo kultury masowej obrazowe działa na odbiorcę przez analogię do tej literatury XIX-wiecznej. Wprawdzie intencje nadawcy mogą tutaj być również metaforyzujące, parabolizujące, nadawca chce przekazywać pewne sensy światopoglądowe, ogólne, ale odbiorca ma prawo odbierać jego przekaz jako kalejdoskop obrazków, ciąg konkretnych historyjek. O ile literatura była niecierpliwa w stosunku do odbiorcy i natychmiast go przyuczała go od postaw niewerystycznych, o tyle środki masowego przekazu — jak mi się wydaje — tolerują te postawy. Wszelka twórczość w tych środkach ma możliwość być odbierana w kategoriach homogenizacji upraszczającej. Odbiorca swoją konkretyzację nie dość że spłaszcza w stosunku do intencji autora w sensach poznawczych, ideowych, ale niekiedy może je jeszcze zlekceważyć. Próbuje się temu zapobiegać poprzez odczyty przed teatrem telewizji, czy przed projekcjami arcydzieł filmowych. Tak więc z jednej strony nadawca usiłuje przemycać treści wysokie pośrod treści trywialnych, teatr poniedziałkowy obok czwartkowej „Kobry", równocześnie jednak poprzez odczyt usiłuje przypomnieć odbiorcy o przemycaniu treści wysokich. Ostrzega, że to są treści z innego gatunku i należy przyjąć wobec nich inną postawę. Nadawca jak gdyby wahał się: czy przemycać, czy ostrzegać, że przemyca.

Wydaje się jednak, że recepcja dzieła artystycznego przebiega nie tylko w płaszczyźnie intelektualnej. Dzieło artystyczne jako twór wielokanałowy informuje nas również o jakichś sensach zmysłowych. Pragnie oddziaływać na naszą wyobraźnię, ponieważ w innym razie byłaby to po prostu publicystyka, literatura przegrywałaby konkurencje z filozofią. Pobudzając naszą wyobraźnię i nasze emocje, pragnie kształtować postawy światopoglądowe. I w tym aspekcie środki masowego przekazu są nakierowane na odbiór intuicyjny i posiadają określoną wyższość nad tworzywem wyłącznie literackim. W teoriach estetycznych nawet literatury nie traktuje się jako tworzywa komunikującego wyłącznie w kategoriach zintelektualizowanych. Mówi się, że literatura polega na takim artystycznym użyciu słowa, które dąży do wytwarzania wyobrażeń odtwórczych czy wytwórczych po stronie czytelnika. Zatem ten aspekt tworzywa literackiego środki masowego przekazu jak gdyby rozwijają, tutaj mają oczywistą wyższość. Ale ten aspekt dla polityka kultury jest mniej ważny od owej konieczności niecierpliwego kontaktowania się z odbiorcą w płaszczyźnie poznawczej, intelektualnej. Jest to paradoks, bowiem z chwilą kiedy nadawca dostał do ręki narzędzie o jak najszerszym zasięgu społecznym, nagle okazuje się, że to narzędzie ma najszerszy zasięg, ale najmniejszą intensywność w tym aspekcie, który był dla niego najważniejszy. Myślę, że mój głos przeciwstawia się pewnemu optymizmowi pana Bilińskiego, który byłby skłonny uważać, że nie ma realnej groźby dla kultury literackiej, dla odbiorców tego lejącego się nieustannie potoku obrazów.

WACŁAW BILIŃSKI: — Wydaje mi się, że często socjologowie kultury jako również działacze kulturalni nie doceniają inteligencji odbiorcy. Niedawno byłem w środowisku wiejskim, w świetlicy, gdzie w telewizji oglądano nie najlepszy film czeski pt. „Człowiek, którego cena rosła". Była to historyjka płaska, źle zrealizowana, banalna — z jednej strony i metaforyczna z drugiej. Ku mojemu zdumieniu audytorium chłopskie, które oglądało ten film pozornie znudzone, doskonale — jak się okazało — odebrało jego sens metaforyczny.

Sądzę, że nasze społeczeństwo jest społeczeństwem rozwijającym się... Przejęło ono w całości dawne cechy inteligencji polskiej, a mianowicie jest dyletanckie i błyskotliwie inteligentne.

BOLESŁAW W. LEWICKI: — Chciałbym, aby zostało wśród nas pewne przekonanie. Myślę o tworzeniu się dzięki środkom masowego przekazu wspólnoty kulturowej ponad formalnymi przedziałami społecznymi, zawodowymi i wykształceniowymi.

PODEJRZENIA

czych nie ma gdzie publikować, że działające w kilku miastach Polski ośrodki filmoznawcze nie porozumiewają się z sobą ani nie współpracują w sposób stały i systematyczny, że nieosiągalna wydaje się być w naszych warunkach organizacyjnych i prawnych najprostsza choćby forma współpracy i koordynacji wysiłków. Pracujemy w absolutnej izolacji".

Jeśli tę opinię uzupełnić informacją o podstawowych trudnościach związanych z organizacją warsztatu badawczego i dydaktycznego (brak sal projekcyjnych, stołów montażowych, filmoteki) to wyłoni się w pełni **ponura codzienność polskiego filmoznawstwa.** Wydaje się, że w chwili obecnej działania organizacyjne są najbardziej palącą potrzebą tej nauki. Wymagają one jednak energii zespołowej i wspólnej świadomości konkretnych celów.

Otóż spieszę donieść, wyjawiając tym samym właściwy cel tego artykułu, że tak pożądana świadomość organizacyjna filmoznawstwa wreszcie zaistniała.

30 stycznia br. odbyła się w Uniwersytecie Łódzkim Ogólnopolska Konferencja Filmoznawcza zorganizowana przez **Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu**, w której uczestniczyli przedstawiciele większości polskich uniwersytetów i wyższych szkół pedagogicznych, Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, oraz Instytutu Sztuki PAN. Otwierający konferencję w imieniu władz uczelni prorektor UŁ, doc. dr hab. **Romuald Skowroński** podkreślił wysoką rangę i znaczenie filmoznawstwa w uczelni, a także wyraził szczególnie życzliwy stosunek do dalszego rozwoju tej dyscypliny w UŁ. Dlatego też wypada stwierdzić w tym miejscu, że filmoznawstwo właśnie w **Uniwersytecie Łódzkim** znajduje pomyślne warunki rozwoju potwierdzane kilkunastoletnią tradycją.

Referat wstępny prof. **B. Lewickiego** precyzował wypracowane w łódzkim ośrodku pojęcie filmoznawstwa w badaniach naukowych i dydaktyce. Dydaktyczna obecność filmologii na polonistyce jest ściśle związana z pojęciem kultury literackiej, która współcześnie obok tradycyjnych technik przekazu literatury obejmuje audiowizualne środki masowego komunikowania, czyli film, telewizję i radio. Ze współczesnego pojmowania kultury literackiej wynika następny związek łódzkiego filmoznawstwa z łódzką polonistyką: jest to semiostrukturalna orientacja badań przekazów audiowizualnych metodologicznie oparta na podstawach lingwistycznych, którą filmoznawstwo dzieli razem z teorią literatury jako wysoko wyspecjalizowaną dyscypliną badawczą współczesnej humanistyki. Referat skupił się również na niezwykle istotnej kwestii celów praktycznych kształcenia filmoznawczego.

Doc. dr **Pola Wert** z ośrodka łódzkiego omówiła w swoim wystąpieniu dotychczasowe doświadczenia dydaktyczne organizowanych przez Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu studiów podyplomowych dla nauczycieli z zakresu wiedzy o teatrze, filmie i telewizji. Ich celem jest stworzenie nauczycielom możliwości uzyskania nowych kwalifikacji koniecznych przy realizowaniu zmodernizowanego programu języka polskiego w szkołach średnich oraz aktualizacja nabytej w przeszłości na studiach polonistycznych wiedzy. Podstawowe wiadomości o teatrze, filmie i telewizji są oparte w programie tych studiów na elementach wiedzy o kulturze i sztuce współczesnej.

Następnie w długim ciągu komunikatów przedstawiciele różnych ośrodków akademickich kraju prezentowali stan filmoznawstwa w swoich uczelniach, skupiając się przede wszystkim na sprawach organizacyjnych i dydaktycznych. Była to niezmiernie interesująca galeria stanowisk i mimo oszczędnych deklaracji merytorycznych można było wyróżnić kilka zasadniczych trendów metodologicznych w polskim filmoznawstwie, takich jak: przyliteracki w powyżej wyłożonym hasłowo rozumieniu kultury litrackiej, pedagogiczny w aspekcie instrumentalnym w stosunku do przekazów audiowizualnych, kulturoznawczy z nachyleniem pragmatycznym i warsztatowy obowiązujący z oczywistych względów w PWSFTv i T.

Zdecydowanie przeważał status filmoznawstwa metodologicznie, dydaktycznie i organizacyjnie powiązany z teoretyczno-literackimi badaniami prowadzonymi w obrębie filologii polskiej. Ten punkt widzenia prezentowało pięć ośrodków: **Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Gdański, Uniwersytet im. M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytet Śląski i Uniwersytet Łódzki.** Podobny charakter ma również zalążek filmoznawstwa w **Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu**, którego przedstawiciel nie był obecny na konferencji. Na filologiach polskich trzech wyżej wymienionych uniwersytetów filmoznawcy prowadzą seminaria magisterskie: w **Uniwersytecie Łódzkim** z zagadnień pogranicznych literatury oraz filmu i telewizji, natomiast w **Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Śląskim** są prowadzone w ramach polonistyki magisterskie seminaria filmoznawcze. Nawiasem warto wspomnieć, że w **Uniwersytecie Gdańskim** i **UMCS** pracują doktorzy — wychowankowie łódzkiego Zakładu Wiedzy o Filmie i Telewizji.

Duże zainteresowanie wśród uczestników konferencji wzbudziło wystąpienie doc. dr hab. **Alicji Helman**, która przedstawiła imponujące perspektywy filmologii śląskiej. Otwierają się one dzięki dużym dotacjom tamtejszego Instytutu Filologii Polskiej przeznaczonym na rozwój filmoznawstwa. Tam m. in. będzie wydawany filmoznawczy periodyk, który winien ożywić wymianę myśli w tej dyscyplinie, tam również zostanie zorganizowana najbliższa, już w kwietniu, sesja poświęcona metodologicznej problematyce filmologii.

Zgromadzeni podjęli uchwałę, że filmoznawcze konferencje będą organizowane rokrocznie w różnych ośrodkach kraju. Niezwykle ważną inicjatywę organizacyjną uchwalono dzięki propozycji przedstawiciela PWSFTviT doc. **Lesława Bajera.** W najbliższej przyszłości na bazie archiwum filmowego tej uczelni zostanie utworzona filmoteka uniwersytecka wraz z systemem dystrybucji kopii do różnych ośrodków dla celów naukowo-dydaktycznych. I wreszcie — last but not least — postanowiono wydawać stały biuletyn informujący o publikacjach i pracach filmoznawczych prowadzonych w poszczególnych uczelniach.

Za ten protokolarny ton niech rozgrzeszy niżej podpisanego ciężar i bogactwo propozycji organizacyjnych, dla których łódzkie spotkanie stało się cennym katalizatorem. Myślę, że data tego spotkania, pomyślanego skromnie i roboczo zaznaczy przełom w funkcjonowaniu filmologii akademickiej, która z wiedzy podejrzanej i zapoznanej, z etapu pionierskich poczynań, pokonując różnorakie opory, staje się drogą nieustannego awansu naukowego pełnoprawną dyscypliną uniwersytecką.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

JÓZEF LENART

SAGA

Zapewne w skale a nie w ziemi
chcieliśmy puścić swe korzenie,
więc
opuszczała nas zieleń
w rozkwicie lata,
czasem w sercu wiosny.
Nie umiem wierzyć w ślepy los —
historia tkała na tych krosnach
i ona
mną
przerzuca most
z martwych ku żywym.

Rodziła po sześciokroć,
poddana biologii, aż po wierność,
aż po pokorę
w oczach
cicho cierpiącej sarny.
Z maleńkiej piersi, żyłkowanej niebiesko,
w końcu

wyssaliśmy jej śmierć:

przeżyła lat dwadzieścia pięć.
A ten murarz, który nas płodził —
w piwnicy
oczyszczonej z węgla
usłyszał pierwszy krzyk mój
przerażony,
dziś jeszcze brzmiący jak przekleństwo —
był komunistą
z urodzenia
pewnie jak ja
z pierwszego krzyku
na widok zastanego świata.
Strajkował
i na wiece chadzał,
i znajdowano go w rynsztokach
w najbardziej lute noce zimy
gdy księżyc bladł...

Przeżył trzydzieści dziewięć lat.

To pierwsze
przyszło na świat martwe
z nieufności,
a może w proteście —
nie badali,
zapewne gruźlica
przeżarła to
co później zwiemy pępowiną.

Drugie
było dziewczyną
jak topola strzelistą.
Że bez korzeni,
więc ją niosło
po całej niemal Europie
i w tę i w ową stronę frontów,
wszędzie
gdzie mógł ją ponieść wiatr...

Żyła trzydzieści osiem lat.

Trzeci
pozostawiony bez opieki,
na gwóźdź z podłogi wystający
ze stołu spadł i przebił ciemię.

Pół roku miał gdy wrócił w ziemię.

Czwarty
zaginął gdzieś bez wieści
w stukocie kół i szyn,
w zawiei polskich losów.

Z nadzieją
przemierzyłem za nim
sto własnych śmierci,
lżejszych
niż rozpacz
i większych niż świat...

Miał wtedy jedenaście lat.

Piąty
miał prawie dwumetrowy wzrost,
był
jak dąb młody z ogromną koroną
i miał jak delfin
największy pośród pływających mózg,
ponadto
duszę godną brzozy
poddanej śpiewom lekkich wiatrów.
Umierał długo,
powściągliwie,
jak dąb, gdy zbywa się swych liści.
Lecz jako małej miary złodziej
nie uniknął więziennych krat...

Umarł gdy miał trzydzieści lat.

Jestem ostatni.
Przeżyłem nawet ojca wiek,
więc
ciągną za mną wszyscy zmarli
zmówieni
na mnie,
solidarni
chcą znowu przejść na życia brzeg.
Jestem ostatni —
zmuszony wiedzieć com im winien
i sobie co
i swojej klasie —
bo dla mnie jesteś łaskaw Czasie:
żyję
i pewnie pamięć o przyczynie
mówi:
zachowaj go —
Ostatni!

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

CIĄGLE JESZCZE BARYKADY

Po pijanemu
wiązł na barykadę pod ostrzałem.
Szedł, zataczał się,
krzyczał: Jeszcze Polska.

Trafili go
w połowie drogi.
Czterech kinąc czołgało się na brzuchu
wielki ciało
pod ostrzałem.

Powiedzieli matce:
zginął jak bohater.

(A. Świrszczyńska, Po pijanemu, ze zbioru „Budowałam barykadę")

Nad powstaniem warszawskim na długo zaciążył w literaturze romantyczny heroizm. Śmierć ludzi z pokolenia Kolumbów była piękna, bo tragiczna i bohaterska. Opowieści z powstania kreowały powstaniowych świętych — były to podlotki — sanitariuszki, łączniczki, byli to chłopcy z butelkami benzyny przeciw czołgom, poeci ginący w płomieniach. Z zaduchu kanałów wynosili aureolę, wybór był dla nich prosty, a pojęcie dobra i zła jednoznaczne. Oni znaleźli się w powstaniowym niebie. Gdzieś w tle czaiła się ludność cywilna — obserwatorzy, czasem przychylni, czasem szemrzący i sceptyczni, niekiedy wręcz wrodzy. Od czasu do czasu szczerzył zęby diabeł — inicjatorzy powstania i świadomi wykonawcy ich rozkazów. Niebo, czyściec i piekło.

Temat „powstanie warszawskie" ma bogatą, różnorodną bibliografię — są w niej powieści, opowiadania, dramaty, wiersze i dokumenty. Ilość pozycji ciągle rośnie, ostatnio przybyła jeszcze jedna, ogromnych rozmiarów — „Ludność cywilna w powstaniu warszawskim". Może kiedyś ktoś podejmie trud klasyfikacji i charakterystyki bogatej literatury przedmiotu. W świadomości społecznej liczą się jednak przede wszystkim artystyczne sugestie i mity.

Dwie najważniejsze próby przełamania romantycznego mitu powstania to „Eroica" Munka i „Pamiętnik z powstania warszawskiego" Białoszewskiego. Losy Dzidziusia z „Eroiki" — człowieka interesu, który pozwolił się połknąć przez absurd, idąc w końcu do powstania bez cienia wiary w jego sens i szanse, odsłaniają mechanizm działania mitu. Normalnych, spokojnych jak Dzidziuś ludzi przerobił on w powstańców. To mit powstania — najsilniejszy z mitów, krążących po naszej historii. Mówi się, że sytuacja bohatera „Eroiki" jest specyficznie polska. Dzieje jego mają jednak jeszcze jeden podtekst. Normalny, zwykły człowiek żyje w świecie, w którym wszystko ma ustalone miejsce, w którym interes idzie dobrze jak powinien i nagle to wszystko przestaje być ważne. Do wnętrza tego świata wdziera się demon absurdu, roztacza swoje diabelskie uroki i skłania do działań szalonych, decyzji nieprzemyślanych. Zupełnie jak Diabeł Morski, wyciągający na morze Sindbada.

Bohater „Eroiki" wplątuje się w ten cały powstaniowy zamęt przypadkowo i naturalnie po wódce. Początkowo widzi pewne szanse powodzenia poprzez konszachty z Węgrami. Potem, kiedy okazuje się, że nic z tego nie będzie, zamiast, jak „rozsądny" człowiek, przeczekać gdzieś w ukryciu to całe piekło, idzie do powstania, oczywiście, aby przegrać. Dzidziuś Górkiewicz odchodzi w inny świat, w którym nie liczy się nic, co liczyło się dotąd. Podejmuje decyzję, o którą nigdy by siebie nie podejrzewał. Wszystko zostaje wywrócone na opak. Jakiż to stary motyw, to odejście od wszystkiego w świat innych wartości!

„Pamiętnik z powstania warszawskiego" Białoszewskiego jest drugą, inną próbą przełamania powstaniowej romantyki. Narrator do końca pozostaje tylko obserwatorem. Jest ludnością cywilną. Notuje wszystko jak leci, posługując się językiem bezładnym i nieuporządkowanym. Gotowanie kaszy i budowanie barykad na zmianę. Nie podnosi głosu, nie dramatyzuje sytuacji. Tkwi po uszy w całym tym chaosie, dopiero z dystansu czasu malowano tragiczne obrazy stylizowane na Delacroix. Ale czytelnik książki Białoszewskiego obrazy te zna, o nich wie. Ich brak może potraktować jako przemilczenie. Autor również o tym wie i zdaje sobie sprawę z tego, że to przemilczenie ma swoją wagę. Więc może nie zauważać tragiczności patosu. Domy się palą, mówmy, że domy się palą i nic więcej. Z pozycji uczestnika, nie komentatora. Trochę podobnie, jak zrobił to Szczepański w „Polskiej jesieni".

Drugi pamiętnik z powstania napisała Anna Świrszczyńska. Tym razem jest to pamiętnik poetycki. Co skłania do nazwania zbiorku jej wierszy pamiętnikiem? Są to obrazki z powstania ułożone w porządku chronologicznym — od początku walki aż po klęskę. Obrazki bardzo różnorodne tematycznie — są tam i bohaterowie, i ludność cywilna, i nawet wróg. Poetka chce wyraźnie zanotować wszystkie momenty najbardziej jej zdaniem charakterystyczne dla owego czasu. Oczywiście nie tylko wydarzenia. Zaopatruje je w dramatyczne napięcie, komentarz liryczny i pointę.

Nie widać w tym tomiku ambicji ujęcia sensu, czy bezsensu powstania w jedną poetycką formułę. Formuły bywają różne. Pociąga to za sobą różnorodność środków wyrazu. Są tam i wiersze reprezentujące tradycyjny romantyzm i heroizm powstaniowy i wiersze wywodzące się z doświadczeń Białoszewskiego — bezładnym, potocznym językiem prowadzone rozmowy, jakby przez kogoś podsłuchane. Zestawienie dwóch fragmentów daje często wrażenie ogromnego kontrastu i niejednolitości.

Oto przykład:

„Chociaż twoja kula trafi
przez kurtkę
do mojego serca,
nie zabijesz mnie, wrogu"
(Mówi żołnierz)

„Czytaliście dziś gazetkę —
mówi ślusarz,
cały świat idzie nam na pomoc,
za tydzień będzie koniec, moja stara
ma imieniny, zapraszam
całą kamienicę na zabawę
— mówi ślusarz."

W tomiku Świrszczyńskiej są święci — szczeniaki z butelką benzyny i powstaniowe hieny, jak ta kobieta, czekająca na śmierć innej, która ma pod siennikiem dolary. Ale niebo, piekło i czyściec ulegają pewnemu przemieszaniu. Sytuacje nabierają dwuznaczności, tchórze budują barykadę, a bohaterowie bywają pijani. Pojawia się też niezmiernie rzadko odzywający się w literaturze powstaniowej motyw zmieniania się ludzi w wilki pod wpływem sytuacji. Motyw pochodzący z opowiadań obozowych, przede wszystkim Borowskiego.

W „Budowałem barykadę" najbardziej interesujące jest stałe poszukiwanie kryterium tragizmu. Czytając te wiersze trzeba zadać sobie pytanie, co dobitniej ten tragizm wyraża — czy śmierć chłopaka z butelką benzyny, czy śmierć na stosie ukradzionych futer lub połciach mięsa, czy lęk ojca, który nie chce iść do konającego syna, czy walka o dwa kartofle, czy może chęć człowieka, aby stać się stonogą, ukryć się i przetrwać.

Trzeba także zadać pytanie drugie — w jaki sposób poeta powinien mówić o powstaniu — czy babskim lamentem nad śmiercią żołnierzy w szpitalu, czy heroiczną odezwą, czy notując rozmowę sąsiadki z sąsiadem na temat samotności, zakończoną zaproszeniem

„... mam po mężu papierosy,
proszę pana,
pan zajdzie wieczór"

Co jest lepsze — patos czy potoczność języka, pełny głos czy przemilczenie? Tam, gdzie Świrszczyńska decyduje się na patos i jednoznaczną apoteozę, ponosi poetycką klęskę. Najlepsze są te wiersze, w których wybiera kolokwializm lub niejednoznaczność tragizmu. W cytowanym na początku wierszu „Po pijanemu" tragiczność sytuacji można rozumieć różnie. Dosłowność obrazka jest pozorna. Bohater jest pijany (czy naprawdę bohater?). Niektórzy byli pijani w obliczu Apokalipsy. Czy do nieba bohaterów wpuszczają nietrzeźwych? Czy lepiej wykonać gest bohaterski po pijanemu, czy nie wykonać go wcale? To zależy, na co kto ma ochotę. Dzidziuś z „Eroiki" Munka także przecież wplątał się w powstaniową „aferę" w pijanym widzie. Od tego wszystko się zaczęło. Bohater z wiersza Świrszczyńskiej nie umiał widocznie na trzeźwo zostać bohaterem, a pragnienie bohaterstwa żarło go i truło, niepokojąc jego świadomość. Chciał mieć śmierć piękną według starych wzorów.

Powiedzieli matce serio, czy z ironią, że zginął jak bohater? Zginął niepotrzebnie. Ale czy powstańcy w ogóle ginęli potrzebnie? Był pijany, ale czy powstańcy byli w ogólnej swojej masie trzeźwi? Ilu z nich naprawdę wiedziało, co czyni? Ten alkohol można potraktować symbolicznie i w wypadku tego wiersza i „Eroiki", podobnie jak napój miłosny w „Tristanie i Izoldzie". Wówczas wiersz stanie się metaforą (jakże gorzką!) całego powstania. Wypili napój zmieniający ludzi w szaleńców — bohaterów. Ale czy warto być trzeźwym, mając okazję odegrania takiej roli, efektownego zejścia ze sceny, o czym długo pisać będą poeci?

Poeci piszą i pisać będą o powstaniu warszawskim i będą szukać ciągle nowych wersji jego tragizmu. Ileż to razy, aż do dnia dzisiejszego, podejmowano motyw Nocy Listopadowej! Więc i to polskie powstanie ma przed sobą jeszcze długie życie w sztuce. Nie o fakt historyczny jednak tylko chodzi, nie tylko o tragiczne fakty, ale o reakcje ludzkie w obliczu totalnej zagłady, o świadomość człowieka poddaną jeszcze jednej próbie.

A. Świrszczyńska, Budowałam barykadę, Warszawa 1974.

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

* * *

W organizacjach partyjnych Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej trwa dyskusja nad tezami KC na XI Zjazd partii, który odbędzie się w marcu br. Tezy zjazdowe są dokumentem określającym główne cele polityki społecznej i gospodarczej, podstawowe założenia ideologiczne oraz najważniejsze zadania pracy partyjnej. Tezy zakładają osiągnięcie w latach 76—80 ok. 30 proc. przyrostu dochodu narodowego, 33—35 proc. wzrostu produkcji przemysłowej, 16—18 proc. wzrostu produkcji rolnej. Udział akumulacji w podziale dochodu narodowego ma wynieść ok. 25 proc.

Tezy KC WSPR akcentują szczególnie podstawowe założenia jakimi są: kontynuacja generalnej linii partii oraz umocnienie socjalistycznych cech rozwoju społeczno-gospodarczego Węgier, wzmocnienie kierowniczej roli klasy robotniczej.

* * *

W Moskwie został podpisany protokół o polsko-radzieckiej wymianie kulturalnej w roku bieżącym. Zapowiada on dalsze rozszerzenie i pogłębienie działalności w tej ważnej dziedzinie współpracy między bratnimi narodami.

Za szczególnie ważne w pracy resortów kultury PRL i ZSRR uznano organizowanie wspólnych imprez artystycznych, festiwali teatralnych i filmowych, wystaw; dalsze rozwijanie wymiany między placówkami kulturalno-oświatowymi i stowarzyszeniami twórczymi. Znaczna część ujętych w protokole przedsięwzięć będzie tematycznie związana z przypadającą w br. 30 rocznią podpisania Układu Przyjaźni i 30 rocznicą zwycięstwa nad faszyzmem.

Najważniejszym wydarzeniem w Polsce będą kwietniowe „Dni Kultury Radzieckiej", podczas których wystąpi 16 znanych zespołów teatralnych, muzycznych, estradowych i ludowych oraz wybitni soliści. Przyjadą do naszego kraju m.in. artyści scen Leningradu, Moskwy, Kijowa, Mińska, zespoły pieśni i tańca z Woroneża i Iwanowa, orkiestra Filharmonii Wileńskiej, dwa zespoły wokalno-instrumentalne. Strona radziecka przedstawi ponadto trzy wielkie wystawy: prac członków Akademii Sztuki ZSRR, rosyjskiego i radzieckiego portretu z XVIII—XX wieku i współczesnej sztuki dekoracyjno-użytkowej.

Związek Radziecki odwiedzą natomiast m.in. Teatr Polski z Warszawy, Orkiestra Symfoniczna PR i TV z Katowic, czołowe grupy estradowe z „wieczorami polskiej piosenki". Zaprezentujemy również kilka wystaw malarskich, m.in. prace T. Kulisiewicza.

W sumie planem współpracy na bieżący rok objęto 20 teatrów, liczne muzea i biblioteki oraz 14 szkół artystycznych. Placówki te dokonają wymiany reżyserów, scenografów, dyrygentów, konserwatorów sztuki, wykładowców. Przewiduje się także rozszerzenie wymiany praktyk wakacyjnych dla młodzieży studiującej.

* * *

O przygotowaniach w Zw. Radzieckim do jubileuszu M. Szołochowa już wspominaliśmy w tej rubryce. Obecnie ukazała się nakładem wydawnictwa „Ogoniok" obszerna publikacja zbiorowa pt. „Słowo o Szołochowie".

Jest to zbiór wypowiedzi literatów, publicystów, działaczy kulturalnych, ludzi różnych zawodów i pokoleń — o wielkim pisarzu. Dominują wśród nich relacje ukazujące Szołochowa w jego dniu codziennym, jego umiłowanie i szacunek dla ludzi, troska o ich zwyczajne, nieraz drobne sprawy.

Wśród wielu wypowiedzi na temat osobowości Szołochowa jako twórcy i patrioty zacytujmy słowa Jurija Bondariewa: „Tajemnica tak szerokiego zasięgu dzieł Szołochowa tkwi nie tylko w ich mistrzostwie, we wspaniałym opanowaniu słowa, lecz przede wszystkim w jego serdecznej więzi z rodzinną ziemią i narodem, w najgłębszym zrozumieniu przez tego artystę ludzkiej duszy, w jego najwyższym humanizmie".

* * *

Po paromiesięcznej przerwie, spowodowanej chorobą, wrócił na estrady koncertowe Emil Gilels. Jego ostatni recital w Moskwie dowiódł, że wybitny pianista znajduje się w pełni sił twórczych.

E. Gilels był jednym z tych artystów, którzy już w latach trzydziestych ugruntowali międzynarodową sławę radzieckiej sztuki wykonawczej. Już jako piętnastoletni chłopiec zwrócił na siebie uwagę na ukraińskim konkursie, a w dwa lata później zdobył pierwszą nagrodę na festiwalu wszechzwiązkowym. W następnych latach poznała go cała Europa. Przed kilkunastu laty artysta otrzymał nagrodę Leninowską. E. Gilels od wielu lat łączy działalność koncertową z pracą pedagogiczną, jest profesorem w Konserwatorium Moskiewskim.

(ab)

REŻIM THIEU W ŚLEPYM ZAUŁKU

Porozumienie Paryskie w sprawie Wietnamu, podpisane 27 stycznia 1973 roku, stworzyło realne perspektywy politycznego rozwiązania problemu południowowietnamskiego. Miało ono położyć kres wojnie w tym kraju i ustanowić pokój. Jednakże sajgońska administracja wzmaga prowokacje wojenne wobec rejonów kontrolowanych przez Tymczasowy Rząd Rewolucyjny Republiki Wietnamu Południowego. Dyktator Thieu i jego klika systematycznie łamią wszystkie punkty porozumienia paryskiego, powodując nowe napięcie w południowo-wschodniej Azji. Z drugiej strony na obszarach administrowanych przez reżim sajgoński panuje niesłychany chaos ekonomiczny, korupcja i ogólna nędza, świadczące o zupełnym bankructwie rządów Thieu.

Większość obserwatorów sytuacji w Wietnamie Południowym uważa, że panowanie dyktatora Thieu dobiega końca. Członek Biura Politycznego i sekretarz KC Partii Pracujących Wietnamu (DRW), Le Duc Tho, uczestnik rozmów paryskich o przerwanie wojny w Wietnamie, występując w listopadzie ub. roku w Paryżu podkreślił, że „Amerykanie przekonani o nieuniknionym upadku Thieu, dokonują przeróżnych manewrów, próbując skierować ruch opozycyjny w Sajgonie w wygodne dla siebie koryto". Należy także wspomnieć o wystąpieniach katolików w Wietnamie Południowym przeciwko korupcji rządu sajgońskiego. W końcu ub. roku przerodziły się one w gwałtowne i masowe demonstracje antyrządowe. Zachodni komentatorzy polityczni, jak podaje, m.in., tygodnik paryski „L. Arfique — Asie", porównują obecną złożoną sytuację w Sajgonie do tej, jak istniała tam w 1954 r. w okresie rządów Ngo Dinh Diema, który popierany przez USA nie uznał Układów Genewskich z lipca 1954 r. o zjednoczeniu kraju na warunkach demokracji i pokoju. Amerykanie utrzymują Thieu u władzy, usiłując przy jego pomocy przeszkadzać w realizacji Porozumienia Paryskiego. Ale różnica między rokiem 1954 a 1975 polega na tym, że tym razem porozumienie podpisali zarówno reżim Thieu, jak i Stany Zjednoczone.

W Wietnamie Południowym reprezentanci różnych kół, w tym również administracji sajgońskiej i sił zbrojnych, wyrażają pogląd, że istnieją wszelkie podstawy prawne do przerwania działań wojennych na podstawie porozumienia ogólnonarodowego. Jednakże już w kilka godzin po podpisaniu Porozumienia Paryskiego siły zbrojne Thieu rozpoczęły szeroko zakrojoną ofensywę na portowy Qua Viet w prowincji Quangczi, na terytorium kontrolowanym przez TRR RWP. Atak odparto, agresorzy ponieśli duże straty, a Qua Viet przyjmuje obecnie statki z krajów socjalistycznych oraz z krajów Trzeciego Świata z ładunkiem przeznaczonym do odbudowy gospodarki w rejonach Republiki Wietnamu Południowego. Po tym uderzeniu wojsk sajgońskich nastąpiły dalsze. Poprzedzały je zazwyczaj zmasowane operacje policyjne w rejonach pozostających pod kontrolą Sajgonu. Aresztowano tam około 50 tysięcy ludzi. Powiększyli oni szeregi więźniów politycznych, których liczba sięga już dziś około 200 tysięcy. Jest to jawne pogwałcenie Porozumienia Paryskiego. A mimo wszystko Thieu poniósł klęskę i teraz przestaje być potrzebny swoim protektorom. Nie ulega wątpliwości, że Waszyngton widzi już rychłą śmierć polityczną Thieu, ale kto zajmie jego miejsce — pozostaje znakiem zapytania.

Mimo ogromnych zniszczeń wojennych naród wietnamski szybko odbudowuje kraj, odnosi sukcesy w dziedzinie przeobrażeń socjalno-ekonomicznych. Żeby choć w przybliżeniu wyobrazić sobie rozmiar spustoszeń spowodowanych wojną powietrzną, którą USA prowadziły przeciwko Demokratycznej Republice Wietnamu, wystarczy powiedzieć, iż ilość środków wybuchowych zrzuconych w czasie tej wojny przez lotnictwo amerykańskie na Wietnam jest równa 450 bombom atomowym, każda o sile równej bombie zrzuconej na Hiroszimę. Do tych zniszczeń należy jeszcze dodać następstwa licznych klęsk żywiołowych.

Biorąc to pod uwagę można by sądzić, że ludzie tam głodują. Nic podobnego. Jest to jeszcze jednym dowodem żywotności i siły ustroju państwowego DRW, który przeszedł tyle twardych doświadczeń w okresie wojny. Podstawowa różnica między Północnym Wietnamem a rejonami kraju będącymi pod kontrolą administracji sajgońskiej leży w dążeniu do rozwoju ekonomicznego. Miliony obywateli DRW uważają go za ważny problem polityczny.

Pierwszy sekretarz KC Partii Wietnamu, Le Duan, przywiązuje szczególną wagę do zagadnień rewolucji technicznej i ekonomicznego rozwoju kraju.

Sierpniowa rewolucja w 1945 roku doprowadziła do zjednoczenia Wietnamu, lecz powrót Francuzów przeszkodził rozwojowi tego procesu. Na Konferencji Genewskiej w 1954 roku ponownie potwierdzono zjednoczenie Wietnamu i nakreślono praktyczne kroki zmierzające do osiągnięcia tego celu drogą przeprowadzenia ogólnonarodowych wyborów, które powinny się odbyć nie później niż w lipcu 1956 roku. Jednakże nowa obca interwencja, tym razem amerykańska, przekreśliła postanowienia Konferencji Genewskiej. Porozumienie Paryskie ze stycznia 1973 roku wyraźnie określiło warunki zakończenia wojny między dwoma państwami południowowietnamskimi i zapoczątkowało proces zjednoczenia kraju. Nowe próby ingerencji USA i ich pomoc reżimowi sajgońskiemu są obecnie główną przyczyną hamowania wysiłków zmierzających do osiągnięcia tego celu.

Na Zachodzie, o czym piszą nawet tamtejsi obserwatorzy polityczni, pokutuje wypaczone pojęcie o prawdziwej sytuacji w Wietnamie Południowym, gdzie toczą się walki. Częstokroć wynika to z tendencyjności zachodnich środków masowej informacji wobec reżimu sajgońskiego. Sprawa jest o wiele prostsza, niż wygląda to na pierwszy rzut oka. Porozumienie Paryskie nigdy nie było na rękę administracji Thieu i nigdy nie miał on najmniejszego zamiaru wykonania jego podstawowych założeń. Ocenę stosunku Thieu do Porozumienia Paryskiego dał w początkach 1974 roku korespondent londyńskiego „Timesa", W. Brittain: „Nikt w Wietnamie Południowym nie wątpi w to, że Thieu nie żartuje, mówiąc niejednokrotnie, iż nie będzie ani wyborów, ani rządu koalicyjnego, ani demarkacji stref kontroli, że nie istnieje żadna „trzecia siła" i żaden Tymczasowy Rząd Rewolucyjny. Zrozumiałe, że wojna trwa nadal"...

Stosunek DRW i TRR RPW do Porozumienia Paryskiego jest diametralnie różny od stosunku Sajgonu. Premier rządu DRW, Pham Van Dong powiedział, iż ścisłe wypełnianie porozumienia paryskiego jest nie tylko obowiązkiem rządu DRW, lecz także politycznym kierunkiem jego działania.

Porozumienie Paryskie uznaje istnienie dwóch administracji, dwóch armii, dwóch stref kontroli i trzech sił politycznych: Sajgonu, Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego i neutralnej „trzeciej siły". W postanowieniach Porozumienia mówi się o kwestii zgody narodowej i stworzeniu organu, w którym — na równych prawach — byłyby reprezentowane wszystkie te siły. Mówi się w nim także o uwolnieniu więźniów politycznych, o proklamowaniu swobód demokratycznych i przeprowadzeniu w przyszłości ogólnonarodowych wyborów, w wyniku których zostałby utworzony jeden prawomocny rząd Wietnamu Południowego.

Zmiany w stosunku sił na południu, nakreślone w Porozumieniu Paryskim, noszą charakter nieodwracalny. Tymczasowy Rząd Rewolucyjny Republiki Wietnamu Południowego nie zamierza zejść z areny politycznej. Także „trzecia siła" pozostanie i będzie się umacniać. Obecne mieszanie się Stanów Zjednoczonych do wewnętrznych spraw Wietnamu Południowego może na pewien czas odwlec urzeczywistnienie politycznych postanowień Porozumienia Paryskiego. Ale nic nie powstrzyma obiektywnego rozwoju tego procesu w Południowym Wietnamie, który znalazł realistyczne odbicie w Porozumieniu Paryskim.

Potwierdza to fakt gwałtownego wzrostu opozycji przeciwko reżimowi Thieu w południowowietnamskich miastach, poczynając od sierpnia 1974 roku. Po masowych wystąpieniach ludności na terytoriach administrowanych przez reżim sajgoński, Tymczasowy Rząd Rewolucyjny Republiki Wietnamu Południowego złożył w październiku ub. roku oświadczenie, w którym mówi, że nie uważa za możliwe prowadzenie z Thieu poważnych rozmów w sprawie problemów Wietnamu Południowego i w związku z tym oczekuje na utworzenie w Sajgonie takiej administracji, która by miała szczery zamiar realizacji Porozumienia Paryskiego. Tak więc walka Wietnamczyków o zjednoczenie narodowe nie jest jeszcze zakończona.

Chociaż DRW nazywa się „wysuniętą placówką socjalizmu w Południowo-Wschodniej Azji", w strategicznym planie nie znajduje się ona bynajmniej w izolacji. Demokratyczna Republika Wietnamu ma silne oparcie polityczne, ekonomiczne i wojskowe w krajach socjalistycznych, a przede wszystkim w Związku Radzieckim. W DRW, której ścisłe związki z krajami socjalistycznymi są rdzeniem polityki zagranicznej, istnieją tendencje do rozszerzania kontaktów z krajami Trzeciego Świata. Rozwija ona także stosunki z krajami kapitalistycznymi. Od czasu podpisania Porozumienia Paryskiego, sygnowanego również przez przedstawicieli DRW i USA na zasadach równości, działalność DRW na arenie międzynarodowej nabrała rozmachu. O wzroście jej autorytetu w świecie świadczy uznanie DRW przez kilkadziesiąt państw, w tym także przez wiele krajów kapitalistycznych. Utrzymując stosunki dyplomatyczne z około 80 krajami, DRW umocniła swe stanowisko na arenie międzynarodowej. A jeśli jeszcze dodać, że i Republika Wietnamu Południowego utrzymuje stosunki dyplomatyczne z 40 krajami, to można śmiało mówić o historycznym znaczeniu fiaska wszystkich prób izolowania i ujarzmiania narodu wietnamskiego na przełomie XX wieku.

JERZY CZECH

PO PRZERWIE W WIEDNIU i GENEWIE

SZANSA BLISKIEGO WSCHODU

W tym samym czasie **w Wiedniu i Genewie** wznowione zostały rokowania, które choć toczą się w różnych składach delegacji i dotyczą innych zagadnień, **mają wspólny mianownik.** Zarówno bowiem w wielostronnych dyskusjach wiedeńskich, jak i dwustronnych genewskich **chodzi o pohamowanie zbrojeń.** Ten kapitalny dla współczesnego świata problem ma co najmniej trzy aspekty: pokojowy, polityczny i ekonomiczny. Gromadzenie i doskonalenie środków niszczenia stwarza niebezpieczeństwo dla pokoju, podrywa wzajemne zaufanie, a więc utrudnia współpracę między państwami oraz pochłania zawrotne sumy (2.500 mld dolarów w ciągu 12 lat!), podczas gdy na świecie dość gęste są rejony głodu i nędzy.

Cały okres po II wojnie światowej wypełniony był zabiegami Związku Radzieckiego **o niedopuszczenie do wyścigu zbrojeń,** a kiedy ten stał się faktem, **o jego zatrzymanie,** a następnie **redukcję środków militarnych.** Celem, formułowanym przez kraje socjalistycznej wspólnoty, jest całkowite i powszechne rozbrojenie. Praktycznie jego osiągnięcie możliwe jest jednak tylko na drodze częściowych kroków. Pierwsze już zrobiono, inne zaawansowane są w przygotowaniu, jeszcze inne trzeba będzie dopiero podjąć. Do środkowej grupy zaliczyć można: toczące się na 55 już posiedzeniach **dyskusje na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie** oraz szóstą rundę drugiej tury **radziecko-amerykańskich rokowań na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych** (SALT II).

Delegacje 19 państw, obradujące w Wiedniu, mają pracowity etap. Utrzymują się bowiem nadal poważne rozbieżności w takich ważnych sprawach, jak: zakres i tempo redukcji sił zbrojnych w Europie środkowej. Najgólniej mówiąc propozycje krajów zachodnich zmierzają do zwichnięcia istniejącej aktualnie równowagi i mają zasięg ograniczony. Niczym na przykład nie uzasadnia się wniosek, aby pierwszy etap zawęzić do redukcji wojsk obcych, stacjonujących w RFN i NRD.

Występują zatem niemałe jeszcze różnice zdań, choć są też punkty już uzgodnione. Przyjętą zasadą przez uczestników rokowań jest ustalenie, **że redukcji powinno dokonać 11 państw Europy środkowej.** Obserwatorzy są jednak dobrej myśli: jeśli nie ta to z pewnością kolejna tura rokowań powinna przynieść wyraźny postęp. Przypuszcza się, że duże ożywienie rozmów wiedeńskich może nastąpić jesienią br. — po zakończeniu Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy.

Łatwiejszy będzie przebieg SALT II. Porozumienie, zawarte między Breżniewem a Fordem w listopadzie ub. roku we Władywostoku, określa zadanie genewskich negocjatorów — **przygotować 10-letni układ o ograniczeniu ofensywnych zbrojeń strategicznych,** przyjmując za jego podstawę uzgodniony już pułap liczebności rakiet przenoszących ładunki nuklearne oraz rakiet, które wyposaża się w wiele głowic, samodzielnie atakujących różne cele. Na szczególne ustalenia nie ma zbyt wiele czasu. Sądzi się, że projekt porozumienia musi być przygotowany z takim wyprzedzeniem, aby **w czerwcu,** w czasie kolejnego spotkania Breżniew — Ford, **mógł być podpisany.**

Przebieg tych rokowań jest ważny nie tylko z uwagi na ich przedmiot. Może wywrzeć także przemożny wpływ na wszystkie procesy w sferze odprężenia i bezpieczeństwa. Zwłaszcza po pewnych zakłóceniach ostatniego okresu. **Jest coś optymistycznego w tym, że tamte fakty nie wybiły z rytmu zabiegów pokojowych.**

Spośród ostatnich wydarzeń międzynarodowych układa się drugi blok tematyczny: **bliskowschodni.** Złożył wizytę w Paryżu prez. Sadat, był w tamtym rejonie świata — w Syrii i Egipcie — min. Gromyko...

Paryskie rozmowy szefa państwa egipskiego charakteryzowały się optymizmem. Stwierdził on, że po raz pierwszy od 26 lat istnieje realna szansa osiągnięcia pokoju na Bliskim Wschodzie. Aby ją wygrać trzeba zakończyć konflikt na trzech zasadach: **wycofania wojsk izraelskich z okupowanych ziem arabskich, uwzględnienia praw narodu palestyńskiego oraz uznania praw wszystkich państw tego regionu do życia w bezpiecznych granicach.**

Wizyta min. A. Gromyki w Syrii i Egipcie jest na pewno wydarzeniem, zwracającym uwagę obserwatorów rozwoju sytuacji na Bliskim Wschodzie. **Dyplomacja radziecka czyni wszystko, aby wznowić obrady genewskiej konferencji i na niej dokonywać rozwiązań pokojowych.** Dlatego podkreślenie w komunikacie radziecko-egipskim, że „najbardziej odpowiednim forum dla rozpatrzenia wszystkich aspektów uregulowania problemu bliskowschodniego jest genewska konferencja pokojowa" ma duże znaczenie. Jej **obrady powinny być wznowione bezzwłocznie i z udziałem wszystkich zainteresowanych stron.** A jak wiadomo — jedną z nich jest Organizacja Wyzwolenia Palestyny.

Wagę ma również stwierdzenie komunikatu, że Egipt uważa udział ZSRR „we wszystkich dziedzinach i na wszystkich etapach uregulowania problemu bliskowschodniego" za konieczny, a Związek Radziecki nie poprzestanie w wysiłkach na rzecz usunięcia następstw agresji izraelskiej oraz ustanowienia trwałego pokoju. Kładzie to ostatecznie tamę niedorzecznym spekulacjom, które obiegły część prasy zachodniej po komunikacie, odwołującym swego czasu wizytę L. Breżniewa w Egipcie.

Stopień skomplikowania problemu bliskowschodniego wysuwa go dziś na czoło zagadnień międzynarodowych i **to podnosi rangę wizyty min. Gromyki w Damaszku i Kairze.**

W. SŁAWSKI

KONRAD FREJDLICH

DEMON Z SIÓDMEJ KLASY

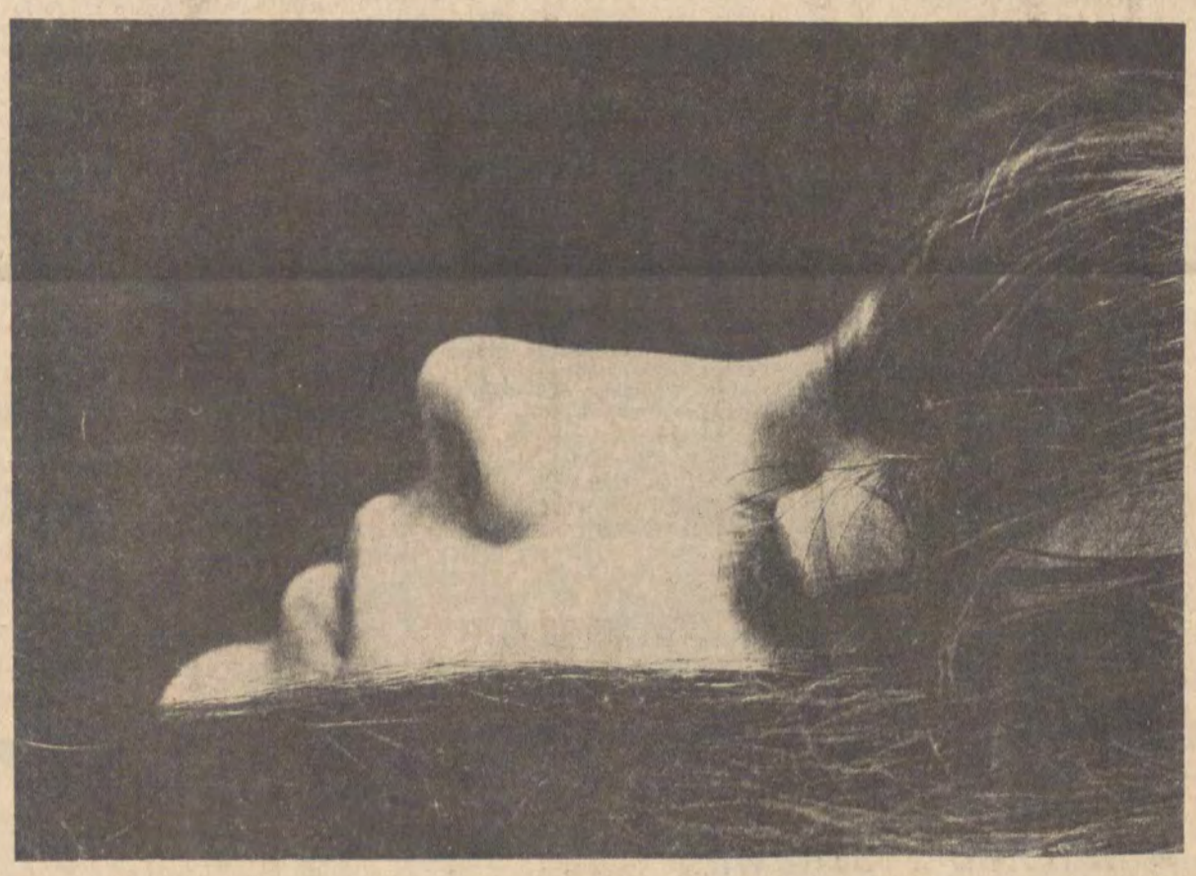

Dalszy ciąg ze str. 1

dwóch starszych pijanych panów. Rodzice też o tym sygnalizowali, że w domu Ewy schodzi się młodzież".

A jednak, mimo te fakty, szkoła nie interweniowała, przyglądała się ze spokojem procesowi wykolejenia dziewczynki, dopóki terenem jej działania było osiedle, nie klasa, chociaż rozpatrywany na radzie pedagogicznej przypadek z wyższego rocznika i oddanie sprawy do sądu dla nieletnich powinien był uczulić wszystkich nauczycieli na, nazwijmy to, „zabawy" wychowanków. Szkoła nie interweniowała i wreszcie wydarzyło się to nieszczęście, że przyszła jedna z matek informując o czym to dowiedziała się od swej córki o jej koleżankach. Dopiero teraz stało się zrozumiałe roztargnienie i nagłe opuszczenie w nauce najlepszych uczennic i nawet siniec pod okiem jednej z nich przestał się tłumaczyć upadkiem ze schodów. Następnego dnia ofiary gwałtu w towarzystwie swej wychowawczyni stanęły przed obliczem dyrektorki szkoły, która chciała się upewnić, czy zasłyszane przez nią rewelacje odpowiadają prawdzie. Dziewczynki płacząc opowiedziały o wszystkim, co je spotkało w domu koleżanki. Dopiero wówczas zdecydowano się na powiadomienie rodziców.

Sprawczyni wszystkiego, Ewa, jest szczupłą, słabo fizycznie rozwiniętą dziewczynką. Pochodzi z rozbitej, robotniczej rodziny. Wychowywana przez pracującą matkę, która dopiero wieczorem wracała do domu, włóczyła się samopas po osiedlu i szukała towarzystwa poza rówieśnikami. Jej najbliższą przyjaciółką była dziewczyna dorabiająca na życie nierządem. Matka Ewy zauważy przed sądem: „Bywało tak, że nie mogłam dostać się do mieszkania, gdyż drzwi były zamknięte na klucz. Wiedziałam o tym, że wewnątrz znajduje się córka. Obawiałam się znajomych córki, żeby mnie nie pobili".

Gorzkie to wyznanie w ustach matki trzynastoletniej dziewczynki. Czy nie usiłowała temu zaradzić? Ależ tak. „Ja kilkakrotnie meldowałam w komendzie, iż przychodzi młodzież do mego domu, mimo to nikt z funkcjonariuszy nie zainteresował się". A chodziło o sprawy, które interesują prawo: demoralizacja nieletnich, pijaństwo i chyba narkotyki, bo po cóż Ewa pożyczałaby strzykawkę, która w interesującej nas sprawie miała posłużyć jako narzędzie terroru.

Tak przedstawiały się sprawy do krytycznego majowego dnia, kiedy to Ewa, pogodzona już chyba z perspektywą nie otrzymania promocji, postanowiła odegrać się na swojej klasie wymierzając jej sprawiedliwość. Tego dnia nie poszła do szkoły, zapraszając jednocześnie jedną z klasowych koleżanek, której imponowała znajomością życia. Nie wiemy, jak doszło do tego, że Maria, jedna z najlepszych uczennic, zdecydowała się na wagary, ale na spotkanie u Ewy stawiła się i naśladując właścicielkę mieszkania posunęła się jeszcze dalej poznając bliżej jej kolegów. W języku tej młodzieży nazywało się to „przeleceniem". A kiedy Ewa ujrzała przez okno wracające ze szkoły koleżanki uznała, że „przelecenie" należałoby rozszerzyć, toteż wyszła na balkon i przywołała je pod pozorem, iż pragnie dowiedzieć się lekcji. Chociaż obie wiedziały (wiedzieli o tym w klasie wszyscy), jakie towarzystwo zbiera się u Ewy, skorzystały z zaproszenia. Pod jej drzwiami podsłuchiwały przez chwilę, a ponieważ w mieszkaniu panowała cisza, zdecydowały się wejść.

Zofia weszła z pełnym zaufaniem, właściwie lubiła tę nieszczęśliwą Ewę, w szóstej klasie pomagała jej nawet bezinteresownie w nauce. A jednocześnie ta koleżanka, najgorsza uczennica w szkole, imponowała jej, bo posiadała encyklopedię. Ale kiedy zza zamkniętych drzwi drugiego pokoju wyszli znani jej tylko z widzenia chłopcy o nie najlepszej opinii, przestraszyła się czegoś. Tylko, że nie było już odwrotu od tego „przelecenia". Krystyna, z którą tutaj przyszła, patrzyła z ciekawością na kłopoty przyjaciółki. „To wszystko za szkołę" wyjaśniła Ewa, która zaczęła zawstydzać dryblasów, że nie potrafią sobie poradzić z trzynastolatką. Zofia zasłabła z przestrachu, podano jej szklankę wody, ale nie zrezygnowano. Aby zmusić koleżankę do uległości Ewa wbiła jej w ramię strzykawkę z roztworem soli. Biła ją także po twarzy wciąż zawstydzając swych kumpli, którzy wreszcie zdecydowali się na bardziej zdecydowane działanie. Dwie pozostałe dziewczyny wymieniały ze sobą uwagi. Krystyna skrytykowała biust gwałconej koleżanki, potem najspokojniej poszła do domu. Pokrzywdzona zeznała przed sądem, że żadna z koleżanek szkolnych nie zamierzała przyjść jej z pomocą, że działała nie tylko Ewa, że tamte dwie także uważa za uczestniczki spisku. „Wszyscy mówili, że jeżeli wydam lub powiem komukolwiek to będzie mnie to czekało jeszcze kilka razy". Góra, najstarszy w tym gronie, siedemnastoletni, kazał sobie kupować codziennie paczkę papierosów, obiecując w zamian dyskrecję. Potem zmienił warunki: kazał sobie przyprowadzić inne dziewczęta z klasy, które zdaniem Ewy też powinny zostać „przeleciane". Zofia zgodziła się i wtedy puścili ją do domu. Nie powiedziała tam nic, z obawy i ze wstydu. Zeznając przed sądem zażądała usunięcia z sali oskarżonych, bo obawiała się i krępowała ich obecności. „Ja po prostu nie mogę na nich patrzeć", dodała z odrazą.

Następnego dnia w szkole także nie powiedziała niczego decydując się poświęcić koleżankę szkolną, którą miała sprowadzić do Ewy. Sprawczyni jej nieszczęścia przyszła we wtorek na lekcje, bo szukała już sobie nowej ofiary. Wybór padł na dziewczynkę z równoległej klasy. Pomagała Ewie w tych poszukiwaniach Maria, chociaż Góra był właściwie jej narzeczonym, ale skoro pozwoliła mu żeby „przeleciał" Zofię, to już reszta nie miała znaczenia. Zaprosiły więc Annę, żeby zobaczyła, jak one piją wino, a chłopcy już czekali, tym razem był tam chłopak o pseudonimie „Wilk", słynny w swoim środowisku z tego, że ma na ramieniu dwadzieścia nacięć żyletką. Mówił, że to z powodu dziewczyny, na której zawiódł się, kiedy przebywał w sanatorium, przed sądem okazało się, że te nacięcia miał już wcześniej, ale mit działał i „Wilk" wykorzystał to, grożąc Annie żyletką i dając jej dziesięć minut czasu do namysłu. Był pijany i Ewa musiała mu wstrzyknąć witaminę C, aby uczynić go zdolnym do działania. Uparła się też, że będzie przyglądać się temu, co „Wilk" zrobi z Anną, ale nie zgodził się i zastawił drzwi do pokoju stołem. Korzystając z darowanych jej dziesięciu minut Anna szukała pomocy u Marii. Ta, współsprawczyni nieszczęścia Anny, dała jej radę, aby wyszła na balkon i krzyczała, później udała się do domu. Miała czas zapobiec wszystkiemu, ale nie uczyniła tego. „Odniosłam wrażenie, że jej rada nie jest szczera — skomentuje to zachowanie Anna — i obawiałam się gróźb „Wilka". Także i ona nie powiedziała o niczym w domu, dopiero, gdy się już wszystko wydało, wyjaśniła matce: „Nie dziw się, ja jestem twoją córką, a ty moją matką, to ci nie mogłam powiedzieć, a prokurator musiałam". Ale uwalniając się od tajemnicy nie uwolniła się od przykrych wspomnień i pewnego dnia odkręciła kurki gazowe stwierdzając, że nie potrafi znieść tego wszystkiego, bo niełatwo jest udźwignąć takie brzemię mając trzynaście lat. Na szczęście w porę ją odratowano.

Gdyby Ewa miała wyobraźnię, gdyby potrafiła przewidzieć skutki swego działania, być może poniechałaby dalszych ofiar po wyładowaniu swej zemsty na Zofii. Ale imponowało jej uznanie grubo starszych od siebie kolegów, posłuch, który zaczęła wzbudzać, szacunek niemal, jakim zaczęła się cieszyć, ona sama ofiara gwałtu lekceważona wcześniej przez otoczenie. Ta chwilowa władza upajała ją i ośmielała, wyrosła nagle na przywódczynię, bo potrafiła zachować zimną krew w sytuacji, gdy starsi od niej i bardziej zdeprawowani zaczynali się wahać, gdy odczuwali strach i skrupuły. Najlepsze uczennice klasowe, wyniosłe prymuski, drżały przed nią i musiały spełniać jej polecenia, a „przeleciane" stawały się cząstką jej wspólnoty, traciły odporność i godność, były nagle zrównane z nią, w klasie najgorszą, wydrwiwaną na lekcjach przez nauczycieli, lekceważoną przez środowisko szkolne. Utwierdzała się teraz, że koleżanki są z tej samej gliny co ona, a nawet mniej odporne, jakby gorsze jakościowo i czerpała z tego satysfakcję. Dała Zofii dwa dni na przyprowadzenie Ziuty, jakby wypróbowując lojalność obu dziewcząt, bo wiedziała, że są najlepszymi przyjaciółkami i wiedziała też, że Zofia się ugnie, że zdradzi koleżankę. Tego dnia klasa zwiedzała zakłady im. Obrońców Pokoju, ale po wycieczce pozostawało i tak sporo czasu do powrotu matki z pracy, toteż Ewa wierzyła, że i tym razem się powiedzie.

I Zofia sprowadziła przyjaciółkę. Przyszły w otoczeniu kolegów klasowych: była tam więc jeszcze Maria i Krystyna, przyszedł także Kazio, który pomagał potem trzymać Ziutę, bo się opierała, a kiedy krzyk dziewczyny stał się niebezpiecznie głośny włączył radio, żeby sąsiedzi mieli spokój należny ludziom po ciężkiej pracy. Zofia zaraz wyszła, ale Krystyna, która oglądała podobną scenę dwa dni wcześniej, zaczęła krajać chleb, bo wycieczka zaostrzyła jej apetyt. Jedząc rozmawiała z Marią, której nie przeszkadzało, że jej narzeczony, Góra, nie krępując się obecności sympatii, bierze aktywny udział w „przelatywaniu" Ziuty. Potem ktoś zadzwonił do drzwi. Przyszedł spóźniony „Wilk". Ziuta już się ubierała i chociaż płakała, on także skorzystał z okazji grożąc, że zawoła wszystkich, a wtedy będzie gorzej. Także i Ziuta nie powiedziała o niczym w domu, zwierzyła się tylko Zofii, która wyznała jej, że została „przeleciana" już wcześniej. Przed sądem stwierdziła, że Zofia jest nadal jej najlepszą przyjaciółką i nie może jej winić za to co się stało, bo Zofia szantażowana przez Ewę nie miała po prostu wyboru. Także Zofia, zapytana o to przez sąd, bez wahania wskazała Ziutę jako swoją najlepszą przyjaciółkę, nie umiała więc wytłumaczyć, dlaczego zaprowadziła ją do Ewy. Po namyśle dodała: „Ja się ich bałam". I rozwinęła swą myśl: „Oni wiedzieli, że się ich bałam i wiedzieli, że przyprowadzę im Ziutę. Nie chciałam, żeby się rodzice o tym dowiedzieli, bo to była przykra dla mnie sprawa".

Można zrozumieć ten strach trzynastolatki miotanej sprzecznościami, rozdartej pomiędzy koniecznością dochowania lojalności przyjaciółce i pragnieniem zachowania wszystkiego w tajemnicy, która mogła stać się publiczną, gdyby dziewczynka nie była powolna szantażystom. Można także zrozumieć, że stojąc po raz pierwszy przed tak trudnym wyborem, złamana psychicznie dokonanym na niej gwałtem, wybrała rozstrzygnięcie moralnie wątpliwe zamiast zdemaskować sprawców swojej krzywdy. Był to strach nie udawany, bały się wszystkie trzy ofiary i przez pewien czas po ujawnieniu wszystkiego lękały się wracać same do domu, musiała je odprowadzać nauczycielka. Szkoła, która nie potrafiła ich ochronić przed tragicznym doświadczeniem, starała się w ten sposób naprawić swe zaniedbania. „Nie powiedziały powodowane strachem — wytłumaczy potem wychowawczyni — bały się pobicia ze strony kolegów Ewy". Jest w tym wyjaśnieniu część prawdy, ale prawdy mocno uproszczonej, bo rzeczywiste przyczyny są chyba bardziej złożone. Dziewczęta bały się, to pewne, ale także nie potrafiły powiedzieć o tym, co je spotkało. „O stosunkach kobiety z mężczyzną dowiedziałam się od koleżanek i kolegów — stwierdziła oskarżycielsko przed sądem Zofia. — W szkole nie było takiej pogadanki".

Zbyt często, niestety, nasze dzieci wiedzę o życiu pobierają u swych rówieśników. Świadczy to o niedoskonałości systemu oświatowego i wychowawczego, który uchyla się od problemów trudnych, pozostawiając ich rozstrzyganie przypadkowi. Wychowanie seksualne, na temat którego zepsuto już w Polsce tyle papieru, pozostaje wciąż sprawą nie tyle wstydliwą, co nietkniętą, chociaż obserwowane na całym świecie, przemiany obyczajowe dyktują śmielsze rozstrzygnięcia. Problematyki tej nie jest w stanie udźwignąć dom, bo starsze pokolenie nie rozumie i nie może rozumieć jej wagi, a jeśli nawet docenia jej znaczenie, to obwarowuje wszystko swoistym tabu. W tej próżni, na tej ziemi niczyjej rodzą się demony w rodzaju Ewy, będące jednocześnie ofiarami zakłamania starszych, z którymi nie mogą znaleźć wspólnego języka. Tę próżnię zaludniają natychmiast osobnicy w rodzaju Góry czy Wilka, którzy przyciśnięci do muru potrafią się zdobyć na wyznanie: „Chodzić z dziewczyną, to mieć wspólne zapatrywania, wspólny temat, bywać w restauracjach i kawiarniach". Ale milkną, gdy ich zapytać, jak to więc możliwe, że mając „wspólne zapatrywania" na oczach sympatii „przelatują" inną. Widocznie „każdy ma swe godziny i miejsca, i karaktery". Ale temu paczeniu charakterów i deprawacji, zbyt nieśmiało próbujemy się przeciwstawiać. Ma rację prokurator, gdy stwierdza:

„Skoro o daleko posuniętym procesie demoralizacji Ewy, jak i fakcie zgwałcenia trzech dziewcząt z klasy siódmej wiedziało wielu uczniów tej klasy — przypuszczać należy, że przy wykazaniu większego zainteresowania ze strony personelu nauczycielskiego szkoły podstawowej, a zwłaszcza wychowawcy klasy siódmej można by zapobiec zaistnieniu nie tylko samych przestępstw, ale i procesowi demoralizacji Ewy, i jej szkodliwego wpływu na najbliższe otoczenie".

Wątpliwa to satysfakcja, że dorośli sprawcy gwałtów zostali skazani na kary wieloletniego pozbawienia wolności. Wątpliwa to satysfakcja, że Ewa wyeliminowana została ze społeczności szkolnej i umieszczona w zakładzie poprawczym.

Ten reportaż nie powinien zostać nigdy napisany. Ten reportaż został napisany, aby demony nigdy już się nie rodziły.

TEATR

NA PODBÓJ PŁOCKA

Płock zna teatr od dawna. W XVII i XVIII stuleciu istniał tu teatr jezuicki, zaś w wieku XIX Płock niemal co roku przyciągał zespoły aktorskie. Niektóre z nich próbowały osiedlić się na dłużej, gdyż warunki do działania teatru były tutaj korzystniejsze niż w innych miastach prowincjonalnych. W roku 1812 Rajmund Rembieliński urządził teatr publiczny w dawnym kościele św. Trójcy (na skarpie nad Wisłą). Opiekę nad nim sprawowały władze miejskie, więc gmach był remontowany i przetrwał do roku 1944. Ponadto Płock jako siedziba województwa i tradycyjny ośrodek życia umysłowego i obywatelskiego mógł zapewnić teatrowi stałą publiczność.

Barbara Grabowska i Paweł Hadyński w „Romeo i Julii"

Zwrócił na to uwagę już **Wojciech Bogusławski**, kiedy w roku 1823 pisał do **Ludwika Osińskiego:**

„Płock jest miastem, które zawsze taką, jak teraz była, liczbę aktorów zapłacić potrafi, ponieważ dochody w nim nie na przybyszowych, ale na mieszkających w nim obywatelach zależą. (...) Nareszcie zasmakowanie publiczności w sztukach klasycznych zdaje się być pewniejszą dobrych dochodów rękojmią."

Na ślady dawnego życia teatralnego w Płocku natrafia się co krok. Przypominają choćby o nim nazwy kawiarń i ulic.

Dzisiejszą historię Płocka niemal bez reszty wypełnia nowoczesny przemysł petrochemiczny. To on przyciągnął tutaj tysiące ludzi, dla których zbudowane zostały nowe domy i nowe ulice. Ale zyskał na tym i stary Płock, stając się kulturalnym i handlowym centrum 80-tysięcznego miasta. Odnowiono na przykład stare kamieniczki, a część ulic zamieniono w promenady. W ciągu krótkiego czasu uporządkowano też słynną z urody nadwiślańską skarpę, ozdabiając ją amfiteatrem.

Podobną przedsiębiorczość i odwagę władze miejskie wykazują również w dziedzinie życia artystycznego. Przekazały mianowicie nowo wybudowany obiekt kulturalny ze sceną na 420 miejsc, biblioteką, miejscem na kawiarnię i małą galerię sztuki 25-osobowej grupie młodych aktorów i reżyserów, w połowie debiutantów. Patronat nad nimi sprawuje wprawdzie warszawska PWST, a funkcję dyrektora i kierownika artystycznego nowej placówki objął **Jan Skotnicki**, do niedawna prorektor szkoły, jednakże w codziennym działaniu nie zawsze jest czas na konsultowanie się i radzenie. Tym bardziej że nowy zespół nie zamierza poprzestać na tradycyjnych formach pracy teatru. Nazwa, jaką przyjął — **Ośrodek Kultury i Sztuki** — oznacza, że będzie upowszechniał również inne dziedziny twórczości, a także kierował działalnością kulturalno-artystyczną całej Ziemi Płockiej.

Jak dotąd pracownicy teatru nawiązali kontakty z pedagogami płockimi, odwiedzili 20 gmin i rozpoczęli kurs wiedzy o teatrze: **„Godzina teatralna".** Przewiduje się także po każdym spektaklu imprezę towarzyszącą. W przypadku „Romea i Julii" odbywać się będzie pokaz filmu „Love story" oraz wystawa obrazów i grafik o tematyce miłosnej.

Na tym jednak nie kończą się plany Teatru Płockiego. W poniedziałki czynne tu będzie kino studyjne. Wkrótce wyświetlone zostaną najwybitniejsze filmy XXX-lecia PRL oraz odbędzie się przegląd gatunków filmowych. Nad salą wystawową pieczę obejmie **Akademia Sztuk Pięknych.** Z Warszawy przyjeżdżać też będą z etiudami aktorskimi i przedstawieniami dyplomowymi studenci PWST. Teatr zamierza ponadto podjąć pracę wśród małych dzieci, organizując w przedszkolach zabawy tematyczne rozwijające wyobraźnię i wrażliwość artystyczną swoich przyszłych widzów.

Działalność objazdowa Teatru Płockiego (plan roczny uwzględnia 240 przedstawień, z tego 140 na miejscu i 100 w objeździe), odbiega od zasad panujących gdzie indziej. Nie będzie się przenosiło spektakli wystawionych na scenie płockiej do sal nie przystosowanych do potrzeb teatru. Za to będzie się organizowało przedstawienia w gminnych szkołach zbiorczych według specjalnie przygotowanych scenariuszy. Obecnie teatr opracowuje programy poświęcone poszczególnym epokom kultury polskiej.

Ponieważ Płock spragniony jest wszelkiej rozrywki, kierownictwo Ośrodka Kultury i Sztuki zapewniło sobie prawo decydowania o tym, co będzie pokazywane w mieście. W ten sposób przynajmniej w stolicy polskiej petrochemii nie będzie straszyć szmira. To zresztą ledwie cząstka zamierzeń i ambicji nowego teatru w Płocku. Kiedy się je poznaje, to rodzi się wątpliwość, czy nie za wiele zapowiedziano, czy starczy sił i umiejętności, aby wszystkiemu podołać.

Zespół płocki składa się w części z nowicjuszy. Jeśli nawet wyrosną na dobrych aktorów, to czy podołają obowiązkom społecznym? Również starsi wiekiem i doświadczeniem członkowie teatru nie zajmowali się dotąd koordynacją, instruktażem i programowaniem na przykład ruchu amatorskiego lub innego działu pracy kulturalno-oświatowej. Zatem, czy w krótkim czasie zdołają pokonać tę przeszkodę i pozyskać sobie wszędzie sprzymierzeńców? A przede wszystkim, czy nie zapomną, że Płock był twórczym ośrodkiem kultury i nauki także przed ich przyjściem?

Teatr płocki wybrał na swoją inaugurację świetne pozycje: **„Krakowiaków i górali"** (w reż. **Jana Skotnickiego,** scen. **Mariana Iwanowicza,** choreografii **Jana Urygi** i pod kierownictwem muzycznym **Franciszka Barfussa**) oraz **„Romea i Julii"** (w reż. **Grzegorza Mrówczyńskiego,** scen. **Jerzego Kowarskiego,** układy szermiercze — **Waldemar Wilhelm).** Chociaż publiczność przyjęła je gorąco, wyrażając tym samym radość z otwarcia sceny w Płocku, to trzeba wnieść sporo zastrzeżeń do poziomu gry aktorskiej w obu przedstawieniach.

„Krakowiacy i górale" wymagają jak wiadomo głosów i uzdolnień muzycznych, a tymi zaletami nie odznaczali się niestety wykonawcy większości ról w płockim spektaklu. Aktorzy zawiedli także w **„Romeo i Julii"** (z wyjątkiem odtwórczyni Julii, **Barbary Grabowskiej).** Był to spektakl, który zagubił to, co najwspanialsze w utworze Szekspira — poezję i miłość. Na pochwałę zasługuje jedynie organizacja przestrzeni. Widzów posadzono naprzeciw siebie, dzieląc tym samym teatr na stronę Kapuletów i Monteków, zaś na środku ustawiono podest do gry. I co najważniejsze — ten układ przestrzenny został wykorzystany konsekwentnie i celowo, a publiczność płocka miała przedsmak teatralnej awangardy.

Entuzjazm władz i mieszkańców Płocka dowodzi, że teatr zrodził się tu nie na darmo, że może liczyć na życzliwe przyjęcie i pomoc. Oby tej szansy nie zaprzepaścił!

ANNA KULIGOWSKA

MOŻNA UCZYĆ TEATRU

Stanisław Ochmański

Stanisław Ochmański objął dyrekcję i kierownictwo artystyczne Państwowego Teatru Lalek „Arlekin" w lutym ubiegłego roku. Przez wiele lat prowadzi Teatr Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena w Lublinie. Ostatnimi sukcesami lubelskiego teatru były: „Tryptyk staropolski" Henryka Jurkowskiego w reżyserii Stanisława Ochmańskiego (scenografia w oprac. Zenobiusza Strzeleckiego) — przedstwienie nagrodzone na Festiwalu Teatru Lalek w Opolu w 1973 r. oraz „Tymoteusz wśród ptaków" Jana Wilkowskiego — nagrodzony Wielką Nagrodą Widzów w telewizyjnym festiwalu dla dzieci w 1974 r.

St. Ochmański: Moja obecna praca w Łodzi jest w jakimś sensie powrotem do tego miasta. Tu przecież, pod kierunkiem Henryka Ryla, zdobywałem tzw. szlify reżyserskie. W 1958 r. wyjechałem do Lublina. Tamtejszy teatr został założony w 1954 r. przez Marylę Kędrę, ale działał na prawach stowarzyszenia. Wraz z grupą entuzjastów i przyjaciół tego typu teatrów postanowiliśmy upaństwowić tę placówkę, a więc tworzyliśmy teatr profesjonalny. Wymagało to wiele pracy, należało pokonać wiele związanych z tym trudności. Proces ten konsolidował młody i utalentowany zespół. Oczywiście, jak zawsze w takich momentach — są to chwile niezapomniane.

Sytuacja Teatru „Arlekin" jest zupełnie inna. Ma on swoją historię tradycję, styl, swoje osiągnięcia, nabyte cechy.

P. SŁOWIKOWSKI: Ta sytuacja rodzi oczywiście odmienne zadania. Jakie są Pana plany, zamierzenia, program?

— Chciałbym, by „Arlekin" ponownie wszedł w okres świetności. Jest tak wówczas, kiedy teatr jest organizmem prężnym, aktywnym, odkrywczym, szuka nowych form. „Arlekin" podawany był za przykład takiego właśnie teatru w latach 50-tych i do połowy lat sześćdziesiątych. W ostatnim okresie upodobał sobie i kultywował styl monumentalno-realistyczny, którego mistrzem jest bezspornie Henryk Ryl. Nie oznacza to, że był teatrem złym. Uważam jednak, że należy wprowadzić pewne ożywienie, ferment twórczy. Jedną z dróg do tego celu jest stałe powiększanie grona współpracowników. W obecnym sezonie wystawiliśmy „Ludową szopkę polską" Henryka Jurkowskiego w mojej reżyserii, ze scenografią Wacława Kondka, muzyką Bogumiła Pasternaka, następnie „Ulę z Ib" — Jana Wilkowskiego, w reżyserii autora, z muzyką Jerzego Dobrzańskiego, scenografią Adama Kiliana. Program premier przewiduje jeszcze: „Czerwoną czapeczkę" Hanny Januszewskiej, „Konika Garbuska" — Jerszowa w tłumaczeniu i adaptacji Igora Sikiryckiego, a także „Parady" Potockiego w reżyserii Wojciecha Wieczorkiewicza ze scenografią Leokadii Serafinowicz.

Chciałbym również by „Arlekin" stał się ponownie częstym uczestnikiem festiwali teatrów lalkowych. Oczywiście nie robi się spektakli pod festiwale, nie takie jest najważniejsze zadanie teatru. Niemniej jestem przekonany, że festiwale dobrze służą wymianie doświadczeń, są najlepszym sposobem konfrontowania osiągnięć. Festiwalowe spotkania ludzi z branży wyzwalają w zespole energię i inwencję, pokazują błędy, ślepe uliczki, jak i nowe, słuszne kierunki w sztuce, wreszcie — kształtują odporność psychiczną zespołu. W teatrze zawodowym są więc siłą twórczą. Warto chyba wspomnieć o planach adaptacji wystroju wnętrz. Opracowują je inżynierowie: Stanisław Cuchra-Cukrowski oraz Wiesław Błażewski. Uważam, że teatr ten powinien na każdym kroku stwarzać dla swojego widza klimat i wrażenie miłej uroczystości, atmosferę oczekiwanej wizyty.

— Wspomniał pan o „Paradach" Potockiego. „Arlekin" uwzględniał widza dorosłego, ale w moim odczuciu, jeszcze zbyt rzadko. A przecież pojawiają się w teatrach lalkowych premiery sztuk Mrożka, Dürrenmatta i Ghelderodego.

— Musimy zachować proporcję. Nie możemy sobie pozwolić na zbyt częste odstępstwa od zasadniczej linii działalności naszego teatru. Nie możemy zaniedbać widza, dla którego jesteśmy powołani, mianowicie dziecka.

— Są wartości trwałe, ponadczasowe, jakie może i powinien zaproponować najmłodszemu odbiorcy teatr lalek. Jednak współczesne zjawiska kultury masowej, szczególnie telewizja, modelują każdego, a więc i tego małego widza. Zmieniają jego sposób patrzenia. Czy wynikają z tego nowe powinności dla teatrów lalek?

— Trwałym zadaniem teatrów tego typu jest rozbudzać wrażliwość młodego człowieka. Wszystkimi możliwymi środkami, jakimi dysponujemy, uczyć go co dobre, piękne, szlachetne a co złe. Co to znaczy krzywda, dobroć, odwaga, tchórzostwo. Teatr lalkowy jest obecnie pierwszą placówką teatralną z jaką spotyka się człowiek w swoim życiu. Rozbudza więc wrażliwość estetyczną. Obecnie chyba mamy szczególne prawo uczyć teatru. Spotykać widza z różnymi konwencjami teatralnymi. Uważam, że dziecko jest bardziej niż odbiorca dorosły podatne na różnorodność konwencji, na umowność teatru. Operę, operetkę, kabaret, teatr w teatrze, teatr poetycki — to wszystko, jeśli tylko rzetelnie opracowane, widz dziecięcy przyjmuje równie chętnie. Stąd wniosek: że można go uczyć teatru, przysposabiać do odbioru różnych jego form. Jest tu wszakże jeden warunek. Proces uczenia teatru winien odbywać się na przykładach kilku spektakli a nie w czasie jednego. A więc konieczna jest czystość i jednorodność konwencji. Na przykład, moim zdaniem, nie powinno się na końcu przedstawienia pokazywać, że lalki animowane są przez człowieka, jeśli się tego nie zrobiło wcześniej. Następuje bowiem wtedy rozczarowanie. Jeśli zaś od początku dziecko wiedzieć i pamiętać będzie o tym, że to tylko teatr, to owa zabawa poprowadzona będzie bez dysonansu.

Naszego widza, już od jego najmłodszych lat chcemy zapoznać z teatrem. Opracowujemy specjalny spektakl, z którym grupa aktorów jeździć będzie po przedszkolach. Scenariusz przewiduje udział widowni we współtworzeniu przedstawienia. Całość więc utrzymana będzie w tonie wspólnej zabawy. Wiele elementów takich spotkań tworzyć się będzie doraźnie w danej chwili, w zależności od konkretnych warunków technicznych i środowiska.

— Oprócz ogólnie pojętych wartości wychowawczych ma więc teatr lalkowy to zadanie „uczyć teatru", uczyć myślenia teatrem. Słowem — przygotować przyszłego dorosłego odbiorcę.

— Jednocześnie trzeba zauważyć, że w dużym stopniu praca nasza idzie w zapomnienie. Teatry lalkowe prowadzą widza od okresu przedszkolnego do wieku lat 10—12. Potem zaczyna się duża luka. Nie ma teatrów dziecięco-młodzieżowych. Ciągle się mówi o potrzebie tego typu placówek. To właśnie na łamach „Odgłosów" poruszał ten temat niedawno Kazimierz Lewkowski. Kilka lat przerwy w wyrabianiu nawyku chodzenia do teatru powoduje ogromne straty. Teatry dramatyczne muszą więc ten cały proces zaczynać niejednokrotnie od początku. A szkoda.

Rozmawiał:
PIOTR SŁOWIKOWSKI

FILM

„KONFORMISTA"

Reżyser filmu „KONFORMISTA", Bernardo Bertolucci, znany jest u nas jako autor „Strategii pająka" i legendarnego, bo nie oglądanego „Ostatniego tanga w Paryżu". Jako osoba, której dane było ostatni ze wspomnianych filmów widzieć, mogę zapewnić widzów „Konformisty", iż w sferze artystyczności, a nie samej skandaliczności, film ten poprzedzając w twórczej biografii Bertolucciego „Ostatnie tango w Paryżu", sytuuje się w tym samym kręgu formalnych poszukiwań i wirtuozerii psychicznej presji wywieranej na odbiorcy. Bernardo Bertolucci jest bowiem mistrzem klimatu, który wciągając widza w orbitę swych oddziaływań, czyni go na czas uczestnictwa w ekranowych zdarzeniach bezwolnym, podporządkowanym czarnoksięskiej niemal woli reżysera. „Konformista" jest tego znakomitym przykładem.

W trakcie odbioru tego filmu magia jego obrazów i nastrojów eliminuje niejako refleksję uogólniającą. Przychodzi ona później, pozwalając zrozumieć sprzeciwy, z jakimi spotkał się film Bertolucciego ze strony włoskiej lewicy, która zarzuca reżyserowi, że rozpatruje problem faszyzmu jedynie jako przypadek kliniczny. Istotnie, niezwykle wyrazisty historyczny kontekst dziejów tytułowego bohatera filmu, Marcella Clerici, każe w ich interpretacji przekraczać próg tematu konformizmu jako postawy mogącej realizować się w różnych warunkach politycznych i społecznych. Prywatny konformizm bohatera filmu zyskuje bowiem tu wymiar uogólniający i odnoszący się do faszyzmu.

Tenże Marcello Clerici, konformista z wyboru, przybiera tę postać na użytek czasów i zdarzeń, których jest nie tylko mimowolnym uczestnikiem, ale i współtwórcą. Czasy te zadecydują, iż konformizm ten przybierze formę zbrodniczą. Jeśli więc źródeł motywacyjnych wyboru postawy konformistycznej Bertolucci szukał w urazach seksualnych dziecięcego wieku bohatera i w tłumionym popędzie homoseksualnym, redukując niejako sprawę Marcella do modelu freudowskiego, musiał spotkać się ze wspomnianymi tutaj zarzutami.

Z drugiej jednakże strony tem sam film, uwolniony z sądów uogólniających, pozostaje znakomitą analizą określonej sytuacji politycznej i towarzyszących jej stanów moralności społecznej i jednostkowej. Konformizm głównego bohatera, jeśli nawet jest wynikiem jego podświadomości, zbrodniczą swą postać przyjmuje wskutek określonych warunków i sytuacji, której ceną okupu, złożoną na rzecz możności w nich uczestnictwa, czynią moralną degrengoladę i wreszcie zbrodnie.

Ten świat zbrodni i amoralności, całego nastroju lat trzydziestych, znalazł w filmie Bernardo Bertolucciego obraz przejmujący. Symbolicznie niejako świat ten spotęgowany jest i zamknięty w wynaturzonych formach architektury czasów włoskiego faszyzmu, będącej wyrazistym kontekstem dziejących się w jej ile spraw. Utajony jest w jałowym dobrobycie mieszczańskich środowisk, rozpieranych od wewnątrz marzeniem innego, intensywnego życia, które niegroźne jeszcze ujście ma w erotycznych przeżyciach, by finał znaleźć w przemocy, gwałcie i zbrodni.

Bertolucci owo finalne, okrutne oblicze faszyzmu tropi i ujawnia w swym filmie, posługując się niezwykłymi umiejętnościami narracyjnymi. Jego „Konformista" stał się kolejnym dowodem autonomicznej dojrzałości form kinowej narracji, określonej nieliterackiej proweniencji kompozycyjnym układem zdarzeń, lecz poprzez kształtowanie nowej kinematograficznej rzeczywistości, w której zdarzeniowość i jej znaczeniowe sensy kreuje kamera. Obrazy Bertolucciego ewokują wrażenia zmysłowe, stanowiące ów psychiczny terror, któremu odbiorca bez względu na wolę poddaje się. Stoi za nimi jednakże niezwykła logika zamierzonego celu. Reżyser prowadzi nas przez świat zepsucia, podporządkowuje szczególnej nim fascynacji, by w okrutnej scenie podwójnego mordu odsłonić to, ku czemu w istocie cały czas zmierzał — odkryć prawdziwe oblicze faszyzmu, w tym historycznym momencie, gdy wojna nie była jeszcze jego ostatecznym ujawnieniem.

Bernardo Bertolucci daje się też w „Konformiście" poznać jako reżyser, dla którego aktor stanowi integralną część owej, wspomnianej wyżej, kinematograficznej rzeczywistości. Znany nam nie od dziś, znakomity Jean-Louis Trintignant zagrał w „Konformiście" swą najznakomitszą rolę wydobywając z postaci Marcella wszystkie możliwe jej psychiczne uwikłania. Ta doskonałość kreacji ujawnia się jednak dzięki współbrzmieniu wszystkich elementów opowiadania i obrazowości filmu Bertolucciego. Dotyczy to w tej samej mierze dwóch aktorek — Stefanii Sandrelli i Dominique Sandy, która po tym filmie, jak sądzić należy, stanie się dla zachodniej kinematografii absolutnym objawieniem kobiecości i znakomitego aktorstwa. Bernardo Bertolucci tworzywem aktorskim operuje z wirtuozerią, którą rzadko mamy okazję odczuwać. Jego „Konformista" utwierdza zaś w przekonaniu, że reżyserzy, którzy najlepiej czują materię kina, rodzą się pod włoskim niebem.

EWA NURCZYŃSKA

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

UROK I DOTKLIWOŚĆ ŚWIATA

Przed blisko dwoma laty, z okazji piętnastolecia „Odgłosów", Andrzej Grun eksponował swoje rysunki w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Wówczas to w katalogu — plakacie wystawy znalazły się słowa określające tę niewielką wystawę jako WARSZTAT. Po prostu notatki do codziennej gazetowej grafiki, ale także notatki do codziennego zapisu świata, jaki nas otacza.

Ten pośpieszny, nerwowy brulion był jednak zapisem najautentyczniejszym, najpełniej zamykającym nerwowość i pośpiech naszego czasu. I wówczas w katalogu wystawy znalazło się to zawołanie: „Nie cyzelujmy tego nerwowego zapisu, świadomi, iż może nam nie starczyć czasu na pełnię cyzelacji".

Minęły prawie dwa lata od tamtej ekspozycji i oto Andrzej Grun prezentuje w Klubie Dziennikarza nową wystawę rysunków. I w tej nowej przecież propozycji artysty odnajdujemy ślady tamtych nerwowych grafik. Czy znaczy to, że Grun postanowił poprawić bądź dopełnić nerwowe — brulionowe i warsztatowe propozycje sprzed dwóch lat? Oczywiście nie — ale jest w tej nowej ekspozycji ta sama różnorodność poetyk, ten sam rytm pośpieszny, to samo pulsowanie czasu.

Czas i miejsce w czasie odciskają swoje piętno na twórczości każdego artysty. Można wieść spory i zastanawiać się — dobrze to czy źle. Osobiście sądzę, że to dobrze, nawet, jeśli piętno jest zbyt silne. Nawet jeśli napór aktualności i pośpiech tworzą pęknięcia w artystycznej konstrukcji. Ale przecież nawet te pęknięcia mówią, jakże wymownie, o świecie tworzonym przez artystę i o świecie, w którym tworzy artysta.

Inna była grafika Gruna ożywiona „Ziemią jałową" Eliota, inna jest ta grafika nasycona publicystyczną treścią gazety, planszy wystawowej, plakatu, książki... Różnorodność poetyk musi być zjawiskiem naturalnym, gdy artysta reaguje na taką mnogość różnorodnych impulsów. Stąd ten przykład z „Ziemią jałową", do którego to poematu Grun wykonał przed laty serię wieloznacznych grafik. Tam było wirowanie skojarzeń, karmione posępną frazą poematu, tu jest zwięzła oszczędność i prosta metafora zrodzona dziennikarską niemal inspiracją.

Andrzej Grun zresztą do tych gazetowych doświadczeń i inspiracji dość wyraźnie się w swojej ekspozycji przyznaje. Robi to w różny sposób — poprzez graficzne aluzje do krzyżówki z ostatnich stron magazynów, poprzez wykorzystane elementy prasowej fotografii, poprzez chwyty właściwe gazetowym komiksom...

Artysta jest tu w swojej sztuce oszczędny, ponieważ wie, że zasadą graficznego znaku w gazecie jest oszczędność. Sprowadza jednak tę zasadę nieraz do absurdu: stosuje przewrotną kpinę, kiedy na symbolicznie zaznaczonym morzu rysuje symboliczny niemal znak statku z ciągnącym się nad nim żółtym dymem... Ale z tego dowcipu uśmiecha się do Gruna dziennikarska inspiracja, bowiem wiadomo przecież, że znak graficzny w gazecie, to — jakże często — żart właśnie.

A jednocześnie znajdują się tu prace zawierające w sobie jakiś ładunek bardzo tragicznej refleksji. Jak choćby ten niezgrabny człowieczek w czarnym garniturku, próbujący z pustej, zupełnie pustej, beznadziejnej równiny, wzlecieć gdzieś wysoko, pofrunąć gdzieś (a może odfrunąć?), osiągnąć jakiś cel, oderwać się od tej beznadziejnej równiny, gładkiej jak stół. Takich wieloznacznych, pełnych zadumy prac, jest na wystawie sporo.

Mógłby więc ktoś powiedzieć, że zgromadził tu artysta jakąś artystyczną silva rerum. Żar obok refleksji, kolorową fotografię obok czarno-białej kreski, poetycką metaforę obok gazetowego dowcipu... Tak jest! Mógłby tak ktoś powiedzieć, i zapewne niejeden powie. Ale w chwilę potem niech pomyśli i spróbuje sobie uczciwie odpowiedzieć: czy w tym pomieszaniu spraw i poetyk, metafory i prostego żartu, refleksji i kpiny — nie mieści się cały urok i dotkliwość tego świata, który Andrzej Grun utrwalił na białym kartonie?

WIDOK

LEWYM OKIEM

GWOŹDZIE NA TRASIE

Zakończył się niedawno wielki doroczny rajd samochodowy do Monte Carlo, słynący z bardzo wysokich wymagań, stawianych uczestniczącym samochodom. Niektóre odcinki trasy są ponoć morderczo trudne. Rajd nazywany bywa imprezą sportową. Czytam właśnie, że gdzieś tam rozsypano na drodze ostre gwoździe przed przejazdem upatrzonych załóg, żeby je wyeliminować z rajdu. Czy ci, co rozsypywali, a zdarza się to jak czytam nie pierwszy raz, też czynią to z pobudek sportowych?

„Głos Pracy" doniósł, że w zawodach sportowych dla młodzieży w Warszawie srebrny medal w biegu na 2000 metrów otrzymał Leszek Kagan, a potem okazało się, że biegał za niego starszy brat. Również w Łodzi w biegu na 100 metrów pod nazwiskiem i na konto Tomasza Kotowicza zwyciężył kto inny, całkiem dorosły. Zarówno zastąpieni jak i zastępcy to oczywiście „sportowcy".

Ryszard Kapuściński relacjonował niedawno w „Kulturze" wojnę futbolową w Ameryce Środkowej. Gdy drużyna Salwadoru przybyła do Hondurasu, aby rozegrać tam mecz piłki nożnej, pod oknami hotelu, w którym zamieszkali gracze, urządzano przez całą noc wściekłą kocią muzykę, walono w blachy, rzucano petardy, żeby goście nie mogli wypocząć przed meczem, żeby go nie mogli wygrać. W te blachy też walili sportowcy, pewnie się za takich uważali.

Gdy wreszcie doszło do meczu i drużyna Hondurasu strzeliła bramkę, w Salwadorze zastrzeliła się z rozpaczy przed telewizorem osiemnastoletnia patriotka. Jej pogrzeb był ogromną manifestacją narodową, ze sztandarami, z udziałem prezydenta i ministrów. W kondukcie szli również nieszczęśni, przegrani salwadorscy gracze, łżeni i opluwani przez tłumy, obwiniani o śmierć owej dziewczyny.

Podczas rewanżowego meczu w Salwadorze spalono 150 samochodów kibiców z Hondurasu. Zresztą dość tej wyliczanki. Histeria wokół wydarzeń sportowych rośnie na całym świecie zastraszająco, wydaje się, że nigdy jeszcze cała ludzkość nie była tak podatna na histerię, tak skłonna do najbardziej fanatycznych zrywów, tak podminowana i znerwicowana. Jeżeli wspaniałe w zamyśle imprezy olimpijskie, mające być kontynuacją starożytnych igrzysk, na czas których zawieszano wszelkie działania wojenne, odbywają się w atmosferze nadzwyczajnych czujności i ostrożności, jeżeli obstawia się bieżnie, boiska i stadiony tysiącami uzbrojonych ludzi, dziesiątkami tysięcy fachowców od śledzenia, podsłuchiwania, podglądania, jeżeli wyposaża się te stadiony nie tylko w tartanowe nawierzchnie, lecz także w skomplikowaną sieć aparatów alarmowych i podsłuchowych, jeżeli całe miasto olimpijskie zamienia się w obóz wojenny, w którym wszyscy boją się wszystkich — to może lepiej nie mówmy już o wielkiej idei sportu, o szlachetnej rywalizacji, o sublimacji masowych ambicji? Może lepiej sprowadzić do skromniejszych wymiarów całą tę ogromną dziedzinę aktywności ludzkiej, która miała być zabawą, higieną dla ciała i umysłu, szkołą rycerskiej, dżentelmeńskiej rywalizacji, a stała się zachłannym molochem żrących zawiści, żądzy niezdrowych sukcesów za każdą absolutnie cenę?

Wcale nie nawołuję do tego, aby się nie emocjonować meczami i nie cieszyć naszym srebrnym piłkarskim medalem. Myślę jednak, że źle jest, gdy zastrzeli się z błahego powodu egzaltowana dziewczyna; że sto razy gorzej jest, gdy w jej pogrzebie uczestniczy prezydent, orkiestra gra narodowy hymn, a flagi opuszcza się do połowy masztu; że śmieszne jest, gdy za opis skoku przez kozła przyznaje się taki sam tytuł naukowy, jak za odkrycie nowej komety. Inaczej mówiąc: chodzi o proporcje. Bo jeżeli wszystko zawsze będzie strasznie ważne, to wreszcie nic naprawdę ważnego nie pozostanie...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

DROGA

Kilka dni temu „Życie Warszawy" przypomniało dziwną historię hotelu „Kasprowy" w Zakopanem. Jest to historia istotnie przedziwna, jest to dobitna ilustracja naszego — niekiedy dającego jeszcze o sobie znać — sposobu myślenia. Przypomnę więc ją i ja w kilku zdaniach.

Zrozumieliśmy wreszcie, że unowocześniający się kraj musi utrzymywać szerokie kontakty międzynarodowe, a te znów wymagają nowoczesnych hoteli. Wprawdzie poznaniacy pokazali, że Polacy nie gorsi i też potrafią szybko i dobrze budować hotele i wybudowali u siebie „Polonezа", ale niezależnie od tego budują u nas hotele Szwedzi, Francuzi i Jugosłowianie. Po prostu nie zawsze mamy czas na to, aby budowlani uczyli się szybkiej budowy hoteli i nie zawsze dysponujemy potrzebnymi do takiego przedsięwzięcia możliwościami produkcyjnymi budownictwa. Dlatego hotel „Kasprowy" budowali Jugosłowianie, którzy posiadają po temu niezbędną praktykę.

Jugosłowianie zaproponowali więc „Orbisowi" — bo „Kasprowy" jest hotelem „Orbisu" — że jednocześnie wybudują drogę dojazdową do hotelu oraz mieszkania dla personelu. „Orbis" oczywiście odmówił, bo kierował się prymitywną zasadą „potaniania inwestycji" przez skreślanie tego, co w gruncie rzeczy stanowi kompleks i co w konsekwencji przyczynia się później do należytego funkcjonowania całego przedsiębiorstwa. Ta decyzja jest jeszcze jedną ilustracją myślenia doraźnego. Jak skreślę tych parę milionów złotych na budowę drogi — wydaje się niektórym — to efekt będzie widoczny. Jak później trzeba będzie płacić odszkodowanie gościom hotelowym za poturbowane samochody, to strat już nikt się nie doliczy, mniejszych zysków nie oceni, bo wmanipuluje się je w ogólne koszty — i po krzyku.

Tak więc hotel „Kasprowy" w Zakopanem jest chyba jedynym hotelem na świecie, do którego nie można dojechać samochodem, nie można dowieźć produktów, ludzie nie mają jak się dostawać do pracy. Ale jest to hotel, w którym można korzystać z basenu kąpielowego, sauny, można zostawić dzieci pod fachową opieką, wypożyczyć narty i wybrać się na wycieczkę. Jest to również hotel, z którego uciekają pracownicy, szukając sobie lepszej pracy. I aby temu zapobiec, dyrekcja „Kasprowego" wyłączyła z hotelu kilka pokoi na... mieszkanie dla personelu. Zaiste logika w tym wszystkim jest absurdalna, ale jest to bowiem logika nie mająca wspólnego z ekonomią i wyobraźnią, nie mająca wspólnego z racjonalną gospodarką.

Takie poglądy — rodem z „Kasprowego" — można jeszcze tu i ówdzie spotkać. Oto na przykład ukończono u nas budowę „Kaskady" i gazety doniosły, że wyburzy się dwa budynki przy ul. Narutowicza, aby odsłonić kombinat gastronomiczny i aby zrobić parking dla gości kombinatu. Spotkałem się już z opinią, że to marnotrawstwo, że można jeszcze poczekać dwa lata, kiedy będzie się burzyć całą stronę ulicy Narutowicza i wtedy odsłonić również i „Kaskadę".

Śmiem twierdzić, że jest to pogląd anachroniczny. Rozumiem troskę o mieszkania w Łodzi, gdzie mieszkań brakuje mimo rosnącego tempa ich stawiania, gdzie ludzie długo czekają na mieszkania, gnieżdżąc się nieraz kątem. W takiej sytuacji — mogłoby się wydawać — zburzenie każdego zdrowego jeszcze domu, to świętokradztwo i zbrodnia. Byłaby w tym odrobina racji, gdyby burzono tylko po to, aby robić puste place. Wtedy — zgoda, ale przecież program burzenia starej, odchodzącej Łodzi nie jest tak znów bogaty i nadzwyczajny. A bez burzenia nie uda się nic nowego w śródmieściu zbudować. Myślę, że trzeba byłoby raczej mieć do władz miasta pretensje, że te dwie kamienice przy ulicy Narutowicza nie zostały wyburzone w czasie budowy kombinatu gastronomicznego, że obecne przymierzanie się do wyburzenia obu domów przynosi tylko straty kombinatowi, utrudnią dopływ klientów. A przecież nie po to budowano w Łodzi jeszcze jedną restaurację aby do niej dopłacać.

Zdecydowaliśmy się na program przyśpieszania społecznego i gospodarczego i do realizacji tego programu potrzeba odwagi, rozmachu, fantazji i zdecydowania. Metodami „Orbisu" z Zakopanego i tych, którzy liczą każdy budynek zburzony, aby go opłakiwać i żałować — daleko nie ujedziemy. Potrzeba nam myślenia kompleksowego i kompleksowego działania. Potrzeba koncentracji uwagi i środków na rozwiązywaniu problemów w ich wzajemnym powiązaniu. Myślenia dialektycznego, które pozwalałoby na odrzucanie przestarzałych schematów, rewidowania zastałych pojęć w odniesieniu do nowych warunków i potrzeb.

Wydaje mi się, że staliśmy się w Łodzi bardziej ostrożni, niż potrzeba. Oto słyszę, że rezygnujemy z budowy drugiego dwupoziomowego skrzyżowania na łódzkiej trasie „W-Z", skrzyżowania ul. Piotrkowskiej z Główną, że rezygnujemy z kompleksowego centrum kultury w śródmieściu. Bo nie podołamy, bo budowniczym i architektom zmieniły się oceny i koncepcje. Ale czy jest to zmiana na korzyść miasta? Czy ta zmiana daje nam przyśpieszenie w modernizacji miasta? Obawiam się, że nie. A zatem, czy wolno nam godzić się z rozwiązaniami zwalniającymi tempo, pomniejszającymi przyszły potencjał miasta?

Przekonywano mnie niedawno, że trzeba budzić szacunek do władzy miasta, bo to jest nasza władza. Zgoda. Jestem od dawna przekonany, że chciałbym też, aby ta władza nie zapominała, że jest naszą i z pewnymi propozycjami rozwiązań przychodziła do ludzi na społeczną dyskusję, aby nie powtórzono błędu z „nową" organizacją ruchu w mieście.

MARCIN RODAK

WSPOMNIENIA

Dwie poetki napisały tę książkę — matka i córka; Maryla Wolska i Beata Obertyńska. I jest to — niezależnie od wartości dokumentalnej — wysokiej klasy dzieło literackie.

Wspomnienia matki — poetki z okresu Młodej Polski — przynoszą bardzo interesujące przyczynki do życia literackiego we Lwowie pod koniec XIX wieku i na początku wieku XX. Maryla Wolska była córką Wandy Młodnickiej, z domu Monne, narzeczonej Artura Grottgera — zainteresowania malarstwem wyniosła więc niejako z rodzinnej tradycji i legendy. Nic więc dziwnego, że w tych wspomnieniach poetka sięga nie tylko do tradycji literackiej, ale i malarskiej. W ten sposób mamy w tych pamiętnikach bardzo szerokie tło życia społecznego i artystycznego na przełomie wieków.

Córka Maryli Wolskiej, Beata Obertyńska, uzupełnia pamiętniki matki. W swoich wspomnieniach poświęca dużo miejsca cyganerii artystycznej owych lat — wspomina przyjaźń matki z Leopoldem Staffem... I ten pamiętnik przynosi wiele szczegółów dotąd nie znanych, a przecież poszerzających naszą wiedzę o życiu artystycznym początków XX wieku.

Maryla Wolska, Beata Obertyńska „Wspomnienia", PIW, cena 75 złotych.

MIŁOSNY ATLAS

„Miłosny atlas anatomiczny" to ostatnia książka Michała Choromańskiego, wydana już po śmierci Autora. Choromański nie zdążył już nadać swojej książce ostatecznego kształtu — ukazała się więc trochę w postaci szkicu powieści, opracowanego przez Wacława Sadkowskiego, w porozumieniu z wdową po pisarzu.

Książka jest swego rodzaju kroniką bogatej ziemiańskiej rodziny, kroniką spisaną przez narratora, który jest w rodzinie korepetytorem. Na plan pierwszy wysuwają się erotyczne obsesje, psychiczne powikłania i perwersyjny ekshibicjonizm. Wacław Sadkowski pisze w posłowiu, że miara owych erotycznych pierwiastków sięga chwilami poza granice dobrego smaku. Wyznaje również, że spadł na niego „smutny i krępujący obowiązek" eliminacji i tuszowania owych erotycznych momentów.

Nie znając maszynopisu trudno przesądzać racje, ale nie sądzę, by wydawca powieści miał do takich ingerencji prawo, nawet, jeśli mu w tym pomaga żona Pisarza. Ale nie to jest najważniejsze. W tej książce „postawił sobie Choromański pytanie o trwałość swej twórczości, o jej obecność w pamięci czytelników, a przede wszystkim o zdolność frapowania ich nadal, ogniskowania ich uwagi wokół swego pisarstwa". Tak twierdzi Wacław Sadkowski i jest to prawda. Ale prawdą jest również, że na te pytania czytelnicy dawno już odpowiedzieli twierdząco, i za ich sprawą — niechętna lub milcząca krytyka — musiała zwrócić uwagę na fenomen pisarstwa Michała Choromańskiego.

Michał Choromański „Miłosny atlas geograficzny", Wyd. Poznańskie, cena 35 zł.

ANTOLOGIA SZKOLNA

Nakładem Wydawnictwa Szkolnego i Pedagogicznego ukazało się drugie wydanie antologii pt. „Wybór wierszy na uroczystości szkolne". Bez wątpienia jest to książka potrzebna i na pewno 25-tysięczny nakład zniknie szybko z księgarń, trafiając do szkolnych bibliotek, jako nieoceniona pomoc przy różnego rodzaju akademiach.

Tak więc jest to książka potrzebna i warta była wznowienia. Szkoda natomiast, że znalazło się w niej zbyt wiele tromtadracji ze szkodą dla poezji. Nie wiem, czy „poema" Janusza Laskowskiego o tym, jak autor sławi „wielki dom ojczysty", musiały znaleźć się w tej książce, skoro tyle jest na ten temat prawdziwej poezji. Nie wiem, czy wiersz Edwarda Zołowskiego o ojczyźnie, jest aż tak cenny i piękny, aby go proponować na szkolne akademie... Dziwne to, bo — powtarzam — wiele mamy prawdziwie dobrej poezji o ojczyźnie.

Autorka ułożyła wiersze w trzynaście tematycznych rozdziałów. Wśród nich np. Dzień Nauczyciela. Brak tu znakomitego „Tryptyku nauczycielskiego" Stanisława Czernika, jest natomiast rymowanka p. Barbary Gordon, zasłużonej autorki kryminałów. I tego rodzaju pretensje można zgłaszać prawie do każdego tematycznego rozdziału. Wyborem rządzi dziwna zasada. Odnosi się to także do zakresu tematów. Jest Dzień Górnika — bardzo dobrze, ale dlaczego nie ma Dnia Włókniarza? Jest blisko czterdzieści wierszy o Warszawie (wybór zresztą też dość wątpliwy), ale czemu nie ma wierszy o Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Toruniu, Szczecinie, Gdyni... Choćby po jednym, jeśli książka adresowana jest do wszystkich regionów. Stanowczo za dużo tu wątpliwości jak na książkę tak bardzo potrzebną.

Helena Sadkowska-Mazurkiewicz „Wybór wierszy na uroczystości szkolne", Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, cena 18 zł.

POLONIA W AMERYCE

Małgorzatę Szejnert, znają dobrze czytelnicy prasy społeczno-kulturalnej, jej reportaże są chętnie czytane, niosą bowiem zawsze jakieś istotne informacje i refleksje na temat naszej współczesności. Małgorzata Szejnert nie należy do owej wąskiej grupy „latających reporterów", którzy z niebywałą łatwością przenoszą się z kontynentu na kontynent, aby potem raczyć czytelników bedekerową składanką o egzotyce dalekich krajów.

Autorka — jak sama przyznaje — do Stanów Zjednoczonych pojechała po raz pierwszy i zaledwie na dwa miesiące. A jednak z tej pospiesznej podróży przez dziesięć stanów Ameryki, powstała znakomita książka. Może to świeżość spojrzenia i wrażeń, ale także imponująca pracowitość autorki sprawiły, że „Borowiki przy ternpajku" czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem, że niesie ta książka ogromną sumę informacji. A jednocześnie ta mnogość informacji, nieraz wprost encyklopedycznych, nie odebrała stylowi Małgorzaty Szejnert wdzięku, lekkości i dowcipu.

Pisze autorka, że w każdym Polaku znad Wisły tkwi ogromna ciekawość spraw Polonii Amerykańskiej. To prawda — zwłaszcza, że w ostatnich latach Polonia zbliżyła się do kraju i kraj do Polonii. Reporterska relacja Małgorzaty Szejnert, tę ciekawość zaspokaja.

Małgorzata Szejnert „Borowiki przy ternpajku", Wyd. LSW, cena 25 zł.

ROMANS O ARCHEOLOGII

Bestseller C. W. Cerama „Bogowie, groby i uczeni" obwołano zgodnie jako książkę sensacyjną. To prawda, że mało kto przedtem pisał tak pasjonująco, i na poły sensacyjnie, na tematy naukowe. Ma jednak Ceram swego klasycznego już poprzednika. Jest nim W. H. Boulton — autor książki „Wieczność piramid i tragedia Pompei". Wśród publikacji popularno-naukowych o archeologii stanowi ona pozycję klasyczną.

Wydana pierwszy raz w języku angielskim w roku 1930, wielokrotnie wznawiana, w Polsce ukazuje się po raz piąty. Mimo upływu lat, pozostaje nadal niezwykle frapująca dla czytelników. Nazwana przez samego autora „romansem o archeologii", uwydatnia rzeczywiście romantykę badań naukowych w tej dziedzinie, wydobywa nawet szczegóły przygodowe i sensacyjne.

A mimo to, jest pokazem wielkiej erudycji, mówiąc o dziejach odkryć archeologicznych, podaje mnóstwo informacji o historii i kulturze ludów starożytnych.

Boulton jednak nie byłby typowym Anglikiem, gdyby nie koncentrował się prawie wyłącznie na odkryciach dokonanych przez swoich rodaków. Stąd pewna jednostronność wywodu. Została ona jednak zrekompensowana dodatkowym rozdziałem, dotyczącym polskich odkryć archeologicznych. Napisał ów aneks wybitny badacz i znawca przedmiotu, prof. Kazimierz Michałowski, który zresztą Boultona przetłumaczył.

W. H. Boulton „Wieczność piramid i tragedia Pompei", Wyd. Wiedza Powszechna, cena 30 zł.

MAGAZYN
ODGŁOSY

Fot. ARCHIWUM

TADEUSZ GICGIER
FRASZKI

ELASTYCZNY

Ta śliskość przypomina węża,
zwrotność jaszczurkę, gdy ucieka,
kręgosłup — kota, gdy się spręża,
sam przypomina zaś człowieka.

EKSPERYMENTATOR

Zmienia style pewien plastyk,
by nie orzekł ktoś, że zastygł.

FINAŁ PODRYWACZA

Oto zrządzenie losu smutne acz prawdziwe:
fruwał z kwiatka na kwiatek, aż wpadł na pokrzywę.

FATUM

Raz poeta i pegaz
z miastem się spotkali
i przeszli mimo siebie,
bowiem się nie znali.

EUGENIUSZ IWANICKI
GÓRAL

Lekarze stwierdzili w moich płucach dziury wielkości smoczej jamy i kazali mi jechać w góry. Powietrze tam, choć już zostało skażone przez niektórych sportowców i niebieskich ptaków, ale kiedy cofnięto okres ochronny i rozpoczęło się wielkie polowanie na tamtych terenach — jakby się trochę oczyściło. Nawet podczas pochmurnej pogody można było oglądać pobliskie i dalsze szczyty.

Moje sanatorium mieściło się w wydłużonej dolinie na dnie której wesoło pluskał górski potok i rosła roślinność prawnie chroniona. Po drugiej stronie wzniesienia przycupnęło parę góralskich chat, a ich strome, ciemne dachy wyraźnie odbijały od tła kosodrzewiny. Pensjonariusze sanatorium nigdy nie zapuszczali się na tamtą stronę, bo to wysiłek duży i czasu szmat się traciło, a i lekarze niechętnym okiem spoglądali na takich taterników. Zalecano nam natomiast spacery wzdłuż strumyka oraz dookoła budynku sanatoryjnego.

Któregoś jednak dnia uległem przemożnej pokusie zobaczenia z bliska tych góralskich chat i zmyliwszy czujność zezowatej siostry furtianki, wymknąłem się z sanatorium. Szło mi się lekko, nawet bez specjalnego trudu osiągnąłem szczyt, chwilę rozkoszowałem się wspaniałością gór, które stąd, co tu ukrywać, były o wiele piękniejsze niźli okolica doliny wraz z potokiem. Z jednej strony bieliły się mury rozległego budynku sanatoryjnego, dostrzegłem nawet czarny habit jednej z sióstr, lecz z takiej odległości nie mogłem ustalić czy to siostra Klaudia czy też siostra Celibetyna. Z drugiej — ciemniały dachy góralskich chat i dolatywało wesołe poszczekiwanie psa.

Ruszyłem raźno i po chwili już schodziłem w dół, ciągle nie czując owej zadyszki, o której opowiadał nam ordynator. Ostre, rześkie powietrze wypełniało mi płuca, rumieńce wystąpiły na policzki, czułem młodzieńczą radość i lekkość, tak, że nawet pokrzykiwałem ochoczo „Hej, hop, trili, tirli" itp. Posunąłem się nawet dalej w swobodzie, bo pomimo tego, że zbliżałem się do obcych mi domostw, rozpiąłem kołnierzyk i poluzowałem krawat. Laseczką strącałem jakieś kwiatki, przeskakiwałem przez zwalone świerki.

W pierwszej chacie było pusto, w następnej również, w trzeciej i czwartej także. Ale nie traciłem nadziei i śmiało pukałem do każdej następnej. Dopiero w ostatniej udało mi się spotkać starego górala pilnującego jakiegoś skomplikowanego aparatu. Nie znam się na technice, bo przez parę lat uczyłem się jednej z fug Bacha, lecz w pierwszej chwili myślałem, że stary człowiek pełni służbę przy przestarzałym typie reaktora. W starym, glinianym piecu płonął ogień, na wierzchu stał pokaźny zbiornik, z którego spiralnie odchodziła metalowa rurka w środkowym swym przebiegu zanurzona w korytku z zimną wodą. Pod przeciwległą ścianą, gdzie rurka kończyła się lekkim spadkiem ku polepie, stała bańka, zwyczajna blaszanka po ogórkach małosolnych, do której cieniutkim strumykiem spływał produkt owej nie znanej mi bliżej machiny.

— Znaczy się, panie, przyszliście, a już myślałem, że trud mój na marne pójdzie i zbytu nijakiego nie będzie.

Nic nie odrzekłem, jeno zbliżywszy się do owej bańki zacząłem wąchać dziwny aromat owej cieczy, co mogła być ciekłym paliwem albo czymś zupełnie innym.

Stary góral zdjął z haka czerpak, nabrał mętnego płynu, podał.

— Smakujcie se, panie, toć to ambrozyja. Nie to co te wasze półczarne kawiarniane — haj!

Smakowałem ów napój długo i dokładnie, a kiedy wracałem nad ranem do sanatorium wiedziałem, że świat jest wspaniały a ja na tym świecie jestem najszczęśliwszym człowiekiem. Śpiewałem nawet frywolne piosenki, w rodzaju „Po cóż Marysieńko buciki zgubiła", albo „Hej, tam w alkowie".

Dochodząc do sanatorium widziałem twarze moich kolegów ukrytych za firankami, dających mi tajemnicze znaki. Ale nic mnie nie mogło uciszyć. Siostrę Ascyzynę, która otworzyła mi furtkę, ucałowałem w oba policzki, co skwitowała przeraźliwym piskiem i takimi łzami, jakich nie zdarzyło mi się nigdy już zobaczyć.

To był naprawdę piękny dzień, ostatni mojego pobytu w sanatorium. Zostałem dyscyplinarnie zwolniony. Natychmiast.

Teraz jestem pomocnikiem starego górala, zdobyłem dobry zawód, a i powietrze górskie dobrze mi robi na płuca.

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

KARTKA Z PAMIĘTNIKA

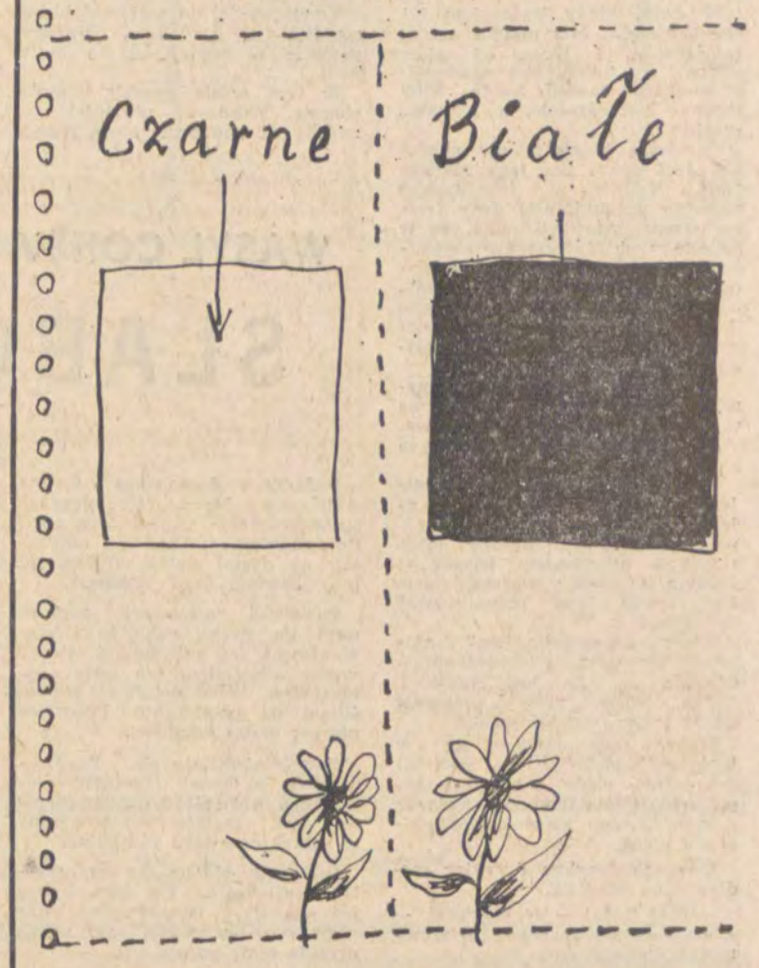

Fot. ARCHIWUM

FRANK EDWARDS
DZIWNY NIEZNANY ŚWIAT

W roku 1964 ukazała się w Stanach Zjednoczonych książka zatytułowana „Dziwny świat" („Strange World"), której autorem był, zmarły już, Frank Edwards. Autor książki zaczynał swą karierę w roku 1923, jako spiker pierwszej stacji radiowej w mieście Pittsburgh. W ciągu następnych czterdziestu lat stał się jednym z najsłynniejszych spikerów radiowych Ameryki, a przed śmiercią, w roku 1967, prowadził telewizyjny serwis wiadomości w Washington, który to serwis swoją popularnością bił na głowę inne podobne mu programy. Jako reporter był Frank Edwards zainteresowany problemem tzw. „latających talerzy" lub, jak się je oficjalnie nazywa, Nie zidentyfikowanych Obiektów Latających (Unidentified Flying Objects).

W swojej książce F. Edwards nagromadził ogromną masę przykładów dotyczących tych właśnie obiektów, jak też i historii odnoszących się do innych zdarzeń, których nauka dotąd nie jest w stanie wyjaśnić. Książka rozeszła się podobno w nakładzie 2 000 000 egzemplarzy, co, jeśli jest prawdą, wskazuje na ogromne zainteresowanie czytelników tym tematem. Istnienie na Zachodzie zapotrzebowania na wszelkiego rodzaju historie o charakterze sensacyjnym i tajemniczym, potwierdza też choćby wielkie powodzenie takich filmów jak „Egzorcysta".

Wierząc, iż nasi czytelnicy również nie są obojętni wobec różnych niezwykłych i niewytłumaczalnych zjawisk, rozpoczynamy w niniejszym numerze druk wybranych i opracowanych fragmentów książki „Dziwny świat". Ze zrozumiałych względów (brak miejsca), publikujemy jedynie najbardziej interesujące fragmenty książki. Trzeba także dodać, że wbrew częstym zapewnieniom autora, iż w jego książce znalazły się jedynie opisy zdarzeń, których zaistnienie zostało w sposób wiarygodny sprawdzone i udokumentowane, niektóre opisy nie mogły być brane poważnie przez zdrowo myślącego człowieka i jako takie nie nadawały się do publikacji w naszym piśmie. Po tej selekcji została jednakże spora część, nazwijmy je „faktów", które mogły mieć (lub rzeczywiście miały), miejsce, a których istoty nie sposób obecnie wytłumaczyć. Rozpoczynając druk fragmentów książki powtórzmy, wobec tego, za jej autorem, że wyliczenie wszystkich tych dziwnych zjawisk... „podkreśla jedynie ograniczoność ludzkiej wiedzy, gdyż prawdopodobnie, wraz z coraz lepszym poznawaniem otaczających nas sił stwierdzimy, że to wszystko, co obecnie uważamy za niewyjaśnialne, podlega naturalnym prawom, których obecnie nie znamy dostatecznie, albo wcale".

TAJEMNICZE ZJAWISKO

Parowiec „Fort Salisbury" płynął wzdłuż wybrzeży Afryki środkowej, z trudem osiągając szybkość siedmiu węzłów na godzinę. Była noc 28 października 1902 roku. Był to zwykły rejs, statek był solidnie zbudowany, miał dobrą załogę oraz cenny ładunek pod pokładem. Do równika pozostało tylko kilka godzin żeglugi, gdy kapitan statku zgasił światło i udał się na spoczynek.

Noc była czysta, w górze jasno mrugały gwiazdy. Nic ciekawego się nie wydarzyło aż do godziny pięć po trzeciej, kiedy to jeden z pełniących wachtę marynarzy zauważył jakiś duży przedmiot na wodzie na kursie statku. Wiedząc, że oficerowie szczególnie nie lubią fałszywych alarmów o tej porze, marynarz wytężył wzrok, aby się upewnić. Nie było to złudzenie. Na sygnał alarmu wybiegli na pokład marynarze, rozległy się rozkazy i statek skręcił gwałtownie, aby uniknąć zderzenia.

Drugi oficer, A. H. Raymer, rozkazał włączyć reflektory i wkrótce długa wiązka niebieskiego światła przecięła ciemność. Oczom marynarzy ukazał się olbrzymi kształt nie znanego przedmiotu, zanurzony głęboko w wodzie, z dwoma małymi pomarańczowo-czerwonymi światełkami w jednym i dwoma niebiesko-zielonymi w drugim swoim końcu.

Gdy „Fort Salisbury" podpływał bliżej, Raymer polecił powiadomić kapitana o tym, co zaszło. „Fort Salisbury" przepływał obok nikomu nie znanego przedmiotu w kształcie spłaszczonego koła długości około sześciuset stóp i szerokości około stu. Przedmiot był wykonany z metalu, a z jego wnętrza dochodził stukot wskazujący na obecność jakiejś maszynerii oraz jakby podekscytowane głosy, które jednak nie były dla nikogo zrozumiałe. Raymer i jego ludzie starali się krzykiem zwrócić na siebie uwagę załogi dziwnego przedmiotu, pytając się, czy nie potrzeba im pomocy lecz ich wołania pozostały bez odpowiedzi. Widać tylko było jak ogromna masa metalu zanurza się coraz głębiej w morze, aby w końcu pogrążyć się całkowicie w falach wraz ze swoją tajemnicą.

NIE ZNANY POJAZD

Wielu ludzi interesujących się problemem U.F.O. (Nie Zidentyfikowanych Obiektów Latających) jest głęboko przekonanych, że od dłuższego czasu obiekty te prowadzą systematyczną i intensywną obserwację Ziemi. Wielu naukowców, czasem bardzo wysoko postawionych w hierarchii rządowej, czyniło aluzje na ten temat. A oto jeden z poważniejszych dowodów na poparcie tej tezy.

Parowiec „Llandovery Castle" wypłynął z Mombassy ostatniego czerwca 1947 roku w kierunku Cape Town. Pierwszego lipca statek przepływał przez cieśninę Madagaskaru. Około godziny 11 w nocy obserwator oraz kilkoro pasażerów spostrzegli zbliżający się jasny punkt świetlny. Punkt ten rósł w miarę zniżania się, wytracał jednocześnie szybkość, aby w końcu zatrzymać się nad wodą w odległości około pięćdziesięciu stóp od statku. Ludzie obserwujący to zjawisko widzieli tylko padający na wodę świetlisty krąg, który dopasował swą szybkość do szybkości statku i poruszał się razem z nim. Po chwili światło zgasło i dopiero wtedy dostrzeżono obiekt, który je emitował.

Wszyscy świadkowie tego zdarzenia zgodnie stwierdzili, że był to olbrzymi cylindryczny pojazd, najwidoczniej metalowy, mniej więcej pięć razy dłuższy niż szeroki. Jeden z obserwujących wyraził się, że wyglądał on jak olbrzymie metalowe cygaro z jednym uciętym końcem. Nie było widać żadnych okien ani innych otworów lecz jasne było z zachowania się pojazdu, że był pod kontrolą istot inteligentnych. Aby mieć wyobrażenie o wielkości pojazdu, wystarczy wspomnieć, iż niektórzy członkowie załogi ocenili, że był on trzy, do czterech razy dłuższy od ich statku.

Nie znany pojazd poruszał się wraz z „Llandovery Castle" przez prawie minutę, po czym cicho wzniósł się na około tysiąc stóp nad wodę. Na tej wysokości, z tylnej części statku wystrzeliły pomarańczowe strumienie ognia i pojazd gwałtownie zwiększył szybkość nikając w przestworzach. Wydarzenie skrupulatnie odnotowane zostało w dzienniku pokładowym. Jednakże, z wyjątkiem naocznych świadków, nikt o nim nie pamięta.

U.F.O. NAD HAWAJAMI

Kiedy tzw. „latające talerze" zaczęto coraz częściej obserwować (poczynając od roku 1947), ich pojawianie się wydawało się być dość przypadkowe Później jednak okazało się, że obiekty te systematycznie zjawiały się nad ważnymi bazami wojskowymi, ośrodkami przemysłowymi i komunikacyjnymi. Badania wykazały również, że U.F.O. najczęściej pojawiały się na półkuli północnej wiosną i latem, a potem przenosiły się na półkulę południową, gdy tam panowała ciepła pogoda.

W latach 1960, 1961, 1962 nieznane obiekty pojawiały się regularnie w czasie wystrzeliwania sztucznych satelitów jak też w czasie prób z bombami wodorowymi na Pacyfiku. Grupa takich obiektów towarzyszyła kapitanowi Joe Walkerowi podczas próbnego lotu ponad atmosferą, z szybkością kilku tysięcy mil na godzinę, samolotem rakietowym typu X-15. Automatyczne kamery fotograficzne zrobiły zdjęcie U.F.O. lecących w szyku za samolotem. Do wiadomości ogółu podano, że były to ogromne płaty śniegu. Jednocześnie jednak nie zezwolono na publiczną demonstrację filmów.

Około ósmej wieczorem, 11 marca 1963 roku, setki a może tysiące ludzi widziało nad Hawajami błyszczący okrągły obiekt, który rozsiewał za sobą wachlarz miękkiego białego światła.

Dwaj piloci Gwardii Narodowej lecący na samolotach odrzutowych również donieśli przez radio o dostrzeżeniu obiektu. Jednakże znajdował się on znacznie wyżej niż czterdzieści tysięcy stóp, co było pułapem wysokości dla ich samolotów.

Nie był to z pewnością sztuczny satelita a widać go było zbyt długo, aby mógł to być meteor lub pocisk balistyczny.

Opracował:
B. KRAKOWIAN

MAGAZYN ODGŁOSY

WASYL CONEV
SŁABOSTKI

W dniu, kiedy kończyłem lat sześćdziesiąt, otrzymałem szereg telegramów i listów od głów państw, z królewskiej akademii i komitetu nagród Nobla. Niby można pozazdrościć, a jednak... smutno mi.

Ze swoją biografią nie peham się. Jest ona i bez tego szeroko znana. Nawet w leksykonach zajmuje przynajmniej dwie trzecie strony. Ale boli mnie, że w świetle tych życiorysów wypadam... rzekłbym: jednopłaszczyznowo. Laureat Nagrody Nobla, członek rzeczywisty Królewskiej Akademii i posiadacz kilkudziesięciu innych, równie zaszczytnych tytułów.

Jak osiągnąć takie szczyty powodzenia? O tym nie znajdziecie w moich biografiach ani słowa. A ja, proszę, chętnie wyjaśnię to i owo.

I tak wiecie chyba, że początkowo pociągał mnie śpiew. Po ukończeniu konserwatorium, w którym rozwinąłem wrodzony sobie talent — otrzymałem posadę w jednym z miast wojewódzkich. Powinienem tam przepracować trzy lata...

Wtedy „rozpracowałem" słabostki dyrektora stołecznej opery. Okazało się, że jest wielkiej miary znawcą psów i snobizuje się na cenne i rzadkie okazy.

Wobec tego zjawiłem się w jego willi dzierżąc (na rękach!) drogocenną psinę, całą obwieszoną medalami. Wręczając podarek pełnym głosem zaśpiewałem podniosłą pieśń.

Gdy zakończyłem dyrektor omdlewał ze szczęścia.

— Mój Boże! — wykrzyknął. — Pies — cudo! Jest pan niezrównanym śpiewakiem!

Rzecz prosta, do wojewódzkiego ośrodka nie wróciłem. Mogłem pokazać w stolicy na co mnie stać!

W tym czasie urzekła mnie chemia. Wrodzone zdolności pozwoliły mi zbudować nową teorię.

Podczas dorocznego Święta Akademii Nauk Chemicznych opowiedziałem kilka anegdot. Przewodniczący Akademii chichotał, aż dostał kolek. Dykteryjki były bowiem jego słabością.

Po części oficjalnej zaprosił mnie do swego gabinetu i zrewanżował się anegdotami. Oczywiście odpłaciłem mu serią najnowszych, które notabene wymyśliłem na poczekaniu. Przewodniczący szalał z radości.

Zaprzyjaźniliśmy się. Pogawędziliśmy o chemii i wtedy wspomniałem o swej teorii. Po pięciu minutach zostałem zatrudniony w charakterze jego adiunkta.

Otworzyły się przede mną wielkie możliwości. Po roku byłem już noblistą. Oczekiwała mnie wspaniała przyszłość, ale wtedy urzekła mnie poezja.

Zaprosiłem do siebie dyrektora jednego z wydawnictw, znanego smakosza, przed którym chciałem odkryć swój rzadki dar — umiejętność znakomitego gotowania. Kiedy podałem mu zapiekany łeb cielęcy — z uniesienia zapłakał i chwycił mnie w objęcia.

— Jest pan poetą! — zakrzyknął.

— Tak — przyznałem i odczytałem mu kilka swoich wierszy.

Zbiorek mych poezji ukazał się w księgarniach po tygodniu. Następnie przekonałem go, że zasługuję na tytuł „króla szaszłyku" i świat zapoznał się z moją powieścią. Tą samą, za którą przyznano mi literacką Nagrodę Nobla.

Ale wszystko to już mnie nie cieszyło.

Coś mi szeptało, że Ziemia jest okrągła i postanowiłem odkryć drogę do Indii. Przez zachód.

— Zwariowałeś?! — przyjaciele pukali się w czoła. — Kto da ci pieniądze i statek?

— Kto? Oczywiście, król lub królowa.

Nie tracąc czasu przestudiowałem słabości królowej. Wszystko było jasne: słaba płeć. W ciągu trzech dni doprowadziłem ją do tego, że straciła dla mnie głowę. Żeby uwolnić się ode mnie, król kazał zaopatrzyć statki i polecił mi odkryć Amerykę. Na przekór — znalazłem drogę do Indii i zrealizowałem swój śmiały plan.

Po powrocie ogarnęła mnie pasja teatru. Dla nadwornego zespołu zacząłem pisać nie od razu. Przedtem odkryłem, że dyrektor królewskiego teatru uwielbia karty. Najbliższej niedzieli wygrałem od niego w pokera olbrzymią sumę. Dyrektor zbladł i zatrząsł się. Nie wiedział, skąd wziąć tak kolosalną kwotę i (jak się później przyznał) myślał o samobójstwie. Ale wtedy podałem mu rękę.

— Dziękuję, że pan mi pomógł! — rąbnąłem prosto z mostu.

— W czym? — zdumiał się.

— Chciałem wypróbować swoje zdolności aktorskie. Rzecz w tym, że nie miałem na ręce ani asowej karety, ani tym bardziej pokera, wszystko oparłem na bluffie. Mistrzowskim aktorstwem nawet tak doświadczonego człowieka zmusiłem do uwierzenia mi. Nie jest pan winien ani grosza! Nie wygrałem od pana nawet najmarniejszego liczmana!

Dyrektor rzucił mi się do nóg.

— W życiu nie widziałem takiego aktora! — zaszlochał z uniesieniem.

Wkrótce zagrałem Hamleta. Rola ta spotkała się z fantastycznym sukcesem... Kwiaty, owacje, aplauz. Najwyższe odznaczenie było tuż, tuż, ale wtedy urzekła mnie piłka nożna.

Prezydent FIFA miał słabość. Chciał wydać za mąż córkę. (Chciał od trzydziestu kilku lat. Na próżno!) Ożeniłem się z nią. W dniu ślubu rozgrywaliśmy mecz. Wygraliśmy w stosunku 27:0. Wszystkie gole strzeliłem sam.

Kto wie jakie wyżyny osiągnąłbym, gdyby nie to, że owładnęła mną namiętność zostania prezydentem Nikaragui. Na szczęście dowiedziałem się, że aktualny prezydent lubi solone ogórki...

— Ale nasza pogawędka przeciągnęła się. Teraz już znacie istotne przyczyny moich sukcesów. Talent? Bez niego byłoby trudno... Ale ileż to talentów gaśnie w całkowitym zapomnieniu. A dlaczego? Dlatego, że liczą na własne siły, a nie na słabostki innych.

Tłumaczył:
BOHDAN PIĄTKOWSKI

POWIĘKSZENIA

HISTORIA LITERATURY

Małgorzata Karbowiak pisze w „GR" o „filmie reż. Janusza Majewskiego pt. „Zaklęte rewiry" wg Łozińskiego". Koniec cytatu.

Nastąpiło tu tzw. historyczno-literackie pomieszanie z poplątaniem.

Jak powszechnie wiadomo „Zaklęte rewiry" napisał Henryk Worcell. Skąd więc Łoziński? Chodzi zapewne o Walerego Łozińskiego, który napisał „Zaklęty dwór". **Różnica między „Zaklętym dworem" a „Zaklętymi rewirami" jest mniej więcej taka, jak parafrazując Waldorffa — „między gwoździem w szalupie a Worcellem w zupie".**

CHOCHLIK

W poprzednim numerze „Odgłosów" przeczytaliśmy w felietonie „Pochwała kolekcjonerstwa", że jest ono **„formą czystego uczestnictwa w kulturze".**

Autor upoważnił nas do oświadczenia, że nie dzieli uczestnictwa w kulturze na czyste i brudne, lecz na c z y n n e i bierne. A wszystkiemu winien oczywiście chochlik drukarski, który ostatnio na łamach łódzkiej prasy przybrał postać kaczki patroszonej.

TYTUŁ

Jedna z łódzkich gazet epatuje sążnistym tytułem: „Dwanaście pozycji na deskach Teatru Jaracza".

Czyżby porno-repertuar?

OGŁOSZONKO

„Express Ilustrowany" podaje taki inserat: **„Zatrudnię pantoflarza. Może być rencista".**

Ot, marzenie. Żeby pod pantoflem siedział i jeszcze rentę przyniósł.

DOOKOŁA RED. MIKOŁAJCZYKA

Andrzej Hampel zaatakował w **„Dzienniku Łódzkim"** telewizyjny sposób bycia (albo raczej brak obycia) **red. Mikołajczyka. Marcin Rodak** w **„Odgłosach"** wziął w obronę pupilka TV, sugerując, że na jego tle lepiej wypadają inni.

Jedna z warszawskich gazet zaatakowała więc Rodaka, że nie dość skutecznie broni Mikołajczyka. I tak się nam rozwija polemika.

Jesteśmy mocni w sporach o głupstwa.

SŁUSZNA KARA

Ostatnio amerykańscy kapitaliści filmowi usiłowali nakręcić film lepszy niż polski. Nic z tego ne wyszło, bo poplątały im się taśmy.

TO PRZYSZŁOŚĆ PUKA

Pewien znany reżyser filmów przyrodniczych o naturze, osiągnął zdumiewające porozumienie ze stworzeniem. W roli stworzenia wystąpił osobisty pies reżysera, wabiący się „Puc" (czyt. „Puk"). Wspomniany „Puk" (pisz „Puc") odczytuje z łatwością każdy gest swojego pana i odwrotnie, gdyż porozumienie jest wzajemne. Po tym sukcesie znany reżyser przystąpi do podjęcia prób nawiązania porozumienia z żoną i z dziećmi, które uległo naturalnemu osłabieniu, a nawet i rozwiązaniu w czasie narastania porozumienia ze stworzeniem.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..." K.I.G.

BEZDUSZNA NIETOLERANCJA

W płd. Australii otwarto pierwsze kino przeznaczone wyłącznie dla węchowców. Stosuje się równocześnie ostre i niegodne propagowania rygory organizacyjne. Przyłapany na widowni pełnej węchowców wzrokowiec, dostał od Kierownika Kina po nosie.

NOWA WYTWÓRNIA

Powstaje pierwsza w kraju Wytwórnia Filmów Dla Urzędników. Nowa wytwórnia produkować będzie barwne filmy korzystając z Dzienników Ustaw jako scenariuszy. Produkowane filmy dzielić się będą na dwie grupy. Grupa pierwsza adresowana będzie do urzędników, którzy Dziennik Ustaw znają i kochają. Będą to filmy pogodne, pieszczotliwe i niekategoryczne. W drugiej grupie, adresowanej do urzędników, którzy Dziennika Ustaw nie znają, ale pragną go pokochać, dźwięk będzie donośniejszy, akcja bardziej powolna i zrozumiała. Dla urzędników, którzy zaś Dziennik Ustaw znają ale nie kochają przewiduje się jedynie przeźrocza, dostosowane do wyświetlania w małych, zamkniętych pomieszczeniach.

KARYKATURY SŁAWOMIRA ARABSKIEGO

Władysław NIEWADZIŁ — wielokrotny mistrz Polski w boksie

Michał GAŁKIEWICZ — artysta rzeźbiarz

JACEK BROMSKI - STORY

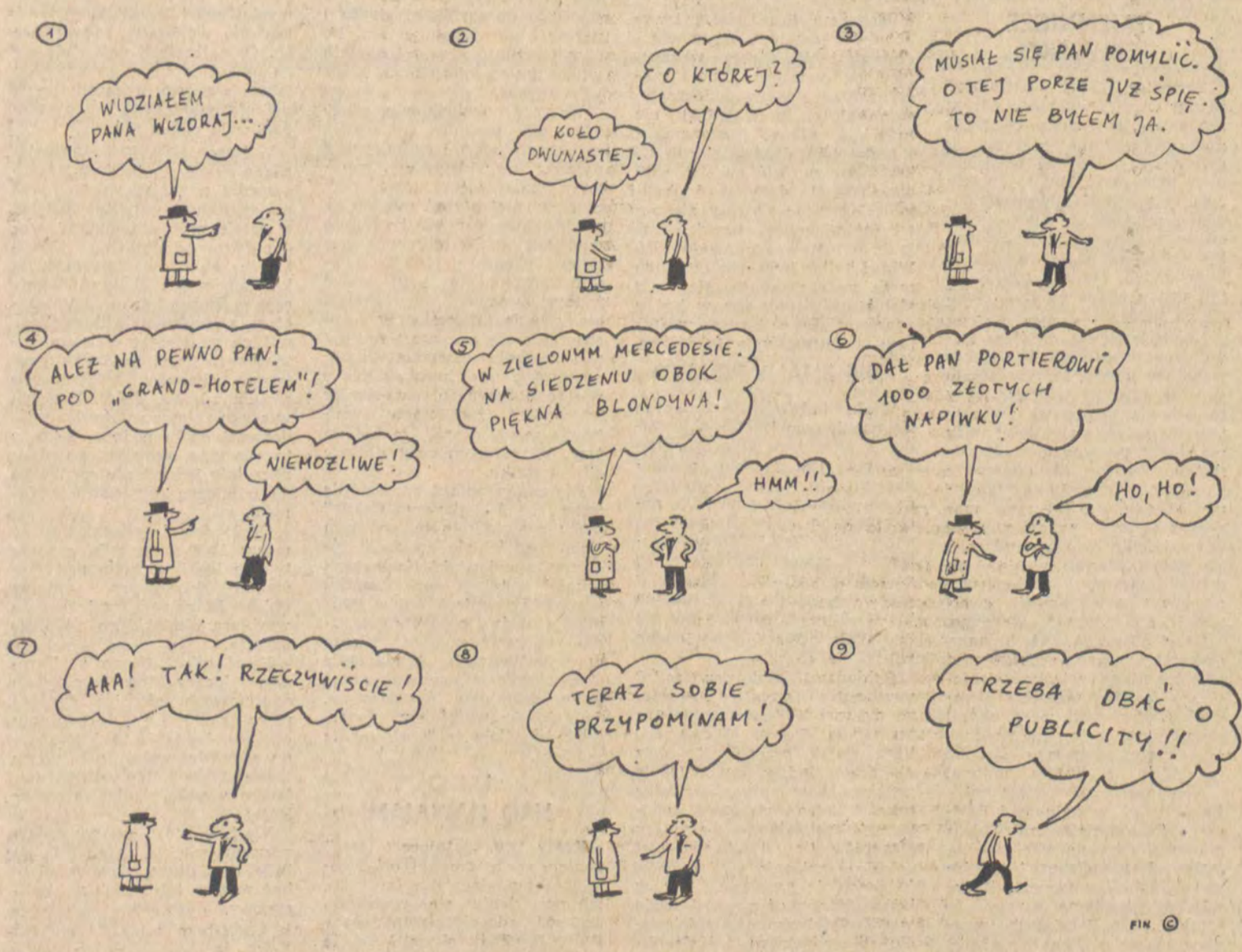

KLASA I
NAJLEPSZA JEST PIECZONA — NADZIEWANA JABŁKAMI
Łódzkie Zakłady Drobiarskie
POLDROB

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 136. U-12 Nr indeksu 37006/36762